

Chase Emma

Legal Briefs 01

Unieważnienie

*Mamie i tacie,
za pokazanie, jak powinno wyglądać rodzicielstwo.*

*Ostatni rok szkoły średniej, październik,
miasteczko Sunshine, stan Missisipi*

Większość historii zaczyna się od początku. Lecz nie ta. Ta zaczyna się od końca. A przynajmniej od tego, co wydaje się końcem – mojego życia, marzeń, przeszłości. Zaledwie dwa słowa sprawiają, iż mam wrażenie, że wszystko skończone.

– Wynik pozytywny.

Dwa wyrazy. Dwie czerwone kreski.

Kurczy mi się żołądek, kolana miękną do konsystencji waty. Zielona koszulka z logo szkoły średniej miasteczka Sunshine lepi się do mojego ciała, pod pachami wykwitają wielkie plamy potu – i nie ma to nic wspólnego z upałem panującym w Missisipi. Wyjmuję test z rąk Jenny i potrząsam nim, mając nadzieję, że jedna z kresek zniknie.

Nie znika.

– Co za bydlę.

Jak na siedemnastolatka jestem dość bystry. Mam argument – wyjaśnienie. Uzasadnione wątpliwości.

– Może źle go zrobiłaś? A może jest zepsuty? Powinniśmy zdobyć drugi.

Jenny pociąga nosem, łzy zbierają się w jej błękitnych oczach.

– Stanton, od tygodnia każdego ranka mam mdłości. Od dwóch miesięcy nie mam okresu.

Wynik testu jest pozytywny. – Ociera policzki i unosi głowę. – Nie ukradnę kolejnego testu ze sklepu pana Hawkina, by potwierdzić to, co już wiemy.

Mieszkając w tak małej miejscinie – a szczególnie w małej miejscinie na południu – macie świadomość, że wszyscy wszystko wiedzą. Znają waszego dziadka, waszą mamę, waszego szalonego starszego brata i słodką, młodszą siostrzyczkę. Wiedzą, że waszego wujka zamknięto w federalnym zakładzie karnym i że kuzyn nigdy nie wydobył się po niefortunnym wypadku z udziałem ciągnika. W małym miasteczku zbyt kłopotliwe jest kupienie prezerwatyw, ciężko zdobyć tabletki antykoncepcyjne, a nabycie testu ciążowego jest wręcz niemożliwe.

No chyba że chcecie, by wasi rodzice dowiedzieli się o tym, nim dziewczyna nasika na tester.

Jenny, drżąc, obejmuje się ramionami. Choć jestem cholernie przerażony, wiem, że to nic w porównaniu z tym, co czuje ona. I to moja sprawa. Ja to zrobiłem – moja żądza, moje napalenie. Pieprzona głupota.

Ludzie mogą mówić, co chcą o feminizmie i równouprawieniu, co jest w porządku, ja jednak zostałem wychowany w przekonaniu, że mężczyzna jest obrońcą. Jest odpowiedzialny. Idzie na dno razem z okrętem. Zatem fakt, że moja dziewczyna „ma kłopoty”, spoczywa na moich barkach.

– Hej, chodź do mnie. – Przyciągam jej drobne ciało do piersi i mocno tulę. – Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Trzęsie się i płacze:

– Przepraszam, Stanton.

Poznałem Jenny Monroe w pierwszej klasie podstawówki. Włożyłem jej do plecaka ropuchę, ponieważ brat stwierdził, że tego nie zrobię. W odwecie przez dwa miesiące pluła papierowymi kulkami w tył mojej głowy. W trzeciej klasie myślałem, że się w niej zakochałem – w szóstej byłem tego pewien. Była piękna, zabawna i rzucała piłką futbolową lepiej niż jakakolwiek inna dziewczyna – i połowa chłopaków – których znałem. Zerwaliśmy ze sobą w ósmej klasie, kiedy Tara-Mae zaproponowała, żebym dotknął jej cycków.

Co zrobiłem.

Następnego lata wróciliśmy do siebie, kiedy podbiłem jej serce, wygrywając pluszowego miśka na wiejskim festynie.

Jest kimś więcej niż dziewczyną, z którą pierwszy raz się całowałem – zaliczyłem z nią każdy ze swoich pierwszych razów. I jest moją najlepszą przyjaciółką, tak jak ja jestem jej przyjacielem.

Odsuwam się, by spojrzeć jej w oczy. Dotykam jej twarzy i odgarniam miękkie, jasne włosy.

– Nie masz za co przepraszać. Nie zrobiłaś tego sama. – Figlarnie poruszam brwiami i się uśmiecham. – Też tam byłem, pamiętasz?

To wywołuje jej śmiech. Ociera oczy.

– Tak, to był dobry wieczór.

Kładę rękę na jej policzku.

– Pewnie, że był.

To nie był nasz pierwszy raz – czy nawet dziesiąty – ale był jednym z najlepszych. Noc, której się nie zapomina – księżyc w pełni i flanelowy koc. Stało się to zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym teraz stoimy – obok rzeki, z sześciopakami piwa i muzyką płynącą przez otwarte okno mojego pickupa. Były lekkie pocałunki, żarliwe szept, spocone ciała i badające dłonie. Byliśmy złączeni tak głęboko, że nie wiedziałem, gdzie kończę się ja, a zaczyna ona. Przyjemność była tak intensywna, że chciałem, by trwała przez wieki – modliłem się głośno, by tak właśnie było.

Wspominalibyśmy to – próbowali odtworzyć – za wiele lat, nawet jeśli nie mielibyśmy dziecka, aby upamiętnić tamtą noc.

Dziecko.

Kurwa. Zaczynam rozumieć powagę sytuacji, żołądek niemal przywiera mi do kręgosłupa.

Jakby czytając w moich myślach, Jenny pyta:

– Co zrobimy?

Ojciec zawsze mi powtarzał, że nie ma co się wstydzić strachu. Liczy się jedynie to, jak reagujemy na ten strach. Tchórze uciekają. Mężczyźni stają do walki.

Nie jestem tchórzem.

Przełykam z trudem ślinę, kiedy wszystkie moje aspiracje, nadzieje i plany na opuszczenie tej miejsciny biorą w łeb. Patrzę na rzekę, obserwując, jak promienie słońca odbijają się na powierzchni wody, i podejmuję jedyną słuszną decyzję.

– Pobierzemy się. Na początku możemy mieszkać z moimi rodzicami. Będę pracował na farmie i chodził do szkoły wieczorowej. Będziemy oszczędzać. Będziesz musiała na jakiś czas odłożyć szkołę pielęgniarstwa. W końcu wyprowadzimy się na własne śmieci. Zadbam o ciebie. – Kładę dłoń na jej nadal płaskim brzuchu. – O was.

Jej reakcja jest inna niż ta, której się spodziewałem.

Jenny odsuwa się ode mnie, patrzy wytrzeszczonymi oczami i kręci głową.

– Co? Nie! Po skończeniu szkoły miałeś jechać na studia do Nowego Jorku.

– No tak.
– Porzuciłeś stypendium futbolowe na uczelni w Missisipi, by iść na Uniwersytet Columbia. To Liga Bluszczowa.
Kręcę głową. I kłamię:
– Jenn, nic z tego nie ma teraz znaczenia.
Nie ma w naszym mieście chłopaka, który nie oddałby oka czy zębów, by grać w drużynie uczelni Missisipi... jednak nie ja. Ja zawsze chciałem czegoś innego – większego, jaśniejszego, bogatszego.
Klapki Jenny zapadają się w piasek, gdy chodzi brzegiem rzeki. Wiatr rozwiewa jej białą, letnią sukienkę, kiedy w końcu się do mnie odwraca i wskazuje na mnie palcem.
– Pójdiesz na te studia i koniec tematu. Tak jak planowaliśmy. Nic się nie zmienia.
Mój głos ocieka oburzeniem, na które ona nie zasługuje:
– O czym ty mówisz? Wszystko się zmienia! Nie możesz odwiedzać mnie raz w miesiącu z dzieckiem na ręku! Nie możemy go zabierać do pokoju w akademiku.
Zrezygnowana, szepcze:
– No wiem.
Odsuwam się o krok.
– Oczekujesz, że cię tutaj zostawię? Byłoby mi wystarczająco ciężko to zrobić przed tym, a teraz...? Nie pojedę w pieprzony świat, kiedy jesteś w ciąży. Za jakiego typu mnie masz?
Chwyta mnie za ręce i wygłasza mowę, która śmiało mogłaby rywalizować z przemówieniem trenera przed arcyważnym meczem.
– Za typa, który pójdzie na studia na Uniwersytet Columbia i skończy je z wyróżnieniem. Człowieka, który będzie godnie zarabiał, kiedy pójdzie do pracy. Nie zostawiasz nas, tylko robisz to, co dla nas najlepsze. Dla naszej rodziny, naszego przyszłego bytu.
– Nigdzie się nie wybieram.
– Wybierasz się.
– A co z twoją przyszłością?
– Zostanę z rodzicami, pomogą mi z dzieckiem. I tak praktycznie wychowują bliźniaki. Starsza siostra Jenny, Ruby, jest dumną matką bliźniaków, a dziecko numer trzy jest w drodze. Ta kobieta przyciąga frajerów jak krowi placek muchy. Bezrobotnych, alkoholików, leniuchów – nie ma ich dosyć.
– Z ich pomocą i twoich rodziców będę mogła uczęszczać do szkoły pielęgniarskiej. – Obejmuje mnie szczupłymi ramionami za szyję.
Boże, jaka ona ładna.
– Nie chcę cię zostawiać – mruczę.
Jednak moja dziewczyna już postanowiła.
– Pojedziesz i będziesz wracał, kiedy tylko będziesz mógł. A kiedy przyjedziesz, będzie musiało nam to wystarczyć aż do twojego następnego powrotu.
Całuję ją w usta – pełne, miękkie, smakujące czereśniami.
– Kocham cię. Nigdy nikogo nie pokocham tak jak ciebie.
Uśmiecha się.
– I ja cię kocham, Stantonie Shaw, zawsze będziesz liczył się tylko ty.
Młodzieńcza miłość jest silna. Pierwsza miłość jest potężna. Jednak kiedy jesteście młodzi, nie wiecie, bo wiedzieć nie możecie, jak długie naprawdę jest życie. A jedyną pewną w nim rzeczą, prócz śmierci i podatków, są zmiany.
Jenny i mnie czekało wiele zmian.
Bierze mnie za rękę i prowadzi do furgonetki. Otwieram przed nią drzwi, gdy pyta:

- Którym najpierw powiemy? Twoim czy moim?
Wypuszczam powietrze z płuc.
– Twoim. Wolę najpierw uporać się z szaleństwem.
Nie jest obrażona.
– Miejmy nadzieję, że Bunia nigdy nie znajdzie naboju do dubeltówki.

Siedem miesięcy później

– Aaaaaaaaaa!

To nie może być normalne. Doktor Higgens powtarza, że jest, ale nie mogę w to uwierzyć.

– Gaaaaaaaaa!

Wychowywałem się na farmie. Widziałem narodziny każdego zwierzęcia – krowy, konia, owcy. Żadna samica nie wydawała takich dźwięków.

– Oooooooooo!

To? To jak horror w telewizji. Jak *Piła*... Dosłownie masakra.

– Rrrrrrrrrrrr!

Jeśli kobiety przechodzą coś takiego, rodząc dziecko, po co w ogóle ryzykują i uprawiają seks?

– Auaaaaaaaaa!

Nie jestem pewien, czy ja chcę ponownie zaryzykować. Marszczenie fredda wydaje się dziś sto razy lepsze, niż było wczoraj.

Jenny krzyczy tak głośno, że dzwoni mi w uszach. Jęczę, kiedy ściska moją i tak już ściśniętą dłoń. Powietrze ciężkie jest od potu – i paniki. Jednak doktor Higgens siedzi na stołku i poprawia okulary. Opiera dłonie na swoich udach i patrzy między rozszerzone, ustawione na strzemionach nogi Jenny – w sposób, w który mama zagląda do piekarnika w Święto Dziękczynienia, zastanawiając się, czy indyk już się upiekł.

Dyszając, Jenny opada na poduszki i jęczy:

– Umieram, Stanton! Obiecuj, że zajmiesz się dzieckiem, kiedy mnie już nie będzie. Nie pozwól, by wyrosło na idiotę jak twój brat ani na zdzirę jak moja siostra.

Jej jasna grzywka jest mokra od potu. Odsuwam jej włosy z czoła.

– No nie wiem. Idiotci są zabawni, a zdziry też mają zalety.

– Nie wydurniaj się, do diabła! Ja tu umieram!

Strach i wyczerpanie sprawiają, że jestem zgryźliwy.

– Słuchaj, nie ma pieprzonej mowy, byś mnie z tym zostawiła. Nie umierasz. – Zwracam się do doktora Higgensa: – Może pan coś zrobić? Podać jej jakieś proszki?

I mnie również?

Zazwyczaj nie lubię się odurzać, jednak w tej chwili sprzedałbym duszę za trochę trawy. Higgens kręci głową.

– Nic by to nie dało. Skurcze są zbyt częste, macie niecierpliwe dziecko.

Częste? Częste?! Trwają już pięć godzin. Naprawdę nie chcę wiedzieć, ile trwają rzadkie.

Co my, u licha, wyprawiamy?

Nie tak powinno wyglądać nasze życie. Jestem rozgrywającym na boisku. Jestem bystry – mam wygłaszać pieprzoną mowę na uroczystości zakończenia szkoły średniej. Jenny jest królową piękności oraz wiodącą cheerleaderką.

A przynajmniej była – dopóki jej brzuch nie stał się zbyt duży w stosunku do stroju.

Za miesiąc mieliśmy iść na bal. Powinniśmy myśleć o imprezach związanych z końcem szkoły, pieprzyć się na tylnej kanapie mojej furgonetki i spędzać jak najwięcej czasu z kumplami

przed pójściem na studia. Jednak mamy dziecko.

Człowieka – zamiast ugotowanego na twardo jajka, które przez tydzień nosi się w szkole w ramach zajęć przystosowania do życia w rodzinie. A tak przy okazji, swoje stłukłem.

– Zaraz się porzygam.

– Nie! – krzyczy Jenny niczym szalona krowa. – Nie wolno ci rzygać, kiedy ja jestem rozrywana na pół! Przełknij to! A jeśli przeżyję, a ty ponownie mnie dotkniesz, odetnę ci fiuta i wrzucę do rozdrabniarki do drewna. Słyszysz?

Taki tekst zazwyczaj facetowi wystarcza.

– Dobra.

Kilka godzin temu nauczyłem się, że lepiej jest przytakiwać wszystkiemu, co mówi.

Dobra, dobra, dobra.

Lynn, żwawa położna, ociera czoło Jenny.

– Nie, nie, nie. Nie będzie żadnego obcinania. Zapomnisz o bólu, kiedy zobaczysz dzieciątko. Wszyscy kochają dzieciaczki. Są błogosławieństwem od Boga.

Lynn jest zbyt radosna, by była prawdziwa. Założę się, że sama wzięła wszystkie proszki i dla nas nic już nie zostało.

Przychodzi kolejny skurcz. Jenny zaciska zęby, jęcząc w trakcie parcia.

– Idzie – ogłasza Higgens. Klepie ją po kolanie. – Jeszcze jedno mocne parcie powinno załatwić sprawę.

Wstaję, patrzę ponad nogą Jenny i w moim ulubionym miejscu dostrzegam czubek głowy. To dziwaczne i ohydne, jednak... jednak również niezwykle.

Jenny opada na poduszki, blada i wyczerpana. Jej płacz sprawia, że czuję ucisk w gardle.

– Nie mogę. Myślałam, że to zrobię, ale nie mogę. Proszę, już nie mogę. Jestem taka zmęczona.

Mama Jenny chciała być obecna przy narodzinach – pokłóciły się o to. Jenny powiedziała, że chce, żebyśmy byli tylko my. Ona i ja – razem.

Ostrożnie podnoszę Jenny i wślizguję się na łóżko, siadając za nią okrakiem. Kładę ręce na jej brzuchu, piersią podpierając plecy, a jej głowa spoczywa na moim obojczyku. Całuję ją lekko w skroń, policzek, mrużąc jednocześnie słowa pocieszenia, w ten sam sposób, w jaki mówi się do płochliwego konia.

– Ciii, nie płacz, kochanie. Dobrze ci idzie. Już prawie skończyliśmy. Jeszcze tylko jedno parcie. Wiem, że jesteś zmęczona, i przykro mi, że to boli. Jeszcze raz i będziesz mogła odpocząć. Jestem przy tobie. Zrobimy to razem.

Znużona, obraca ku mnie głowę.

– Jeszcze tylko jedno?

Uśmiecham się do niej.

– Jesteś najtwardszą dziewczyną, jaką znam. Zawsze byłaś. – Mrugam do niej jednym okiem. – Dasz radę.

Bierze kilka głębszych wdechów i się unosi.

– Dobra. – Bierze kolejny. – Dobra. – Siada prosto i pochyla się w stronę ugiętych kolan. Zaciska palce na moich rękach, gdy przychodzi kolejny skurcz. Przez kilka sekund w pomieszczeniu rozlega się jej jęk, po czym... słyszymy ostry krzyk. Płacz dziecka.

Naszego dziecka.

Jenny wzdycha z ulgą. Doktor Higgens unosi nasze ruszające się, pomarszczone dziecko i ogłasza:

– Dziewczynka.

Łzy kują mnie w oczy, a Jenny się śmieje. Zapłakana obraca się do mnie.

– Mamy córeczkę, Stanton.

– Jasna cholera.

Jednocześnie śmiejemy się, płaczemy i tulimy nawzajem. Kilka minut później wesoła położna Lynn przynosi różowe zawiniątko i umieszcza w ramionach Jenny.

– O rany, jest idealna. – Wzdycha Jenny. Mój nieśmiały uśmiech musi ją martwić, bo pyta: – Nie jesteś rozczarowany, że to nie chłopiec, co?

– Nie... Chłopcy to zło... Same kłopoty. Ona jest... jest wszystkim, czego chciałem.

Nie byłem przygotowany. Nie wiedziałem, że będę się tak czuł. Małeńki nosek, idealne usteczka, długie rzęsy, kosmyk jasnych włosów i rączki, które są miniaturową wersją moich. W tym momencie cały mój świat się zmienia i jestem na jej łasce. Od tej chwili nie ma nic, czego bym nie zrobił dla tej pięknej, małej istoty.

Dotykam lekko jej miękkiego policzka i nawet jeśli faceci nie powinni gruchać, właśnie to robię:

– Hej, córeńko.

– Wybraliście już dla niej imię? – pyta siostra Lynn.

Jenny patrzy mi radośnie w oczy, po czym zwraca się do położnej:

– Presley. Presley Evelynn Shaw.

Evelynn po babci Jenny. Pomyśleliśmy, by utrudnić jej zadanie, jeśli kiedykolwiek znajdzie naboje do dubeltówki. Ostro nas potraktowała, kiedy ogłosiliśmy, że się nie pobieramy – jeszcze.

Siostra Lynn po krótkim czasie zabiera dziecko, by mogło zostać oznaczone opaską.

Schodzę z łóżka, a doktor Higgins nurkuje między nogi Jenny. Natychmiast sugeruje:

– Może wyszedłbyś na korytarz przekazać rodzinie dobre wieści? Całą noc tam czekają.

Patrzę na Jenny, która kiwa głową. Biorę ją za rękę i całuję wierzch jej dłoni.

– Kocham cię.

Uśmiecha się zmęczona, ale zadowolona.

– Ja też cię kocham.

Wychodzę na korytarz i wchodzę do poczekalni. Znajduję w niej kilkanaście najbliższych nam osób, na twarzach których maluje się zniecierpliwienie i zdenerwowanie.

Nim mam szansę cokolwiek powiedzieć, mój młodszy brat, Marshall – ten, który nie jest idiotą – mówi:

– I co? Co masz?

Kucam, by być na jego poziomie, i z uśmiechem ogłaszam:

– Córkę.

Dwa dni później przypinam pasami fotelik w furgonetce, sprawdzam czterokrotnie, chcąc mieć pewność, że wszystko jest w porządku, i jadę po Jenny i Presley, by przywieźć je do domu.

Do domu jej rodziców.

Dwa miesiące później je zostawiam. Przemierzam dwa tysiące kilometrów, by rozpocząć studia na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

Rok później

– To było kapitalne, Stanton. – Śmieje się Jenny. – W ogóle nie chciała dotykać polewy, bo nie podobały jej się zlepione paluszki, więc od razu włożyła całą buzię w tort! I była zła, gdy go zabrałam, żeby pokroić. Szkoda, że tego nie widziałeś. To dziecko potrafi zawstydzić nawet Bunię! – Prycha i chichocze.

Nie widziałem.

Czuję wyrzuty sumienia. Powinienem był widzieć, jak Presley rozwala swój pierwszy urodzinowy tort. Jak piszczy nad kokardkami i bardziej cieszy ją rozrywanie ozdobnego papieru niż sam prezent. Powinienem tam być, by zapalić świeczkę, by robić zdjęcia. By być na tych zdjęciach.

Jednak nie byłem. Nie mogłem, ponieważ trwa tydzień egzaminów i mogę być tylko tutaj – w Nowym Jorku. Zmuszam się do uśmiechu – starając się tchnąć w głos nieco entuzjazmu:

– Świetnie, Jenn. Brzmi, jakby to była cudowna imprezka. Cieszę się, że małej się podobało.

Moje wysiłki spełzają na niczym.

– Kochanie, przestań się zadrećzać. Prześlę ci zdjęcia i filmiki. Będziesz się czuł, jakbyś tam z nami był.

– Jasne. Oprócz tego, że mnie nie było.

Jenny wzdycha.

– Chcesz jej powiedzieć dobranoc? Zaśpiewać jej?

W krótkim czasie, który spędziłem z córką, tuż po jej narodzinach i kiedy przyjechałem do domu na ferie świąteczne, odkryliśmy, że Presley uwielbia mój głos. Nawet przez telefon koił ją podczas ząbkowania, usypiał, kiedy marudziła. Stało się to naszym wiecznym rytuałem.

– Tiatia!

Zadziwiająco, jaką moc mają te krótkie sylaby. Rozgrzewają moją pierś i sprawiają, że po raz pierwszy dzisiejszego dnia szczerze się uśmiecham.

– Wszystkiego najlepszego, córeńko.

– Tiatia!

Śmieję się.

– Tata tęskni za tobą, Presley. Chcesz posłuchać pioseneczki? – Zaczynam cicho śpiewać: – „Jesteś moim słoneczkiem, moim jedynym słoneczkiem. Jesteś mym szczęściem na szarym niebie...”

Presley słodkim, uroczo piskliwym głosikiem stara się śpiewać wraz ze mną. Po dwóch wersach oczy zachodzą mi mgłą i głos mi się łamie. Tak bardzo za nią tęsknię.

Za nimi.

Odchrząkuję.

– Czas spać. Słodziutkich snów.

W słuchawce znów słyszę Jenny:

– Powodzenia jutro na egzaminie.

- Dzięki.
- Dobranoc, Stanton.
- Branoc, Jenn.

Rzucam telefon w nogi łóżka i gapię się w sufit. Gdzieś z niższego piętra dochodzi ochrypli śmiech i nakaz rzucania – zapewne odgłosy maratonu beer-ponga, który rozpoczął się dwa dni temu. Już w pierwszym tygodniu na Uniwersytecie Columbia dowiedziałem się, że studencka kariera nie polega tylko na tym, jakie wiadomości ma się w głowie. Polega również na tym, kogo się zna.

Zadeklarowałem więc chęć przystąpienia do bractwa – by zbudować długotrwałe kontakty. *Psi Kappa Epsilon*. To dobre bractwo, należą do niego inteligenci w białych kołnierzykach – biznesmeni, ekonomiści, prawnicy. Większość pochodzi z bogatych rodzin, lecz są to dobrzy ludzie, chłopcy, którzy ciężko pracują, dużo się uczą, a także ostro imprezują.

W ubiegłym semestrze jeden z jego członków ukończył wcześniej studia i został wysłany na zagraniczny staż. Mój starszy brat w tym stowarzyszeniu usilnie nalegał, bym zdobył pokój w domu bractwa. Jest facetem, który daje kandydatom najcięższy wycisk. Są jego zdzirami – jego niewolnikami.

Jednak kiedy chłopak wchodzi do bractwa, ten człowiek staje się jego przyjacielem. Mentorem.

Właśnie sobie wykrakałem, bo otwierają się drzwi i do pokoju zagląda mój starszy brat. Kątem oka widzę, że jego czarna czupryna pojawia się w szczelinie, znika, po czym ponownie wraca.

Drew Evans wchodzi do mojego pokoju.

Drew jest niezwykle. Jakby nieustannie skierowany był na niego niegasnący reflektor – przyciąga uwagę. Skupia na sobie spojrzenia. Zachowuje się, jakby był panem świata, a kiedy z nim jesteście, czujecie się, jakbyście i wy nim władali.

Intensywnie niebieskie oczy, od których głupieją dziewczyny, patrzą na mnie z dezaprobatą.

– Co się z tobą dzieje?

Ocieram nos.

– Nic.

Drew unosi brwi.

– Nie tak to wygląda. Na litość boską, becysz w poduszkę? Wstyd mi za ciebie.

Drew jest nieugięty. Bez względu na to, czy chce dorwać panienkę czy dostać odpowiedź, nie odpuszcza, póki nie jest po jego myśli. Podziwiam go za to.

Mój telefon informuje o nadejściu e-maila zawierającego zdjęcia, które obiecała mi Jenny. Z westchnieniem rezygnacji siadam i przerzucam fotki.

– Wiesz, że mam córkę Presley?

Przytakuje.

– Pewnie. Uroczy dzieciak, seksowna mamuśka, niefortunne imię.

– Dzisiaj są jej urodziny. – Pokazuję mu zdjęcie mojego aniołka całego umazanego tortem. – Jej pierwsze urodziny.

Uśmiecha się.

– Wygląda na zadowoloną.

Nie odwzajemniam uśmiechu.

– Tak, ale nie było mnie tam. – Trę oczy. – Co ja tu, do cholery, robię, stary? Jest mi ciężko... Ciężej, niż przypuszczałem.

Jestem dobry we wszystkim, co robię – zawsze tak było. Futbol, nauka, cudowny chłopak

– w liceum wszystkie laski zazdrościły Jenny. Każda dziewczyna chciała mnie przelecieć, a każdy chłopak chciał być na moim miejscu. Wszystko przychodziło mi z łatwością.

– Czuję się... Czuję, jakbym wszystko... psuł – wyznaję. – Może powinienem się poddać i przepisać na jakąś gównianą miejscową uczelnię. Przynajmniej widywałem je częściej niż trzy razy do roku. – Z gniewem dodaję: – Co za ojciec nie jedzie na pieprzone pierwsze urodziny swojego dziecka?

Nie wszyscy mężczyźni czują podobnie. Znam takich, którzy machnęli lasce dzieciaka i odeszli całkowicie zadowoleni, nie oglądając się za siebie. Po rozprawie sądowej są zobowiązani wysyłać kasę, chociaż czasem i wtedy tego nie robią. Do diabła, żaden z ojców dzieci Ruby nawet raz ich nie odwiedził.

Ja nigdy nie potrafiłbym się tak zachować.

– Jezu, ale się rozkleiłeś! – wykrzykuje z przerażoną miną Drew. – Chyba nie zamierzasz śpiewać piosenek Johna Denvera, co?

Milczę.

Wzdycha. Przysuwa się do mojego łóżka.

– Chcesz znać prawdę, Shaw?

Evans jest zwolennikiem nie owijania w bawełnę – twardej, trudnej, niezręcznej prawdy. To kolejna jego cecha, którą u niego szanuję, choć nie jest tak fajnie, jeśli jego krytyczny wzrok wymierzony jest prosto w ciebie.

– Chyba tak – odpowiadam ostrożnie.

– Mój starszek jest najlepszym ojcem na świecie, to nie podlega dyskusji. Ale nie pamiętam, czy był na moich pierwszych urodzinach czy nawet drugich... Nawet mnie to nie obchodzi. Dał mi cudowny dach nad głową, jest dumny, kiedy na to zasługuję, i potrafi skopać mi tyłek, kiedy mi się należy. Zabierał nas na fantastyczne rodzinne wakacje i płaci za moją naukę tutaj, generalnie ustawił mnie w życiu. Chcę ci tylko powiedzieć, że każdy palant potrafi pokroić torcik. Jesteś tutaj, pracujesz weekendami, uczysz się na pełnych obrotach, wylewasz siódme poty, aby pewnego dnia twój dzieciak nie musiał tego robić. To właśnie rola dobrego ojca.

Zastanawiam się nad jego słowami.

– Tak, tak, chyba masz rację.

– Oczywiście, że mam rację. Otrzyj oczka, weź tabletkę na menopauzę i przestań się nad sobą użalać jak baba przed okresem.

Pokazuję mu środkowy palec.

Drew ruchem głowy wskazuje stosik notatek ze statystyki, z których przygotowuję się na jutrzejszy, końcowy egzamin.

– Jesteś gotowy na zdawanie u Windsora?

– Chyba tak.

Kręci głową.

– Musisz być pewien. Profesor Windsor to kutas. Snob. Z przyjemnością uleje takiego wieśniaka jak ty.

Przerzucam kartki.

– Przejrzę je jeszcze raz, ale już to umiem.

– Świetnie. – Szturcha mnie w nogę. – Przygotuj się więc, za godzinę wychodzimy.

Rzucam okiem na zegarek: jest dwudziesta druga.

– Dokąd?

Evans wstaje.

– Jeśli mam cię czegoś nauczyć, nim skończę tę szkołę, to zapamiętaj: przed każdym

ważnym egzaminem musisz iść się napić, wyskoczyć na jednego drinka i sobie pobzykać. Kursy przygotowujące na studia powinny mieć to wpisane w program szkolenia. Niewątpliwie.

Pocieram kark.

– No nie wiem...

Pytająco unosi rękę.

– Z czym masz problem? Razem z matką twojego dzieciaka zdecydowaliście się na otwarty związek, tak?

– Tak, ale...

– A przy okazji, to było świetne posunięcie z twojej strony. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego mężczyzna decyduje się związać z jedną kobietą, jeśli jest tak wiele innych, w których może przebierać.

Nie wyjaśniam mu, że to nie był mój pomysł. To Jenny nalegała na to w trakcie naszej rozmowy – kłótni – kiedy przyjechałem do domu na ferie świąteczne. Nie mówię mu, że zgodziłem się tylko dlatego, iż napalone bydlaki z mojego miasta i tak wiedzą, że Jenny jest moją dziewczyną, matką mojej córki. Może i będę wracał do domu jedynie dwa czy trzy razy do roku, ale jeśli już się tam znajdę, z przyjemnością obiję mordę każdemu, kto się do niej zbliży.

Nie mówię mu też, że przez pięć długich miesięcy nie miałem odwagi skorzystać z nowo otwartej furtki.

Ani razu.

Zamiast tego wyjaśniam:

– Nigdy wcześniej nie próbowałem poderwać dziewczyny w barze. Nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Drew się śmieje.

– Poprzytakujesz trochę, a ja zajmę się resztą. – Wskazuje na mnie. – Masz godzinę. Przygotuj się. – Po tych słowach wychodzi z mojego pokoju.

Dziewięćdziesiąt minut później zmierzamy do Central Bar – ulubionego miejsca spotkań studentów. Serwują tam dobre jedzenie. Jest też miejsce do tańca z DJ-em na piętrze i nie pobierają opłat za wstęp. Chociaż jest czas egzaminów, lokal pęka w szwach.

– Co pijesz? – pyta Evans, kiedy przeciskamy się do baru.

– Czystego Jim Beama. – Jeśli ma to być tylko jeden drink, niech będzie mocny.

Zerkam na swoje odbicie w lustrze za barem. Nijaka, niebieska koszulka, zarost na twarzy, bo nie kłopotalem się goleniem, i czupryna blond włosów, które wymagają podcięcia. Są praktycznie odporne na żel, więc całą noc będę je odsuwał z czoła.

Drew podaje mi szklankę i upija łyk ze swojej – wygląda jak whiskey z wodą. Przez kilka minut w milczeniu obserwujemy pomieszczenie. Chwilę później starszy brat szturcha mnie łokciem i ruchem głowy wskazuje dwie dziewczyny stojące w rogu, przy szafie grającej. Wyglądają, jakby były naturalnie piękne, choć zapewne potrzebowały dwóch godzin, by to osiągnąć. Jedna jest wysoka, ma długie, jasne włosy i jeszcze dłuższe nogi, odziane w znoszone jeansy. Ma na sobie wycięty top, który ujawnia czarny, koronkowy biustonosz oraz połyskujący w pępku kolczyk. Jej towarzyszka jest niższa, ma czarne, kręcone włosy, różową koszulkę i ciemne jeansy, ściśle opinające nogi.

Drew podchodzi do nich niespiesznie, więc idę za nim.

– Podoba mi się twoja koszulka – rzuca do blondynki, wskazując napis na materiale mówiący: KOBIECY Z BERNARD ROBIĄ TO DOBRZE.

Dziewczyna mierzy go wzrokiem z góry na dół, po czym powoli na jej twarzy pojawia się zalotny uśmiech.

– Dzięki.

– Mam podobną w domu – wyznaje Drew. – Z tym, że moja mówi: CHŁOPAKI Z COLUMBII ROBIĄ TO CAŁĄ NOC.

Laski chichoczą. Przełykam łyk burbona, podczas gdy brunetka mierzy mnie wzrokiem i najwyraźniej podoba jej się to, co widzi.

– Jesteście z Columbii? – pyta.

Drew przytakuje.

– Tak. Kibicujemy Lwom.

Nawet jeśli nie mam pojęcia, co u licha robię, próbuję postępować zgodnie z instrukcjami Drew i postanawiam zadać najbardziej banalne pytanie na świecie:

– Na jakim kierunku żeście są?

Czarna znów się śmieje.

– „Żeście są”? Nie brzmisz, jakbyś był stąd.

– Jestem z Missisipi.

Zerka z uznaniem na mój biceps.

– Jak ci się żyje w Nowym Jorku?

Zastanawiam się przez sekundę... i już wiem. Z krzywym uśmiechem odpowiadam:

– Teraz dużo lepiej.

Drew niemal niezauważalnie kiwa głową z aprobatą.

– Studiujemy sztukę – odpowiada blondynka.

– Poważnie? Sztukę? – drwi Drew. – Najwyraźniej nie chcecie mieć prawdziwego wkładu w społeczeństwo. – Unosi szklankę. – Za ukończenie zupełnie nieprzydatnych studiów.

Wiem, że brzmi jak megadupek, ale zaufajcie mi, to działa.

– O mój Boże!

– Palant! – Dziewczyny się śmieją, jak zawsze zresztą, jedząc mu prosto z zarozumiałej i sarkastycznej ręki.

Biorę kolejny łyk burbona.

– A konkretnie jaką sztuką się zajmujecie?

– Ja maluję – odpowiada blondyna. – Szczególnie uwielbiam *body painting*. – Wodzi palcami po klacie Drew. – Byłoby z ciebie niesamowite płótno.

– Ja rzeźbię – mówi jej koleżanka. – Rękami potrafię zrobić wszystko.

Kończy trzymanego w ręku różowego drinka. Choć nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat i dokumentu tożsamości, wskazuję na bar.

– Chcesz coś do picia?

Nim dziewczyna ma szansę odpowiedzieć, wcina się Drew:

– A może wyjdziemy stąd? Poszlibyśmy do was? – Patrzy blondynie w oczy. – Mogłabyś mi pokazać swoje... dzieła. Założę się, że jesteś niezwykle utalentowana.

Dziewczyny przystają na propozycję, więc kończę burbona i cała nasza czwórka kieruje się do drzwi.

Okazuje się, że dziewczyny są współlokatorkami. Nie odzywam się, gdy przemierzamy trzy przecznice do ich mieszkania – pochłonięty dziwnie złym przeczuciem. To mieszanina nerwów i poczucia winy. Wyobrażam sobie uśmiechniętą i słodką twarz Jenny. Oczy ma wyobraźni widzę, jak trzyma naszą córeczkę, siedząc w bujanym fotelu, który dostaliśmy od ciotki Sylvii, gdy urodziła się Presley. Zastanawiam się, czy to, co robię – co zamierzam zrobić – jest w porządku.

Mijamy portiera, po czym wchodzimy na drugie piętro, a następnie do przestronnego salonu z beżowymi kanapami i lśniącą drewnianą podłogą wyłożoną orientальnym dywanem. Jest tu też duża kuchnia z dębowymi szafkami i granitowymi blatami, od salonu oddziela ją wyspa, przy której stoją trzy wysokie stołki. Ich mieszkanie jest o wiele ładniejsze, niż się spodziewałem po dwóch studentkach.

– Rozgoście się – mówi z uśmiechem brunetka. – Odświeżymy się nieco.

Kiedy znikają w korytarzu, Drew syczy do mnie:

– Wyglądasz jak dziewczyna na studniówce. Co się dzieje?

Ocieram spocone dłonie o spodnie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Nie widziałeś cycków tej brunetki? Przyjrzyj się uważniej, a przekonasz się, że te śliczności nigdy nie mogłyby być złym pomysłem.

Zaciskam usta, wahając się, po czym wyrzucam z siebie:

– Chodzi o to... że nigdy nie uprawiałem seksu z kimś innym niż Jenny.

Drew pociera czoło.

– O Jezu. – Wzdycha, opuszcza rękę i pyta: – Ale ona nie ma nic przeciwko temu, byś umawiał się z innymi? To znaczy, zgodziła się na to?

Unoszę ręce i wyjaśniam:

– No tak, ona to zasugerowała.

Evans przytakuje.

– Wydaje się być fajną dziewczyną. O co ci chodzi?

Pocieram kark, starając się rozładować zgromadzone tam napięcie.

– Chociaż o tym rozmawialiśmy... nie jestem pewien... nie wydaje mi się... Chcę być wobec niej w porządku.

W głosie Drew słychać irytację.

– Podziwiam to, Shaw. Jesteś szczerym facetem. Lojalnym. Podoba mi się to. – Wskazuje na mnie. – Właśnie dlatego myślę, że jesteś winien sobie i swojej Jenny godziny sprośnego, mokrego seksu z tą laską.

Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy Drew Evans jest diabłem – lub jego bliskim krewnym. Potrafię sobie wyobrazić, jak ofiarowuje Jezusowi bochen chleba podczas ścisłego postu, twierdząc przy tym, że spory kęs byłby całkowicie w porządku.

– Naprawdę wierzysz w to krowie łajno wychodzące z twoich ust?

Drew zbywa mnie machnięciem dłoni.

– Posłuchaj, a może się czegoś nauczysz. Jakie są twoje ulubione lody?

– Co to, do cholery, ma wspólnego...

– Odpowiedz na moje pieprzone pytanie. Jakie są twoje ulubione lody?

– O smaku masła orzechowego. – Wzdycham.

Unosi z ironią brwi.

– O smaku masła orzechowego? Nie sądziłem, że lubi je ktoś przed siedemdziesiątką. – Kręci głową. – Ale do rzeczy, skąd wiesz, że akurat te najbardziej lubisz?

– Bo lubię.

– Ale skąd to wiesz? – naciska.
– Ponieważ smakują mi bardziej niż... – urywam w pół zdania. Już rozumiem.
– Bardziej niż inne, których próbowałaś? – Kończy za mnie Drew. – Są lepsze niż waniliowe, truskawkowe lub czekoladowe?
– Tak – przyznaję cicho.
– A skąd byś wiedział, że smak masła orzechowego jest twoim ulubionym, nie zdając się oczywiście na przypadek, jeśli kiedykolwiek bałbyś się spróbować jakichś innych?

– Nie wiedziałbym.
Macha ręką niczym magik.

– Właśnie.

Widzicie o czym mówię? *Diabeł*.

Chociaż... to tak podobne do tego, co mówiła Jenny, do pytań, które zadała. „Czy naprawdę wiemy, co mówimy, wyznając sobie miłość, kiedy znamy tylko siebie? Czy jesteśmy na tyle silni, by zdać tego rodzaju test? A jeśli nie, to jaka przyszłość nas razem czeka?”.

Uderzenie w ramię wyrywa mnie z zamyślenia.

– Słuchaj, Shaw, to ma być dobra zabawa. Jeśli nie bawisz się dobrze, jeśli chcesz odpuścić, nie będę miał ci tego za złe.

Prycham.

– Jasne, że będziesz.

Drgają mu kąciki ust.

– Masz rację, będę miał, ale... nie powiem chłopakom, że wymiękłeś. Zostanie to między nami.

Nie mam możliwości odpowiedzieć, ponieważ do pokoju wracają dziewczyny. Przebrały się w luźniejsze, satynowe, nocne koszulki. Czuję miętowy zapach świeżo umytych zębów, kiedy blondynka pochyla się i szepcze do Drew:

– Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Drew wstaje.

– Zatem chcę to zobaczyć. – Zanim stawia krok w kierunku korytarza, patrzy na mnie. –

W porządku, stary?

W porządku?

Laska z czarnymi, kręconymi włosami przygląda mi się wyczekująco – licząc na jakikolwiek ruch z mojej strony. W końcu zaczynam rozumieć... Nie ma żadnego powodu, bym odmówił.

– Tak, tak, w porządku.

Drew bierze blondynkę za rękę i prowadzi do pokoju na końcu korytarza.

Pozostawiony sam na sam z czarnowłosą towarzyszką, niespiesznie się jej przyglądam – naprawdę na nią patrzę. Jej piersi są większe niż te, do których przywykłem, ma wąską talię i krągłą pupcię, która wszystko ładnie równoważy. Tyłeczek, którego można się trzymać, ugniatać go palcami, kierować w przód i w tył, w górę i w dół. Jej nogi są gładkie i opalone, a cała skóra bez skazy.

Po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru odczuwam podniecenie, które porusza moim fiutem, wyrywając go z pięciomiesięcznej hibernacji.

Nie pytam o jej imię, ona nie pyta o moje. W anonimowości jest wolność i pewien dreszczyk. Nigdy więcej nie zobaczę tej dziewczyny – to, co zrobimy i powiemy, nie wyjdzie poza ściany tego mieszkania, nie wróci, by mnie dręczyć, nie dotrze do wścibskich uszu mieszkańców małej miasteczka znajdującej się bardzo daleko stąd. Tysiące fantazji, każda ostrzejsza niż poprzednia, pojawiają się w moim umyśle niczym dym wydostający się z ogniska.

Rzeczy, o które nigdy nie prosiłbym Jenny – zapewne dostałbym w pysk za samą sugestię.

Ale piękna, bezimienna nieznajoma... dlaczego nie?

– Chcesz zobaczyć mój pokój? – pyta.

Mój głos jest głęboki i sprośny, podobnie jak moje myśli:

– Tak.

W jej sypialni przeważają odcienie ciemnej czerwieni, brązu i zgaszonego pomarańcza, nie są zbyt kobiece. Siadam na skraju łóżka, ze stopami ułożonymi na podłodze i szeroko rozstawionymi kolanami.

Opuściły mnie wszelkie oznaki niezdecydowania.

Kiedy dziewczyna zamyka drzwi, pyta:

– Co studiujesz? Już wcześniej miałam zapytać.

– Prawo.

Staje przede mną na wyciągnięcie ręki, patrzy na mnie z lekko przekrzywioną głową i przymkniętymi powiekami.

– Dlaczego chcesz być prawnikiem?

Uśmiecham się.

– Lubię się spierać. Lubię... udawaniać ludziom, że się myślą.

Podchodzi bliżej i bierze mnie za rękę, po czym obraca moją dłoń i wodzi po niej palcami. To łaskocze, a jednocześnie sprawia, że przyspiesza mi puls.

– Masz silne ręce.

Na farmie nie można mieć miękkich dłoni. Narzędzia, liny, płoty, siodła, dźwiganie i kopanie w ziemi sprawiają, że skóra jest szorstka, a mięśnie twarde.

– Wiesz, co najbardziej lubię w rzeźbiarstwie? – pyta z westchnieniem.

– Co?

Puszcza moją rękę i wpatruje się we mnie śmiałym, seksownym wzrokiem.

– Nie myślę, kiedy to robię. Nie planuję, tylko pozwalam dłoniom... robić to, na co mają ochotę. Co sprawia im przyjemność. – Chwyta za brzeg koszulki i zdejmuję ją przez głowę. Jej piersi są blade i jędrne, dumnie prezentują się przed moimi oczami. Dziewczyna staje dosłownie centymetry ode mnie całkiem naga. – Chcesz spróbować?

Bierze mnie za ręce, po czym kładzie je na aksamitnej skórze swojej klatki piersiowej. Kiedy przesuwam moje szorstkie dłonie na swoje piersi, przejmuję kontrolę. Obejmuję je, masuję delikatnie, przesuwam kciukami po jej sutkach. Są napięte, z różowych stają się ciemnoczerwone, co sprawia, że przygryzam wargę, by nie poddać się naglej pokusie polizania ich i skubnięcia zębami.

Moją ostatnią spójną myślą są cztery słowa:

Mógłbym do tego przywyknąć.

Trzy tygodnie później

– Ty zdracliwyy, kłamliwy sukinsynie!

Jenny gwałtownie unosi rękę i uderza mnie w twarz, ramiona i wszędzie, gdzie tylko może sięgnąć.

Łup.

Łup.

Klap, klap.

Łup.

– Jenny, przestań! – W końcu udaje mi się ją złapać i przytrzymać na miejscu. – Do cholery, przestań!

Gorące łzy wściekłości spływają po jej policzkach, jej oczy są spuchnięte od rozpacz.

– Nienawidzę cię! Niedobrze mi na twój widok! Nienawidzę cię!

Wyrywa mi się, biegnie na ganek i zatrząskując za sobą drzwi, znika w domu.

Zdezorientowany stoję na trawniku. Czuję się, jakby ktoś otworzył mi pierś, nie tylko po to, by złamać mi serce, ale by mi je wyrwać. I jest jeszcze coś – coś więcej niż wyrzuty sumienia – jest strach. Sprawia, że pocą mi się dłonie i mrowi skóra. Boję się, że spieprzyłem, jestem przerażony, że zaprzepaściłem najlepszą rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Próbując się pozbierać, przeczesuję dłonią włosy. Siadam na stopniach ganku i opieram łokcie na kolanach. Zerkam na Presley siedzącą wraz z kuzynem na kocu przy huśtawce jakieś pięć metrów ode mnie. Jej jasne loczki kołyszają się, gdy mała się śmieje, na szczęście całkowicie nieświadoma tego, co się dzieje.

Nagle na schodach pojawia się Ruby, siostra Jenny. Wygląda jeansową minispódniczkę, po czym odrzuca czerwone loki za ramię.

– Toś sobie nawarzył piwa tym razem, Stanton.

Normalnie nie oczekiwałbym od Ruby jakiegokolwiek porady – a już na pewno nie w sprawach związku. Jednak tylko ona tu jest.

– Nie wiem... Nie wiem, co się stało.

Ruby prycha.

– Powiedziałaś mojej siostrze, że przeleciałaś inną panienkę, oto co się stało. Żadna babka nie chce tego słuchać.

– To po co pytała?

Kręci głową, jakby odpowiedź była oczywista.

– Bo chciała usłyszeć, jak zaprzeczasz.

– Zgodziliśmy się na spotkanie z innymi – spieram się. – Stwierdziliśmy, że będziemy wobec siebie szczerzy. Dojrzali.

– Mówienie, a czucie to dwie różne rzeczy, kochasiu. – Skubie lakier na paznokciach. – Słuchaj, macie z Jenny po osiemnaście lat, jesteście dziećmiakami... To się musiało stać. To była tylko kwestia czasu.

Ledwo mogę coś z siebie wydusić.

– Ale... ja ją kocham.

– A ona kocha ciebie. Dlatego tak ją to boli.

Nie ma mowy, bym się poddał, nie ma mowy, bym odpuścił – nie tak. To strach popycha mnie do działania, do mówienia. Do chwytania się ostatecznych rozwiązań jak tonący brzytwy.

Dębowymi schodami wchodzę na piętro i staję przed pokojem, który Jenny dzieli z naszą córeczką, a po zamkniętych drzwiach wnoszę, że nie jestem mile widziany.

Otwieram je i widzę ją na łóżku. Trzęsą się jej ramiona, kiedy płacze w poduszkę. Ten widok sprawia, że czuję, jakby nóż wbijał mi się w brzuch. Siadam na skraju łóżka i dotykam jej ręki. Jenny ma gładką skórę – miękką niczym płatki kwiatów. Nie chcę, by był to ostatni raz, kiedy jej dotykam.

– Przepraszam. Przykro mi. Nie płacz. Proszę, nie... znienawidź mnie.

Siada, nie kłopotząc się ocieraniem z twarzy dowodów na jej złamane serce.

– Kochasz ją?

– Nie – wyznaję szczerze. – Nie, to była jednorazowa przygoda. Nic nie znaczyła.

– Ładna była?

Odpowiadam jak prawnik, którym mam się stać:

– Nie tak ładna jak ty.

– Dallas Henry zaprosił mnie do kina – przyznaje cicho Jenny.

Wszelkie wyrzuty sumienia idą z dymem, zostają zastąpione przez palący gniew. Dallas Henry był skrzydłowym w mojej licealnej drużynie futbolowej – zawsze był palantem. Kolesiem, który na imprezach podrywał pijane laski – takim, który z chęcią wsypałby im coś do drinka, by upiły się szybciej.

– Jaja sobie robisz?

– Odmówiłam mu.

Furia nieco przygasa – tylko odrobinę. Przed wyjazdem i tak moje pięści będą musiały odbyć miłą pogawędkę z pieprzonym Dallasem Henrym.

– Dlaczego ty nie odmówiłaś, Stanton? – pyta cicho oskarżycielskim głosem.

Jej pytanie sprawia, że znów z pełną siłą odzywają się we mnie wyrzuty sumienia. Wstaję spięty i zaczynam chodzić po pokoju.

– Odmówiłem! Mnóstwo razy. Cholera, Jenn... Myślałem... że to nie jest zdrada! Nie możesz się za to na mnie złościć. Mówiłaś, że tego chciałaś. To nie fair.

Czekam na odpowiedź, a każdy mięsień w moim ciele jest napięty. Po chwili, która wydaje się wiecznością, Jenny kiwa głową.

– Masz rację.

Patrzy na mnie niebieskimi oczyma, a znajdujący się w nich smutek przeszywa mnie aż do szpiku kości.

– Po prostu... Nie znoszę obrazu jej i ciebie w mojej głowie. Chciałabym się cofnąć do chwili, kiedy... kiedy nie wiedziałam. Mogłabym udawać, że zawsze byłam tylko ja. – Łka. – Jestem... jestem żalosna?

– Nie – jęczę. – Nie jesteś. – Padam przed nią na kolana, świadomy, że błagam, ale niezbyt mnie to obchodzi. – Zawsze byłaś tylko ty, w każdym liczącym się względzie. To, co dzieje się, gdy jesteśmy osobno, będzie miało znaczenie, jeśli do tego dopuścimy. – Przesuwam rękami po jej udach, potrzebuję jej dotykać, by odwrócić jej uwagę, rozpaczliwie pragnę, byśmy znów byli razem. – Lato spędzam w domu. Chciałbym w każdej sekundzie tych dwóch i pół miesiąca cię kochać. Mogę, skarbie? Proszę, pozwól mi się kochać.

Jej wargi są ciepłe i spuchnięte od płaczu. Na początku dotykam ich lekko, prosząc o zgodę, po czym robię to mocniej, rozchylając je językiem, domagając się współpracy. Zajmuje to chwilę, jednak w końcu Jenny odwzajemnia pocałunek. Drobnymi dłońmi chwyta mnie mocno za koszulę i przyciąga do siebie.

Posiada mnie w sposób, w który zawsze byłem jej.

Opada w tył na łóżko, ciągnąc mnie za sobą. Zawisam nad nią na łokciach, jej pierś wznosi się i opada, kiedy dziewczyna dyszy.

– Nigdy więcej nie chcę o tym słyszeć, Stanton. Nie pytamy, nie mówimy. Obiecuj.

– Obiecuję – mówię, skłonny zgodzić się w tej chwili na wszystko.

– Jesienią zaczynam szkołę – przyznaje. – Też będę spotykała się z innymi. Będę się umawiała i nie możesz się złościć. Ani być zazdrosny.

Kręcę głową.

– Nie będę. Nie chcę się kłócić. Nie chcę... Nie chcę stać ci na drodze.

I to przedziwna prawda.

Częściowo chciałbym zatrzymać Jenny jedynie dla siebie, zamknąć ją w tym domu, wiedząc, że nie robi nic innego, tylko na mnie czeka. Jednak silniejszy od tego jest strach, że się wypalimy, skończymy, nienawidząc siebie, obwiniając się nawzajem za wszystko, co przegapiliśmy i co nas ominęło. Za wszystkie te rzeczy, których nie spróbowaliśmy.

Nade wszystko nie chcę obudzić się za dziesięć lat i stwierdzić, że moja dziewczyna nienawidzi swojego życia... przeze mnie.

Jeśli ma to zatem oznaczać, że przez chwilę będę musiał się nią dzielić, jakoś to wytrzymam – przyrzekam.

Patrzę jej głęboko w oczy.

– Ale kiedy jestem w domu, jesteś moja. Nie pieprzonego Dallasa Henry’ego ani nikogo innego, tylko moja.

Przesuwa palcami po moim policzku.

– Tak, twoja. Będę też tą, dla której wracasz. Wtedy żadna inna cię nie dostanie, Stanton. Żadna dziewczyna... nie dostanie tego, co ja.

Całuję ją z pasją – zamykając jej usta. Muskam wargami jej szyję, dłońmi odnajduję brzuch, jednak Jenny chwytą mnie za nadgarstki.

– Rodzice są na dole.

Zaciskam mocno powieki i biorę głęboki wdech.

– Pojedziemy wieczorem nad rzekę? Będziemy jeździć w kółko, póki Presley nie zaśnie.

Jenny się uśmiecha.

– Za każdym razem zasypia w furgonetce.

Całuję ją w czoło.

– Świetnie.

Kładę się na plecach, a Jenny zwija się obok, wtulając twarz w moją koszulkę.

– Nie zawsze tak będzie. Pewnego dnia skończysz studia i wszystko wróci do normy.

Tak.

Pewnego dnia...

Dziesięć lat później
Waszyngton

Praca obrońcy w sprawach karnych nie jest tak ekscytująca, jak sobie zapewne wyobrażacie. Nie jest nawet tak emocjonująca, jak wyobrażają to sobie studenci prawa. Trzeba się naszukać sporo informacji, a sąd i tak odsyła akta, by jeszcze raz sprawdzić każdy argument z wielostronicowej dokumentacji sprawy, wypełnionej takim językiem, że przyprawia prawnika o ból głowy. Jeśli pracujecie w kancelarii i zostajecie wyznaczeni do reprezentowania klienta przed sądem, rzadko macie możliwość ujawniania nowych faktów w krzyżowym ogniu pytań, nie ma wspaniałych momentów na sali.

Przeważnie wykładacie wszystkie fakty przed ławą przysięgłych, ujawniacie szczegół po szczególe. Pierwsza zasada, której się uczycie na studiach to: nigdy nie zadawaj pytania, na które nie znasz odpowiedzi.

Przykro mi, że burzę wasze wyobrażenie, ale naprawdę nie ma niczego mniej ekscytującego.

W Stanach Zjednoczonych oskarżeni mogą wybierać, kto ma zdecydować o ich losie: czy ma być to sędzia, czy członkowie ławy przysięgłych. Zawsze doradzam klientom, by byli to przysięgli – cudem jest przekonanie dwunastu ludzi, by chcieli zjeść lunch o tej samej godzinie, nie mówiąc już o skazaniu czy uniewinnieniu oskarżonego. Istnieje więc możliwość odrzucenia sprawy, co ma miejsce, kiedy przysięgli nie mogą dojść do porozumienia, a co jest wygraną obrony.

Słyszeliście ten stary kawał o ławie przysięgłych? Czy naprawdę chcecie być sądeni przez dwunastu ludzi, którzy nie byli na tyle sprytni, by wykręcić się od obowiązku zasiadania w ławie? Tak – dokładnie tego chcecie, ponieważ są to osoby niezaznajomione z literą prawa. Są to też ludzie, których można przeciągnąć na swoją stronę – przez wiele rzeczy, które tak naprawdę nie mają absolutnie nic wspólnego z procesem.

Jeśli ławnicy polubią oskarżonego, będzie im trudniej wydać wyrok skazujący, dzięki któremu pozwany trafi za kratki na następne dziesięć lub dwadzieścia lat. Właśnie dlatego nalegam, by oskarżeni złodzieje zjawiali się w sądzie ubrani w dobrze skrojone garnitury – a nie pomarańczowe więzienne kombinezony. To właśnie dlatego Casey Anthony[1] przyszła do sądu ze starannie przygotowaną fryzurą i elegancko ubrana, by wydawała się słodka i skromna. Pewnie, że ławnicy powinni być bezstronni oraz opierać swój wyrok wyłącznie na przedstawionych dowodach.

Jednak ludzka natura nie działa w ten sposób.

Niemale znaczenie mają tu również umiejętności obrońcy reprezentującego klienta. Jeśli adwokat jest niechlujny, burkliwy czy nudny, ławnicy są mniej skłonni uwierzyć w jego wersję. Z drugiej strony, jeśli obrońca wydaje się bystry, jest wygadany – i do tego – przystojny, badania udowadniają, że ława przysięgłych jest bardziej skłonna uwierzyć takiemu prawnikowi. A wierząc jemu – wierzą klientowi.

Ważne też, by obrońca nie pokazał, że mocno się stara. Nie ujawniał chytrych i przebiegłości – nie chce przecież być postrzegany jak sprzedawca używanych samochodów. Ludzie wiedzą, kiedy są kantowani.

Najważniejsze jednak jest, by kiedy tylko to możliwe, zapewnić im dobrą rozrywkę. Dać im coś interesującego do oglądania. Oczekują sprzeciwów, klótni, krzyków i walenia przez sędziego młotkiem. Mają nadzieję na spektakl na żywo z udziałem Toma Cruise'a i Jacka Nicholsona jak w *Ludziach honoru*. System może i jest nudny, ale wy – prawnicy – nie musicie tacy być. Możecie być zabawni. Możecie im pokazać, jak wielkie macie jaja i że nie boicie się z nich korzystać.

Ja mam największe jaja – ławnicy nie są w stanie oderwać od nich oczu.

W przenośni... i dosłownie.

– Może pan kontynuować mowę końcową, panie Shaw.

– Dziękuję, wysoki sędzie. – Wstaję i zapinam szarą, dopasowaną marynarkę. Ostatnio ten kolor jest hitem wśród pań – a dziesięć spośród dwunastu ławników to kobiety.

Z zadumaną miną patrzę po ich twarzach, przedłużam milczenie, potęgując napięcie, po czym się rozkręcam:

– Następnym razem, gdy cię zobaczę, odrąbię ci pieprzonego fiuta i wepchnę do gardła. – Przerwa. Kontakt wzrokowy z przysięgłymi. – Kiedy cię znajdę, będziesz mnie błagał o śmierć. – Przerwa. Wskazanie palcem. – Tylko poczekaj, gnoju, jak cię dorwę. – Wychodzę zza stołu obrony i staję tuż przed ławą przysięgłych. – To słowa człowieka, którego oskarżenie uważa... – W powietrzu zaznaczam palcami cudzysłów. – ...za ofiarę. Widzieliście SMS-y. Słyszeliście, jak zeznał pod przysięgą, że wysyłał je do mojego klienta. – Cmokam. – Dla mnie nie brzmią one jak słowa ofiary. – Wszystkie spojrzenia śledzą mnie, gdy zaczynam chodzić niczym profesor udzielający wykładu. – Brzmią one jak groźby i to poważne. Tam, skąd pochodzę, grożenie męskiemu przyrodzeniu... Nie ma dosadniejszych słów niż to.

Z ławy przysięgłych dochodzi kilka stłumionych chichotów.

Opieram ręce na poręczy odgradzającej mnie od nich i patrzę każdej z osób w oczy tak długo, by poczuła się ważna – przygotowując ich na ujawnienie małego, brudnego sekretu.

– W trakcie tego procesu słyszeliście różne rzeczy na temat mojego klienta, Pierce'a Montgomery'ego, które były mało pochlebne. Odrażające wręcz. Założę się, że nie za bardzo go lubicie. Prawdę mówiąc, sam też go nie lubię. Miał romans z mężatką. Zamieszczał na portalach społecznościach zdjęcia bez jej zgody. Tak nie zachowuje się honorowy człowiek. – Zawsze dobrze jest pozbyć się złych rzeczy. To jak wyrzucenie worka zjełczałych śmieci, po czym przejście nad nim, by smród stał się bardziej znośny. – Jeśli byłby sądzony za przyzwoitość, zapewniam was, że nie broniłbym go dzisiaj. – Staję prosto, koncentrując na sobie ich uwagę. – Jednak nie na tym polega wasze dzisiejsze zadanie. Jesteście tutaj, by osądzić jego działanie w noc piętnastego marca. Jako społeczeństwo nie karzemy za obronę życia lub zdrowia przed fizycznym niebezpieczeństwem. A to właśnie robił mój klient tamtego wieczoru. Stał twarzą w twarz z człowiekiem, który mu nieustannie groził, a miał wszelkie powody, by sądzić, że zagrożenie jest poważne, aby bać się o swoje zdrowie, a może i nawet o życie. – Urywam, pozwalając im to sobie przetworzyć. Wiem już, że są po mojej stronie, wizualizując sobie w myślach tamtą noc oczami bydlaka, który ma szczęście, że jestem jego obrońcą. – Mój trener futbolu mawiał, że dobrą obroną jest szybki atak. To słowa, które stosuję po dziś dzień. Zatem, choć Pierce pierwszy wyprowadził ciosy, nadal się bronił. Pod wpływem uzasadnionego strachu przeciwdziałał wcześniejszym groźbom. A o to, panie i panowie, właśnie chodzi w tej sprawie.

Stoję przed ławnikami i cofam się o krok, zwracając się do nich jak do całej ławy przysięgłych:

– Jestem przekonany, że uznacie, iż mój klient działał w obronie własnej. I że wydacie wyrok uniewinniający mojego klienta. – Nim siadam za stołem obrony, stawiam kropkę nad i, zamykając swoją argumentację: – Dziękuję za wasz czas i uwagę, byliście... wspaniali.

Otrzymuję uśmiechy od ośmiu spośród dziesięciu kobiet – jestem na nie łasy.

Kiedy już siedzę, moja współpracowniczka z obojętną miną pisze coś na podkładce, którą po chwili przesuwa w moją stronę.

Rozłożyłeś ich na łopatki!

Podczas procesu prawnicy komunikują się przez notatki, ponieważ szeptanie jest źle widziane. Uśmiech czy grymas mogłyby zostać błędnie zinterpretowane przez ławę przysięgłych. Zatem moją jedyną zauważalną reakcją jest krótkie skinienie głową.

W duchu chichoczę jak uczeń. Odpisuję:

W rozkładaniu na łopatki jestem najlepszy.

Czyżbyś o tym zapomniała?

Sofia jest profesjonalistką. Nie wymyka jej się uśmiech. I nigdy nie widziałem, by się rumieniła. Pisze tylko:

Zarozumiały dupek.

Pozwalam sobie na cień uśmiechu.

A mówiąc o dupkach, nadal mam ślady po paznokciach na pośladkach.

Robisz się wilgotna?

To niestosowne i całkowicie nieprofesjonalne – ale właśnie dlatego tak mnie to bawi. Fakt, że nasz pieprzony klient lub ktokolwiek siedzący w pierwszym rzędzie za nami mógłby dostrzec, co napisałem, dodaje smaczku. Jak w przypadku palcówki robionej kobiecie pod stołem w zatłoczonej restauracji – równie zabawne zjawisko – możliwość przyłapania sprawia, że to o wiele bardziej niebezpieczne i seksowne.

Figlarna iskierka błyszczy w jej piwnych oczach, gdy pisze:

Zrobiłam się wilgotna już przy „Panie i panowie”. Przestań.

Odpisuję:

Mam przestać? A może zachować to na później?

W odpowiedzi dostaję błądy, subtelny uśmiech. Jednak to nie wszystko.

Może być na później.

Po wysłuchaniu zarzutów i długich instrukcjach sędziego, ławnicy udają się do strzeżonego pomieszczenia na naradę, a my zostajemy zwolnieni z sali. Korzystam więc z okazji, by udać się na lunch ze starszym bratem ze studiów do lokalnego baru serwującego najlepsze w mieście kanapki. Przy napiętych harmonogramach w pracy i w domu, mamy szansę zobaczyć się jedynie jakieś dwa razy do roku – kiedy zdarza nam się być w tym samym mieście z powodu interesów.

Drew Evans praktycznie się nie zmienił od czasów studiów. Ma ten sam cięty dowcip, tę samą arogancję przyciągającą do niego kobiety niczym ómy do niebieskiej żarówki na owady. Jedyna różnica jest taka, że Drew nie zauważa już lawiny kobiet śliniących się na jego widok. A nawet jeśli zauważa, to tego nie odwzajemnia.

– To wszystko? Jest pan pewien, że nie potrzebuje pan niczego więcej? – pyta dwudziestokilkuletnia kelnerka z nadzieją, po raz trzeci w ciągu ostatnich piętnastu minut.

Drew bierze łyk piwa, po czym odprawia ją:

– Nie. Mam wszystko, dzięki.

Przygarbiona odchodzi od naszego stolika.

Drew jest bankierem inwestycyjnym, pracuje w firmie ojca znajdującej się w Nowym Jorku. Zajmuje się również moimi finansami, dzięki niemu na funduszu zgromadziłem już pieniądze na opłacenie dwóch lat studiów Presley. Mieszanie kasy z przyjaźnią wydaje się być niemądre, jednak gdy przyjaciele są tak utalentowani w zarabianiu, to wręcz genialne połączenie.

Dźwięk przychodzącej wiadomości wybrzmiewa na jego telefonie. Patrzy na ekran, a na jego twarzy pojawia się głupekowaty uśmieszek – taki, który widziałem u niego tylko raz: osiem miesięcy temu na jego ślubie.

Wycieram usta chusteczką, rzucam ją na stół i odchylam się na krześle, aż zaczynam się huśtać.

– Jak tam Kate?

Kate jest żoną Drew.

Jego niezwykle piękną żoną.

Niezwykle piękną żoną, z którą udało mi się zatańczyć na ich weselu. Wydawało się, że mojemu kumplowi ani trochę to się nie podobało.

Jaki byłby ze mnie przyjaciel, gdybym się z nim nie podroczył na ten temat?

Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Fantastycznie. Jest moją żoną, jak mogłoby być inaczej?

– Dałeś jej moją wizytówkę? – naciskam. – By mogła się skontaktować, gdyby chciała jakichś usług prawnych... lub jakichkolwiek innych?

Uśmiecham się, a on się krzywi.

– Nie, nie dałem jej twojej wizytówki, gnojku. – Pochyla się, nagle zadowolony. – Poza tym Kate cię nie lubi.

– Tak sobie wmawiasz?

Śmieje się.

– To prawda, myśli, że nie można ci ufać. Jesteś obrońcą, a Kate jest matką. Wierzy, że pozwalasz pedofilom chodzić po ulicach.

Jest w błędzie, całkowicie się myli. Obrońcy dbają o system – sprawiają, że jest zdrowy. Opowiadamy się po stronie małego chłopca, stoimy między nim a nieograniczoną władzą państwa. Jednak ludzie o tym zapominają – myślą, że chodzi jedynie o pedofilów i fundusze emerytalne złodziei.

– Mam córkę – spieram się. – Nie broniłbym pedofila.

Drew znajduje lukę w moim rozumowaniu.

– Próbujesz zostać partnerem w firmie, bronisz tych, których bronić ci każą.
Wzruszam wymijająco ramionami.

– A mówiąc o twojej córce – zmienia temat. – Ile już ma lat? Dziesięć?
Zawsze, gdy jest mowa o mojej córce, czuję dumę.

– Miesiąc temu skończyła jedenaście. – Wyjmuję telefon i pokazuję zdjęcia, które w większości zapełniają moją kartę pamięci. – Brała udział w konkursie cheerleaderek. Na południu to prawdziwy sport, nie żadne wymachiwanie pomponikami dla idiotek.

Jenny i Presley wciąż mieszkają w Missisipi. Po licencjacie na Columbii poszedłem na dalsze studia na Uniwersytecie George’a Washingtona, więc rozmawialiśmy o ich przeprowadzce do Waszyngtonu, jednak Jenny nie chciała wychowywać dziecka w dużym mieście. Chciała, by nasza córeczka dorastała tak jak my – pływała w rzece, jeździła na rowerze po kamienistych drózkach, biegła boso po łąkach i po wyjściu z kościoła chodziła na niedzielne grille.

Zgodziłem się – nie podobało mi się to, ale się zgodziłem.

Drew gwizdże z podziwem, gdy pokazuję mu fotki, na których jest ubrana w zielony strój drużyny. Ma długie blond włosy, zwinięte w loki i upięte wysoko, błyszczące, niebieskie oczy i zapierający dech w piersiach, perłowobiały uśmiech.

– Jest piękna, Shaw. Ma szczęście, że odziedziczyła urodę po matce. Mam nadzieję, że masz już przygotowaną pałkę do baseballa.

Macham ręką.

– Nie, stary, mam shotguna.

Kiwa głową z aprobatą i klepie mnie w ramię.

– Hej, nieznajomy, dawno się nie widzieliśmy. – Unoszę wzrok i widzę Sofię Mirandę Santos, moją współpracowniczkę – i nie tylko – podchodzącą do naszego stolika.

Ubranie nie tylko zdobi człowieka – dla kobiet jest też pewnym wyznacznikiem. Odzież Sofii wiele o niej mówi. Kobieta ubiera się zgodnie ze swoim charakterem – bez zarzutu, z klasą, elegancko, jednak cholernie seksownie, przez co ślinka napływa mi do ust. Ma na sobie jedwabną, czerwoną bluzeczkę zapinaną na ozdobne guziki, która odsłania jedynie niewielki fragment jej opalonej skóry tuż przy obojczykach, ale niewiele dekoltu. Jednak materiał wyśmienicie podkreśla ofiarowany jej przez Boga duży biust – pełne, jędrne, wspaniałe piersi. Krótka, szara marynarka zakrywa długie, smukłe ramiona, a pasująca do niej obcisła, ołówkowa spódnica opina się na okrągłych biodrach, odsłaniając kolana i opalone nogi, na które od kilku dni mam ochotę.

– Gdzie się ukrywałaś? – pytam, wskazując, by usiadła na wolnym krześle. – Dołączysz do nas?

Naturalnie rubinowe usta uśmiechają się w odpowiedzi.

– Dziękuję, ale nie. Właśnie zjadłam lunch z Brentem.

Gestykuluję, przedstawiając ich sobie.

– Drew Evans, to Sofia Santos, koleżanka wybawiciela pedofilów, według twojej żony. – Słyszając moje słowa, Sofia unosi lekko ciemne brwi, ale ciągnę dalej: – Soph, to Drew Evans, mój kumpel ze studiów, bankier i nieokrzesany dupek.

Ignorując mój przytyk, kolega wyciąga rękę:

– Miło mi cię poznać, Sofio.

– Mnie również.

Kobieta sprawdza czas na swoim roleksie i mówi:

– Powinieneś kończyć, Stanton. Chyba nie chcesz przegapić werdyktu?

Kręcę głową, nim kończy zdanie, ponieważ rozmawialiśmy o tym od początku procesu.

– Nie spiesz mi się, kochana. Do diabła, możemy nawet zamówić deser, bo ci ławnicy

nie wrócą przynajmniej do poniedziałku.

– Być może i jesteś „Uwodzicielem Przysięgłych”... – Kręci wymalowanym paznokciem, jakby czarowała ze szklanej kuli. – ...ale ja mam dar przewidywania i widzę, że te kury domowe chcą przed weekendem mieć z głowy ten proces.

– „Uwodziciel Przysięgłych”? – drwi Drew. – To urocze.

Pokazuję mu, że może spadać, jednocześnie zwracając się do Sofii:

– Twoja wizja tym razem jest błędna.

Zaciska usta.

– Założymy się, chłoptasiu?

– A o co, słodziaku? – droczyć się z wyzywającym uśmiechem.

Evans z nieskrywaną wesołością obserwuje naszą potyczkę.

Sofia opiera dłonie na stoliku i pochyla się ku mnie. Nabieram zupełnie nowego szacunku dla grawitacji, ponieważ to dzięki jej sile bluzka odstaje od ciała dziewczyny, dając mi przemiły widok na cudne cycuszki otoczone czarną koronką biustonosza.

– Porsche.

Zaskoczony wytrzeszczam oczy. Gra twardo.

Wie, że moja srebrna carrera 4S cabrio jest moją najcenniejszą dzieciną. To pierwsza rzecz, którą sobie kupiłem, kiedy cztery lata temu zostałem zatrudniony w prestiżowej kancelarii prawnej Adams&Williamson. Jest nieskazitelna. Nie wyjeżdżam nią, kiedy pada deszcz. Nie parkuję pod drzewami, by nie srały na nią ptaki. Nie pozwalam jej nikomu prowadzić.

– Jeśli ławnicy wrócą jeszcze dzisiaj, pozwolisz mi zabrać porszaka na przejażdżkę życia.

– Patrzy na mnie wyczekująco.

Pocieram brodę, rozważając propozycję.

– To spore wyzwanie – ostrzegam cicho.

– Pff... dziecięca igraszka.

– Co dostanę, kiedy przegrasz?

Staje prosto, wygląda na zadowoloną, nawet jeśli nie słyszała jeszcze moich warunków.

– A czego chcesz?

W mojej głowie pojawia się obraz krągłości Sofii ledwo okrytych czerwonym bikini oraz mokrej, namydlonej skóry. Nie jestem przez to w stanie powstrzymać uśmiechu rozciągającego mi usta.

– Przez jeden miesiąc przynajmniej raz w tygodniu będziesz musiała ręcznie umyć mój samochód.

Nie waha się.

– Stoi.

Nim przybijamy zakład, patrzę jej w oczy i z premedytacją pluję sobie na dłoń.

Przypiętowanie zakładu jest śliskie i mokre. Sofia marszczy nos, jednak jej oczy lśnią rozbawieniem, które tylko ja potrafię odczytać.

Podoba jej się to.

Puszczam jej rękę, którą natychmiast wyciera w serwetkę. Dołącza do nas Brent Mason, który zjawiał się od strony toalet. Brent również pracuje w naszej firmie, przyjęto go w tym samym roku, co Sofię i mnie, choć wygląda na młodszego. Ma duże, niebieskie oczy, pofalowane, brązowe włosy i beztroską osobowość, dzięki której czuję się trochę, jakby był moim młodszym bratem. Idąc, kołysze się na boki, co wydaje się być chłopięcą manierą, tak naprawdę jednak spowodowane jest to protezą lewej nogi, którą Brent stracił w dzieciństwie w wyniku wypadku. Być może odjęto mu kończynę, ale dobry humor Brenta pozostał nienaruszony.

Jak wszyscy pracownicy, Brent i Sofia dzielą gabinet. Są zżyci w dość platoniczny, przyjacielski sposób.

Brent – a przynajmniej jego rodzina – ma też więcej pieniędzy niż sam Bóg. Fortunę tak wielką, że nie zdają sobie sprawy, iż nie każdy, kto pragnie odpocząć od zgiełku wielkiego miasta, spędza wakacje na południu Francji lub w swojej rezydencji na Potomaku. Ojciec Brenta miał aspiracje polityczne, jeśli chodzi o swojego jedynaka, wierzył, że bycie prokuratorem podłoży podwaliny dla jego ambicji.

Brent skończył więc studia i został obrońcą w sprawach karnych.

– Hej, Shaw – wita się.

Kiwam głową.

– Mason. – Wskazuję na Drew. – Brent Mason, to Drew Evans, mój przyjaciel. – Patrzę na niego. – Brent jest kolejnym prawnikiem w naszej firmie.

Ściskają sobie dłonie, przy czym Drew zauważa:

– Jezu, czy w Waszyngtonie jest ktoś, kto nie jest prawnikiem?

Śmieję się.

– Większość mieszkańców.

Zanim ma szansę odpowiedzieć, wcina się Brent:

– Sofio, możemy iść? Za dwadzieścia minut jestem umówiony z klientem.

– Możemy. Miło było cię poznać, Drew. Z tobą, Stanton, zobaczę się w sądzie.

Udaję zmieszanie.

– Masz na myśli kancelarię?

Sofia kręci głową i idzie za Brentem do drzwi.

Obserwuję, jak odchodzi, ciesząc się każdą sekundą.

Co nie zostaje niezauważone.

– Naprawdę uważasz, że to mądre?

Z powrotem skupiam się na nim.

– Co takiego?

– Posuwanie współpracowniczki – szybko wyjaśnia Evans. – Uważasz, że to rozsądne?

Myślę nad tym przez chwilę, zastanawiając się, skąd wie... Po chwili śmieję się z siebie... Oczywiście, że wie.

– I mówi to facet, który kilka miesięcy temu poślubił współpracowniczkę?

Drew odchyła się na krześle, kładzie rękę na jego oparciu.

– To zupełnie co innego. Jesteśmy z Kate wyjątkowi.

Upijam łyk wody.

– Dlaczego uważasz, że posuwam Sofię?

– Ach... ponieważ mam oczy. I uszy. A nic w seksualnym napięciu, którego właśnie byłem świadkiem, nie zostało zakamuflowane. A tak przy okazji, spieprzyłeś ten zakład. Ja postawiłbym na pieprzenie jej na masce tego samochodu, dopiero później kazałbym go umyć. – Wzrusza ramionami. – Ale to ja. Wróćmy więc do mojego wcześniejszego pytania...

Nie ma sensu zaprzeczać.

– Sofia jest bez wątpienia najmądrzejszą kobietą, na którą wpadłem. Skojarzenie zamierzone.

Drew to się nie podoba.

– Podążasz niebezpieczną ścieżką, Shaw. To pole minowe usiane niezręcznościami i kobiecą pogardą.

Rozumiem jego obawy, jednak są nieuzasadnione. Sofia jest kobietą pod każdym względem, jednak jest praktyczna jak mężczyzna. Nie marzy o rodzinnym samochodzie czy

białym płotku, a jedynie o narożnym gabinecie i nadgodzinach. Jest szczerą, bezpośrednią, ale również zabawną. Jest kobietą, którą uważam za przyjaciółkę, kimś, z kim z równą przyjemnością mogę wyjść na miasto, jak i iść do łóżka.

Nasz układ rozpoczął się pół roku temu. Pierwszy raz był spontaniczny, nierozważny. Wiedziałem, że jej pragnę, ale nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo, aż znaleźliśmy się wieczorem w piwnicy, w firmowej bibliotece. Oboje pracowaliśmy do późna, byliśmy spięci i nie mieliśmy czasu – w jednej chwili omawialiśmy niuanse pewnej sprawy, w drugiej zrywaliśmy z siebie ubrania, po czym na stosach oprawionych w skórę akt pieprzyliśmy się jak zwierzęta.

Wydawaliśmy też podobne do nich odgłosy.

Podnieca mnie wspomnienie każdego dźwięku, który wtedy wydawała, a była to symfonia jęków, pisków i warknięć, kiedy trzykrotnie doprowadziłem ją do orgazmu. A gdy w końcu sam osiągnąłem zadowolenie – cholera, przez dobre pięć minut nie mogłem ustać na nogach.

Później spoceni i rozczochrani, niczym żołnierze po bitwie, zaczęliśmy rozmawiać. Zgodziliśmy się, że było to coś, co chcielibyśmy powtarzać – wielokrotnie – że była to potrzeba odreagowania stresu, która idealnie wpasowała się w nasz przepełniony grafik.

Nie jest to tak zimne, jak brzmi. Jednak jest... proste.

Uśmiecham się.

– Nie, stary, Sofia jest jak... jeden z chłopaków.

– Posuwasz kumpla?

Krzywię się.

– Nie brzmi to seksownie, kiedy tak to ujmujesz. Chodzi mi o to, że ona, podobnie jak ja, żyje pracą. Próby bycia partnerem w firmie wymagają wiele wysiłku. Sofia jest piękna i jest mi z nią wygodnie. Wiem, że jesteś żonaty i w ogóle, ale musiałbyś być martwy, by tego nie zauważyć. A nawet jeśli byłbyś trupem, jej cycki i tak sprawiłyby, że by ci stanął.

– Och, zauważyłem, możesz mi wierzyć – odpowiada. – A czy ona wie o twojej dupci w Missisipi?

– Jenny nie jest żadną moją dupcią – mamroczę. – Palancie.

– Ale twoją dziewczyną ani żoną też nie jest. Jest laską, którą posuwasz, kiedy wpadasz do miasta. Nie chcę cię wkurzać, ale to definicja dupci.

Czasami skłonność Drew do nazywania rzeczy po imieniu sprawia, że ma się ochotę dać mu w pysk.

– Sofia wie o Jenny i Presley.

– Interesujące – mówi, po czym radzi: – Chcę tylko powiedzieć, że taka sytuacja może prowadzić do... komplikacji. Wyrzuty sumienia gryzące w tyłek bolą jak cholera. Przerabiałem to. Nie jest fajnie.

– Dzięki za ostrzeżenie, ale sobie poradzę.

– Słynne ostatnie słowa. Pamiętaj tylko, że kiedy zrozumiesz, że sobie nie radzisz, będzie już za późno. – Sprawdza komórkę i wstaje. – Muszę już lecieć, nie mogę się spóźnić na pociąg.

Również wstaję i klepię go w ramię.

– Hej, a może zostałbyś na noc w Waszyngtonie? Nagram pokera z chłopakami, będzie jak za starych, dobrych czasów.

Unosi ręce, wążąc możliwości.

– Zobaczmy... Zgarnąć kasę Shawa... czy wracać do domu do pięknej żony, która przez cały dzień wysyła mi sprośne SMS-y? Raczej prosty wybór. Lubię cię, stary, ale nie aż tak bardzo.

Ściskamy się krótko, po męsku poklepując się po plecach, obaj chętni na powtórzenie

spotkania.

W trakcie pożegnania odzywa się moja komórka. Biorę ją ze stołu, czytam wiadomość i przeklinam.

Drew wyciąga swoją aktówkę spod stolika, więc pokazuję mu telefon.

– Ławnicy wrócili.

Kumpel śmieje się ze mnie.

– Dla twojego dobra, mam nadzieję, że jest niezła w obsłudze drążka. – Urywa, po czym szczerzy się w uśmiechu. – Ale pewnie już o tym wiesz.

Po raz ostatni klepie mnie w plecy i obraca się w kierunku drzwi.

– Na razie.

– Przekaż Kate pozdrowienia – wołam za nim. – I moją wizytówkę!

Nie odwraca się, nie zwalnia kroku, ale unosi rękę z wyprostowanym środkowym palcem i ostentacyjnie potrząsa nim nad głową.

[1] Casey Anthony – w 2008 r. została oskarżona o morderstwo dwuletniej córki. Powszechne było przekonanie, że kobieta jest winna, dowody przeciwko niej wydawały się niemal stuprocentowo pewne, jednak ława przysięgłych w 2011 r. zadecydowała o uniewinnieniu kobiety (przypis tłumacza, źródło: Wikipedia).

Sofia

Na sali sądowej, tuż przed ogłoszeniem wyroku, panuje takie napięcie, że powietrze robi się gęste. Wszyscy to czują, ciężko jest oddychać. Podobnie musieli czuć się Rzymianie w Koloseum, czekając, w którą stronę cesarz zwróci kciuk. Serce przyspiesza, krew szumi w uszach, zaczyna działać adrenalina. To ekscytujące.

To uzależniające niczym wyśmienity seks. Taki, po którym jesteście podrapani, obolali i wyczerpani – i nie możecie się doczekać powtórki.

Zawsze wiedziałam, że chcę być prawnikiem. Dorastając, oglądałam seriale, w których prawniczki posiadały wyrafinowany spryt, stylowe garsonki, nienaganne fryzury i pracowały w szklanych, chromowanych biurach.

Dla rodziców moja edukacja była priorytetem, ponieważ sami mieli do niej ograniczony dostęp. Moja matka, kiedy była mała, opuściła ubogą, rodzinną wioskę w rejonie Para i przeniosła się do względnie bogatego Rio de Janeiro. Jednak ze szponów analfabetyzmu wyrwała się dopiero, gdy miała szesnaście lat i poznała swojego ojca, który nauczył ją czytać. Razem wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i stali się wcieleniem amerykańskiego snu – stworzyli dochodową firmę, przez co awansowali z klasy średniej i stali się zamożni. Głęboko świadomi możliwości, jakie otwierała dla ich dzieci ich ciężka praca, byli pod wrażeniem osiągnięć każdego z nas – mnie i trzech moich starszych braci – zrozumieliśmy, że edukacja jest kluczem do wszystkich drzwi. Że to skarb, który nie może zostać skradziony, najbardziej wytrzymała sieć bezpieczeństwa. To nie przypadek, że każde z nas zostało specjalistą w swojej dziedzinie: Victor, najstarszy z braci, został lekarzem, Lucas głównym księgowym, a Tomás, zaledwie rok starszy ode mnie, inżynierem.

– Pani przewodnicząca, czy ustaliliście państwo werdykt?

Uwaga naszego klienta, Pierce’a Montgomery’ego ewidentnie nie jest zwrócona na kobietę, która ma odczytać werdykt, a skupiona na moim biuście. Czuję się przez to brudna.

Myślę o gorącym prysznicu – by spłukać ten szlam.

– Tak, wysoki sędzie.

Wybierając zawód obrońcy w sprawach karnych, wiedziałam, że będę miała do czynienia z szumowinami pokroju Montgomery’ego, jednak to mnie nie powstrzymało. Jako że byłam najmłodsza z rodzeństwa i do tego miałam samych braci, wszyscy byli w stosunku do mnie bardzo opiekuńczy. Zamiast jednak mnie ograniczać, przygotowywali mnie, bym potrafiła o siebie zadbać i była gotowa na to, czymkolwiek zaskoczy mnie życie.

Mój ojciec mawiał, że okazje trzeba chwycić obiema rękami, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy się powtórzą.

To on nauczył mnie, by się nie bać.

Rodzice chcieli, bym miała jak najwięcej możliwości. Coś więcej niż tylko męża i dzieci.

Chcieli, bym miała szansę do czegoś dojść. Coś osiągnąć.

Mieszkanie w Chicago dało mi przewagę. To piękne miasto, ale jak wszystkie metropolie jest dość niebezpieczne. Szybko nauczyłam się refleksu, a także bycia czujną i generalnie nieufania nieznajomym, póki nie udowodnią, że na to zasługują.

Krótko mówiąc, taki lubieżnie obślizgły facet jak syn senatora – Pierce Montgomery – mnie nie wzrusza. Gdyby kiedykolwiek spróbował mnie dotknąć, pojedynczym ruchem nadgarstka rzuciłabym go na kolana.

Tak po prostu.

– I jak brzmi?

No i proszę. Chwila prawdy.

Kątem oka widzę, jak szerokie ramiona Stanton'a unoszą się nieznacznie i zatrzymują, gdy mężczyzna bierze głęboki wdech... i wstrzymuje powietrze.

Podobnie jak ja.

Przewodnicząca przysięgłych odczytuje numer sprawy i postawione zarzuty, po czym wypowiada magiczne słowa:

– Niewinny.

Tak! Pieprzone hura! W duchu unoszę ręce w geście zwycięstwa.

Podobnie jak w szatni zawodników NFL po wygranej meczu, na sali sądowej rozlegają się wiwaty, więc i ja ze Stantonem nie możemy się powstrzymać od szerokich uśmiechów i gratulacji. Oboje wiemy, że to wielka sprawa, zwycięstwo będące kamieniem milowym w kierunku rozgłosu, którym cieszą się Cochran, Allred, Geragos, Abramson i Dershowitz – liga wszystkim znanych nazwisk.

Montgomery dziękuje Stantonowi, ściskając mu dłoń, mimo to, nawet okazując wdzięczność, wydaje się być wyniosły. Z otwartymi ramionami obraca się w moją stronę – oczywiście oczekując, że go uściskam.

Ponieważ mam waginę.

I, jak wielu, wyraża przekonanie, że osobom z penisami podaje się rękę, a osoby z waginami się ściska.

Nie tym razem, koleś.

Podaję mu stanowczo dłoń, co przekreśla jego zamiary i jednocześnie trzyma na dystans od mojej przestrzeni osobistej. Potrząsa moją ręką, jednak dodaje do tego lubieżne mrugnięcie okiem.

Gorący prysznic wydaje się coraz bardziej konieczny.

Kiedy wychodzimy z sali sądowej, witają nas reporterzy. Lokalni, nie ci ogólnokrajowi. Jeszcze nie. Jednak, jak mówiłam, kamień milowy.

Stanton wysuwa się do przodu, odpowiada na pytania z wyćwiczoną mieszanką uroku osobistego i egoizmu – prawnicy nie są skromni. Oddaje mi należny szacunek, odnosząc się do „naszej” obrony, wspominając, że „my” od początku byliśmy pewni wygranej i podkreślając, że nasza firma jest jak dobry żołnierz i każdy klient kancelarii prawnej Adams&Williamson będzie równie błyskotliwie reprezentowany.

Podczas przemowy niespiesznie go podziwiam. W popołudniowym słońcu w jego zielonych oczach otoczonych zaskakująco ciemnymi rzęsami, za które zabiłaby niejedna kobieta, błyszczą ekscytacją. Kilka niesfornych, grubych pasm złotych włosów opada na jego inteligentne czoło. Rzymski nos i wysokie kości policzkowe nadają mu ostry, szlachetny wygląd i sprawiają, że Stanton Shaw wygląda jak mężczyzna – nie ma w nim nic chłopięcego. Moją ulubioną częścią jego twarzy jest szczęka. Jest godna filmu porno. Silna i kwadratowa, z odrobiną zarostu, co jest niezwykle seksowne i przywodzi na myśl późny poranek w ciepłym łóżku.

Ma metr osiemdziesiąt osiem – jest wyższy ode mnie o dziesięć centymetrów – a jego długie nogi i szeroka pierś są marzeniem każdego krawca. Posiada ciało wprost stworzone do noszenia garnituru. Jego głos to głęboki, melodyjny baryton z nieznacznym południowym akcentem, który może ciąć niczym skalpel podczas przesłuchania lub hipnotyzować w łóżku podczas opowiadania bajki przed snem. Jednak najbardziej przyciągający i rozbrajający jest jego uśmiech. Ma usta, które sprawiają, że chce się śmiać, gdy same to robią, lub wywołują sprośne myśli, gdy formują się w leniwy, krzywy uśmieszek.

Uśmieszek, który dobrze znam.

– ...prawda, pani Santos? – pyta, a reporterzy skupiają się na mnie.

Cholera. Nie mam pojęcia, o co pytał. Byłam zajęta gapieniem się na jego szczękę – *do diabła z tą szczęką* – rozpamiętując, jak ocierała się o wnętrze moich ud i sprawiała, że mruczałam z satysfakcji, ciesząc się lekkim drapaniem.

Jednak szybko otrząsam się z tych myśli.

– Oczywiście. Nie mogłabym się nie zgodzić.

Reporterzy dziękują nam i kiedy nasz klient wsiada do swojej limuzyny, postanawiamy ze Stantonem przespacerować się kilka przecznic do naszej kancelarii.

– Gdzie odpłynęłaś? Byłaś jak w transie – mówi po pewnym czasie z rozbawieniem, co podpowiada mi, że chyba się domyśla.

– Później ci opowiem – rzucam, kiedy Stanton otwiera przede mną drzwi wejściowe naszego budynku.

Adams&Williamson jest jedną z najstarszych kancelarii prawnych w Waszyngtonie. Sam budynek jest zaledwie dziesięciopiętrowy, zgodnie z projektem zabudowy z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, który zakazywał budowli wyższych niż kopuła Kapitolu, z uwzględnieniem nielicznych wyjątków. Brak wysokiej konstrukcji nadrabia jednak świetnością historyczną. W środku, w świetle lamp błyszczą polerowany mahoń, zaprojektowany, by podkreślać ręcznie wykonane sztukaterie zdobiące każdą ścianę. Odrestaurowany, marmurowy kominek wita gości swoim niegasnącym światłem, kiedy podchodzą do ogromnego, wykonanego z orzechowego drewna biurka recepcjonistki.

Vivian jest po pięćdziesiątce, jej nieskazitelna, biała garsonka i jasne, upięte włosy dają wchodzącym doskonałe pierwsze wrażenie doświadczonej elegancji.

Uśmiecha się ciepło.

– Gratulacje. Pan Adams zaprasza was do swojego gabinetu.

W Waszyngtonie wieści szybko się rozchodzą, sprawiając, że szkolne ploteczki wyglądają przy tym jak Internet dostarczany przez wolny modem. Zatem nie dziwi mnie, że wiadomość o wygranej dotarła już do naszego szefa. Jednakże, imponujące zwycięstwo czy też nie, Jonas Adams, właściciel naszej firmy i bezpośredni potomek drugiego prezydenta, nigdy nie wyszedłby ze swojego gabinetu znajdującego się na najwyższym piętrze, by złożyć gratulacje.

Za to wzywa nas do siebie.

Kiedy jedziemy windą, czuję te same emocje, które emanują od mojego kolegi.

Natychmiast zostajemy wprowadzeni do gabinetu Jonasa, który stoi za biurkiem, przerzucając dokumenty w znoszonej skórzanej aktówce. Jego podobieństwo do przodka założyciela tej kancelarii jest niesamowite – ma okrągłe okulary na nosie oraz duży brzuch, na którym widać dewizkę starego, kieszonkowego zegarka. Siwymi kępkami włosów stara się zakryć łysą głowę, która błyszczą jak wypolerowana podłoga pod nami.

Jeśli kiedykolwiek pójdzie na emeryturę, firmy zajmujące się rekonstrukcjami historycznymi będą go sobie wrywać.

Jonas Adams wykładał w najlepszych instytucjach prawnych i jest uważany za

najbardziej błyskotliwy umysł w naszej dziedzinie, chociaż, jak wielu utalentowanych intelektualistów, jest ciągle czymś zajęty i swoim roztrzepaniem sprawia wrażenie, że nieustannie coś gubi.

– Wejdźcie, wejdźcie – mówi, klepiąc się po kieszeniach i odkrywając z ulgą, że ma tam przedmioty, których szukał. – Niedługo lecę na konferencję na Hawaje, ale najpierw chciałem wam pogratulować sprawy Montgomery’ego. – Wychodzi zza biurka, by uściśnąć nam dłonie. – Świetna robota, chociaż nie było łatwo. Jestem jednak pewien, że senator będzie wdzięczny.

– Dziękujemy, sir – odpowiada Stanton.

– Które to dla pana zwyczajstwo za przysłowiowym pasem, panie Shaw? Ósme?

Stanton nieskromnie wzrusza ramionami.

– Właściwie dziewiąte.

Jonas kiwa głową, zdejmując okulary i czyści ich szkła chusteczką z monogramem.

– Imponujące.

– Wszystko zależy od przysięgłych, panie Adams – mówi Stanton. – Nigdy nie natrafiłem na ławnika, który by mnie nie lubił.

– Tak, dobrze, bardzo dobrze. A pani, pani Santos? Dalej niepokonana, co?

Z uśmiechem i dumą unoszę podbródek.

– Tak, sir. Nieustająco.

Profesjonalistki musiały przebyć długą drogę – tkwimy teraz niezachwianie w zdominowanych przez mężczyzn branżach jak polityka, prawo czy biznes, jednak nadal czeka nas jeszcze długa droga. Jeśli chodzi o awanse i zawodowe możliwości niejednokrotnie jesteśmy tylko brane pod uwagę, ale nie dostajemy nic od razu. Znalezienie się w czołówce nie jest wystarczające, jak w przypadku naszych kolegów – my musimy być lepsze. Musimy się wyróżniać.

To niesprawiedliwe, jednak taka jest prawda.

To właśnie dlatego, gdy do pomieszczenia wchodzi kierowca Jonasa, by zabrać jego bagaż, ekskluzywną torbę golfową na kółkach, która zapewne kosztowała więcej niż porsche Stantona, mówię:

– Nie wiedziałam, że gra pan w golfa, panie Adams.

To kłamstwo – oczywiście, że o tym wiedziałam.

– Tak, jestem zapalonym graczem. Wie pani, to odpręża, łagodzi stres. Nie mogę się doczekać kilku rundek po konferencji. Pani też gra?

Na mojej twarzy pojawia się uśmiech kota z Cheshire.

– Właściwie to tak. Zdobyłam pole na wschód od Potomaku w siedemdziesięciu siedmiu uderzeniach.

Zakłada okulary na szeroko otwarte oczy.

– To niezwykle. – Macha palcem. – Kiedy wrócę z Hawajów, zaproszę panią do mojego klubu Trump National na kilka partyjek.

– Będę zaszczycona. Dziękuję.

Policzki Jonasa mocno drgają, gdy mężczyzna kiwa głową.

– Moja sekretarka przekaże pani asystentce datę. – Zwraca się do Stantona. – Gra pan, panie Shaw?

Znam go, więc zauważam nanosekundę wahania. Jednak natychmiast jego twarz promienieje uśmiechem.

– Oczywiście. Golf to całe moje życie.

Jonas klaszcze w dłonie.

– Wybornie. Zatem dołączy pan do nas.

Stanton z trudem przelyka ślinę.

– Super.

Po wyjściu Jonasa udajemy się ze Stantonem windą na czwarte piętro, gdzie znajdują się nasze gabinety.

– „Golf to całe moje życie”? – cytuję, przyglądając się wyświetlanym numerom.

Patrzy na mnie wielkimi oczami.

– A co, u diabła, miałem powiedzieć?

– Ach, mogłeś powiedzieć to samo, co odpowiedziałeś mi trzy miesiące temu, że golf nie jest prawdziwym sportem.

– Bo nie jest – zapewnia. – Nie ma potu, nie ma sportu.

Odpowiadam:

– Golf wymaga ogromu umiejętności...

– Podobnie jak ping-pong, który też nie jest pieprzonym sportem.

To perspektywa upartego, głupiego mężczyzny. Wychowując się z braćmi, przywykłam do niej, choć nadal chce mi się śmiać z jej absurdalności.

– To co zamierzasz zrobić? Jonasz wraca z Hawajów już za dwa tygodnie.

– To mnóstwo czasu, byś nauczyła mnie grać – odpowiada, szturchając mnie lekko łokciem.

– Ja? – jąkam się.

– Pewnie, że ty, panno „w siedemdziesięciu siedmiu uderzeniach zdobyłam pole na wschód od Potomaku”. Masz kogoś lepszego na myśli?

Kręcę głową. Tak właśnie postępuje Stanton Shaw. Podobnie jak moja bratanica używa drżącej wargi, by wymusić pewne rzeczy na swoim starszym bracie, Stanton wykorzystuje swój godny potępienia urok osobisty.

Nikt nie potrafi się oprzeć – zwłaszcza kiedy nie chce.

– Dwa tygodnie to niewiele.

Kładzie mi rękę na ramieniu, kciukiem pocierając skórę u podstawy karku, dzięki czemu czuję na plecach ciarki i ścisk mięśni w podbrzuszu.

– Zaczniemy w weekend. Mam do ciebie zaufanie, Soph. Do tego... – Puszczą do mnie oko. – ...szybko się uczę.

Kiedy rozsuwają się drzwi windy, Stanton zabiera rękę. Natychmiast żałuję, że to zrobił.

– To będzie doskonała okazja, by wyrównać dług po naszym zakładzie. Twój samochód jest mi winien przejażdżkę.

– Nie sądzę, bym musiał się wywiązywać z zakładu zawartego pod przymusem.

Moje szpilki stukają na drewnianej podłodze, gdy odzywam się drwiącym tonem:

– A pod jakim to przymusem byłeś, co?

Stanton przystaje przed drzwiami naszych gabinetów. Ścisza głos i przysuwa się, by szepnąć mi do ucha:

– Lekceważysz moc swoich cudownych cycuszków. Miałem je przed nosem, więc myślenie raczej nie było możliwe.

Ze sceptycyzmem rozkładam ręce.

– Cudownych?

Stanton wyciąga dłonie, skierowane wnętrzem do góry.

– Sprawiają, że chcę wstać i krzyknąć „amen”... lub paść na kolana i robić inne rzeczy.

Wymyka mi się krótki śmiech.

– Jeśli wszystkie biusty tak łatwo cię rozprasają, to masz większy problem niż ten, że będę prowadzić twoją dziecinę.

Stanton przygląda mi się przez chwilę, po czym jego spojrzenie staje się ciepłe. Niemal czule.

– Nie wszystkie biusty, Soph. Tylko twój.

Słyszałam wyrażenie „moje serce się potyka”, ale nie wiedziałam, że to naprawdę możliwe. Aż do teraz.

Mimo to udaję obojętność.

– Niezła próba. Jednak nieskuteczna. Nie daję lekcji gry w golfa kanciarzom.

– Nie możesz mnie winić za to, że próbowałam.

Z naszego gabinetu wychodzi Brent, najwyraźniej będący w drodze do Stanton. Zatrzymuje się, gdy nas spostrzeża i unosi rękę w geście pozdrowienia.

– Ach, wracają zwycięzcy. Dwoje ludzi, których właśnie życzyłem sobie widzieć.

Idziemy za nim do wspólnego gabinetu Stanton i Jake’a Beckera, który w tej chwili siedzi w fotelu, przeglądając rozłożone na kolanach akta sprawy. Ledwo rzucając na nas okiem, mówi:

– Słyszałem, że należą się wam fanfary. Zatem moje gratulacje za udowodnienie, że sprawiedliwość jest tak samo głupia, jak ślepa.

Stanton i Jake znają się jeszcze z czasów studiów, kiedy ten pierwszy pilnie potrzebował współlokatora, by udźwignąć czynsz, a Jake szukał jakiegokolwiek miejsca do spania, byle nie na kanapie w salonie swojej matki. Jake Becker nie wygląda jak prawnik. Przypomina mi raczej pięściarza wagi ciężkiej lub zabijakę z czarno-białych, gangsterskich filmów. Ma czarne włosy, oczy koloru zimnej stali i pełne usta, które rzadko się uśmiechają, za to wypowiadają kąśliwe uwagi. Jego sylwetka jest potężna i sprawia wrażenie niebezpiecznej, a dłoń jest tak wielka, że gdy się witamy, moja w niej znika. Ręce jak cegły sprawiają, że człowiekowi żal idioty, który chciałby się z nim bić.

Pomimo przerażającego wyglądu, Jake jest niebywałym dżentelmenem. Ma specyficzne poczucie humoru i jest opiekuńczy w stosunku do tych, których uważa za przyjaciół. Mam szczęście zaliczać się do tego grona. Nigdy nie widziałam, by stracił panowanie nad sobą czy podniósł głos, podejrzewam jednak, że jego gniew może być śmiertcionośny – byłby jak zemsta nadchodząca bez ostrzeżenia.

Stanton kładzie na biurku aktówkę i siada w fotelu.

– Nie rozsiadaj się zbyt długo – ostrzega go Brent. – Nie zostaniesz tu długo. Jest piątek, a twoje zwycięstwo daje nam idealną okazję do wcześniejszego wyjścia.

Nie znałam Brenta w młodości, ale ma wszelkie zadatki na bycie klasowym błaznem... lub dzieckiem rozpaczliwie potrzebującym leków na ADHD. Zawsze pogodny, z żartem na każdą okazję i niekończącymi się pokładami energii. Rzadko potrafi usiedzieć na miejscu. Nawet kiedy czyta, chodzi lub kołysze się przy biurku, z dokumentami w jednej ręce i przyrządem do ćwiczenia mięśni palców w drugiej.

A nawet nie pije kawy. W niektóre poniedziałkowe poranki mam ochotę go udusić.

– Muszę skończyć sprawę Rivella – wyjaśniam, ale przerywa mi, kręcąc głową.

– Możesz skończyć ją jutro, panno przebojowa. I tak już jesteś nowym pupilkiem Adamsa, nie musisz się tak z tym obnosić. Poza tym mamy powody, by świętować, a tego nie wolno lekceważyć. Czas wyskoczyć na miasto.

Zerkam na zegarek.

– Jest trzecia.

– Co oznacza, że gdzieś na świecie jest piąta. – Wskazuje drzwi. – Chodźcie, dzieciaki, zabawimy się. Pierwszą kolejkę stawia Jake.

Jake już stoi, pakuje swoją teczkę, by zabrać pracę do domu. Obraca palcem w powietrzu

i mówi stanowczo:

– Jasne. Woda dla wszystkich.

Śmiejąc się, Stanton zarzuca mi rękę na ramiona.

– Chodź, Soph. Gdzieś tam czeka na nas tequila. Zasłużyliśmy.

Tequilę jednocześnie kocham i nienawidzę – kocham ją w barze, nienawidzę następnego ranka.

Wzdycham pokonana.

– Dobra, co mi tam.

Stanton

Do siedemnastej Sofia i Brent zdążyli się ubzdryngolić. Jake pozostał trzeźwy, został więc nominowany na naszego kierowcę. Widywałem go już przy szklaneczce szkockiej, ale nigdy nie widziałem, by się upił. Jest trzeźwy, w przeciwieństwie do otaczających go w tej chwili ludzi. W piątkowy wieczór ulice Waszyngtonu są wyludnione, ponieważ wszyscy siedzą w barach.

Politycy tak naprawdę nie mieszkają w mieście. Jeśli Kongres nie obraduje, wracają do swoich domów. Ci żonaci wracają na przedmieścia, zostawiając resztę z nas – głodną, spracowaną i napaloną. A nie ma lepszego sposobu na relaks po ciężkim tygodniu niż wypicie kilku głębszych w pobliskiej tawernie. Sofia nazywa to efektem *Chirurgów*[2].

– Pęcherzyk powietrza w kroplówce – mówi diabolicznym głosem Brent, opierając łokcie na drewnianym blacie wypełnionym pustymi szklankami. – Ciężko namierzyć, niemożliwe do udowodnienia ponad wszelką wątpliwość, no chyba że w sali pacjenta byłyby zamontowane kamery. Szybkie, skuteczne...

– I całkowicie niewiarygodne – wtrąca Sofia, pstrykając go w nos. – Ilość powietrza potrzebnego do wywołania zatoru dla każdego jest inna, do tego ofiara musiałaby już być w szpitalu. Są tam tłumy odwiedzających...

Morderstwo doskonałe. To temat trwającej dyskusji. Znając tajniki systemu wymiaru sprawiedliwości, dziwię się, że większość prawników nie popełnia poważnych przestępstw.

Albo, mając to na uwadze, jednak to robią? W tym miejscu wyobraźcie sobie złowieszczą melodię.

– Nadal uważam, że najlepsza jest trucizna – mówi Jake siedzący u szczytu stołu. – Coś takiego jak rycyna czy polon.

Jego propozycja zostaje wyśmiana.

– Amator.

– Patologia i kryminalistyka są już zbyt zaawansowane – stwierdza Brent.

– I gdzie, u diabła, zdobyłbyś polon? – pyta Sofia. – Znasz wielu rosyjskich szpiegów, co?

– Przypomnij mi, bym nigdy nie reprezentował cię jako klienta – mówię, wskazując na swój burbon. – Mógłbyś zniszczyć moją dobrą passę.

Parkiet do tańca znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu, które wypełnione jest ciałami żałośnie podrygującymi do rytmu. Nie ma zbyt wielu zabawniejszych rzeczy niż obserwowanie ludzi, którzy nie potrafią tańczyć, jednak uważają, że jest wręcz przeciwnie.

Pijani unoszą ręce w górę, gdy piosenka *Oh, What a Night* dudni z głośników. Podekscytowana Sofia wstaje z miejsca.

– To moje rytmy. Chodź Brent, potrząśniesz tym, co ci mama w genach dała.

Chłopak wstaje.

– Nie mogę, kochana. Właśnie przyszła moja partnerka.

– Masz dzisiaj randkę? – pyta Sofia.

– Tak. – Puszcza do niej oko. – Chociaż ona jeszcze o tym nie wie.

Kiedy Brent odchodzi, Sofia patrzy na Jake'a. Ten, kiedy się odzywa, brzmi jak Brudny Harry pytający śmiecia, czy ma szczęście:

– Musisz pytać?

Mnie zostawia sobie na koniec, bo dobrze wie, że nie tańczę.

Mimo to próbuje, przeciąga palcami po moim ramieniu.

– Chcesz mi pokazać, jak się ruszasz, Shaw?

Przygryzam wykałaczkę trzymaną w zębach.

– Skarbie, z chęcią pokazałbym ci jak się ruszam, tylko nie na tym pieprzonym parkiecie.

Sofia śmieje się, po czym sama wchodzi między kołyszące się, podrygujące ciała.

Przyglądam się jej wzrokiem człowieka, który ma pewność, że ją zaliczy i wie, że będzie dobrze.

Jej okrągłe biodra idealnie poruszają się w szybkim rytmie. Jest pewna siebie i ma doświadczenie w tym względzie. Wyobrażam sobie te biodra ocierające się o mnie – ujeżdżające mnie – w tym samym tempie. Natychmiast mi staje.

Pulsuje wspomnieniami i oczekiwaniem.

Wspomnieniem, jak ta kobieta się porusza na moment przed orgazmem, jak napina się i przyspiesza, karmiąc się tymi doznaniem, poddając się błogiemu tarcu naszych ciał.

Z wykałaczką w ustach wciąż gwałtownie powietrze, gdy Sofia unosi ręce i kręci tyłkiem. Lubi mieć ręce nad głową – przyszpilone przeze mnie do łóżka, ściany, blatu biurka. Pieprzenie jej zawsze jest fenomenalne, jednak posuwanie jej, gdy jest taka – podpita – jest zajebiste. Jest wtedy dziksza, ostrzejsza – nieco mocniej ciągnie mnie za włosy.

Błaga trochę bardziej słodko.

Wypity burbon rozluźnia moje ciało i umysł. Nie jestem pijany, ale na tyle zrelaksowany, by zapomnieć o wszelkich troskach – by nic mnie nie obchodziło. Kiedy Sofia kontynuuje swoją grę wstępną, poluzowuję krawat, leniwie jej się przyglądając, pozwalając budować się ekscytacji.

Kobieta się odwraca.

Jej ciemne włosy rozsypują się wokół ramion, a piękne, piwne oczy patrzą prosto na mnie. Duże, migdałowe oczy, błyszczące pożądaniem.

Ona nie tańczy przede mną – tańczy dla mnie.

Powoli przesuwa rękami po bokach ciała, nadal kołysząc biodrami, jednak wyobraża sobie i czuje, że to moje dłonie. Pełne wargi Sofii są rozchylone, oddycha ciężko, wilgoć lśni nad jej górną wargą.

Chciałbym ją zlizać.

Ale to byłby dopiero początek – pożeranie jej ust – nim zszedłbym niżej i wylizał ją całą. Każdy centymetr jej skóry zbadałbym językiem i ustami.

I zębami.

Kręcąc w ustach wykałaczką, wstaję. Podchodzę do niej, jednak nim docieram, Sofia obraca się i zaczyna wywijać tyłeczkiem.

Prowokuje mnie.

Patrzy na mnie przez ramię. Nie zatrzymuję się, aż stoję przy niej, kładę dłoń na jej brzuchu i ciągnę ją w tył, tak, by nie miała żadnych wątpliwości, jak na mnie działa. Przyciskam do jej pośladków gorący, twardy dowód.

– Zmieniłeś zdanie? – droczy się. – W końcu chcesz zatańczyć?

– Chcę się pieprzyć – szepczę jej do ucha, przez co drży. – Z tobą. Jakbyś miała jakieś

wątpliwości. Teraz.

Wypycha tyłek, unieruchamiając mojego penisa między nami, po czym porusza się w górę i w dół, idealnie go pocierając. Powstrzymuję jęk.

– Zgaduję, że wychodzimy.

Podczas jazdy taksówką do mojego mieszkania staram się jej nie dotykać – prócz przypadkowego otarcia się o udo czy podania ręki przy wysiadaniu – ponieważ wiem, że oczekiwanie nakręca ją jeszcze bardziej.

I również dlatego, że gdy raz zacznę, nie zamierzam przestać.

Po pełnej napięcia torturze, jaką jest jazda windą, stajemy w korytarzu przed moimi drzwiami. Wkładam klucz w zamek. Sofia stoi niedaleko – nie dotyka mnie – jednak jest na tyle blisko, że czuję zapach jej perfum. Czystą, słodką, kwiatową woń. To chyba gardenie.

Przechodzimy przez próg, po czym obracam się i popycham Sofię na drzwi, by je zamknąć. Więzę ją między drewnianym skrzydłem a własnym ciałem. Jedną ręką przytrzymuję jej nadgarstki nad głową, przez co wyciąga się i wygina plecy, gotowa na to, co ma się stać.

Oddycha ciężko, gdy sunę nosem po jej policzku.

– Chcesz, żebym cię pieprzył? – chrypię.

Jęczy i się wije.

– Tak.

Sofia lubi ostry seks – lubi mocne słowa, silne palce – jestem więc szczęśliwy, mogąc ją zadowolić.

Przesuwam wolną ręką po jej udzie, unosząc przy tym jej spódnice.

– Chcesz dojść?

Kiedyś powiedziała, że jej ulubionym elementem naszego seksu jest to, że może się całkowicie zapomnieć. Nie ma wtedy zmartwień, stresu, trosk. Jest to jedyna okoliczność w jej życiu, kiedy jest zadowolona, przekazując komuś – mnie – kontrolę.

Unosi głowę, pociera delikatną skórą o mój zarost.

– Proszę – błaga.

– Jak bardzo? – droczę się, pocierając ją przez jedwabne majteczki. Wyczuwam, że jest miękka i gorąca. Porusza biodrami tuż przy mojej ręce, kiedy popycham materiał w bok i przesuwam palcami po jej gładkich, śliskich fałdkach. Śmiech dudni w mojej piersi.

– Wygląda na to, że bardzo.

– Stanton... – jęczy zniecierpliwiona.

Biorę we władanie jej usta, pijając słowa, zasysając pulchne wargi, którym się cały dzień przyglądałem. Smakuje tak słodko – jak grenadyna z nutką tequili, co sprawia, że kręci mi się w głowie. Zachęca mnie językiem, wilgotnym i miękkim. Poruszam ustami, naciskając mocno, ledwo pozwalając jej na oddech, po czym chwytam zębami jej dolną wargę.

Czuję, że chce wyrwać mi ręce, by mnie złapać i przyciągnąć bliżej, jednak trzymam ją mocno. Przyciskam się do niej całym ciałem, czuję miękkie, pełne krągłości przy moich twardych mięśniach. Jęczy, zadowolona z kontaktu, kiedy całuję jej usta. Przesuwam wargami po jej twarzy, zostawiając wilgotny ślad wiodący do szyi, smakując jej słodką skórę niczym ktoś wygłodniały. Dyszy i unosi wyżej głowę, dając mi łatwiejszy dostęp, gdy schodzę niżej, do górnych guzików jej bluzki.

Niezobowiązujące przygody, seks bez uczuć, bzykanie nieznanym lasek – robiłem to wielokrotnie. Czasami to dobre, niekiedy jednak to tylko – mechaniczny – sposób na zaspokojenie fizycznej potrzeby. Jednak to tutaj z Sofią – w tym nigdy nie było nic mechanicznego. To gorące płomienie liżące nasze ciała, przyciągające nas do siebie z głębi – sprawiające, że zderzamy się niczym magnesy pozostające zbyt długo w oddaleniu.

Ssę jej piersi przez bluzkę, pozostawiając ciemny, mokry ślad na jedwabiu. Nie ma w nas myśli – jest tylko odczuwanie. Puszczam jej nadgarstki i obiema rękami chwytam delikatną tkaninę, po czym rozdieram ją, odsłaniając wspaniałe ciało, które tak bardzo mnie fascynuje.

Odkupię jej tę bluzkę – nie mam czasu szamotać się z pieprzonymi guzikami.

Obejmuję jej osłoniętą czarną koronką pierś, a ona chwyta mnie za włosy, masuje mi głowę, kiedy całuję jej ciało. Jest taka ciepła, taka miękka. Całuję ją długo i czule, po czym zasysam jej skórę – zostawiając ślad – aż jęczy głośno, czym mnie rozprasza. Okrążam językiem sutek – liżę i się odsuwam. Kiedy pochłaniam go ustami, kobieta się spina, po czym wzdycha z ulgą, kiedy zaczynam ssać.

Przechyla głowę na bok.

– O tak... O Boże, tak...

Przenoszę się na drugą, wspaniałą pierś, której poświęcam podobną uwagę, jednocześnie wracam palcami do jej majtek, chcąc, by wspięła się na szczyt, by krzyczała z rozkoszy.

Rozchyła uda, robiąc miejsce mojej dłoni, kiedy palcami zataczam kółka wokół jej wejścia. Porusza biodrami w przeciwnym kierunku niż ja, wbijając mi przez koszulę paznokcie w plecy. Skubiąc zębami jej wrażliwy sutek, wsuwam dwa palce w jej ciasne, wilgotne wnętrze.

– O kurwa... – jęczy.

Poruszam palcami, kciukiem odnajduję jej nabrzmiałą lechtaczkę i pocieram. Głos Sofii staje się wyższy, zdesperowany, ponieważ kobieta jest bardzo blisko spełnienia. Unoszę głowę i podziwiam jej twarz. Ma zamknięte oczy, ciemne rzęsy spoczywają na opalonej skórze, rozchylone usta wypowiadają moje imię. Gdybym potrafił malować, byłaby to scena, którą chciałbym uwiecznić. To czysta chwila wolności, kiedy całkowicie się przede mną odsłania – ufając, że dam jej mocną, silną przyjemność, która jej nie zrani.

Muszę ją pocałować.

Delikatnie przyciskam do niej usta, poruszając w niej palcami jeszcze szybciej, kciukiem pocierając jeszcze mocniej.

Wtedy wybucha. Rozkoszuję się jej cudownym jękiem, kiedy ścisza mnie mocno rękami, a jej cipka w fantastycznych skurczach chwyta moje palce.

Po chwili rozluźnia uchwyt i kładzie dłoń na moim policzku, po czym całuje mnie powoli, słodko i czule, a ja wyjmuję rękę z jej majtek. Unoszę palce do ust, a Sofia palącym wzrokiem obserwuje, jak smakuję jej wilgoć. To lepsze niż grenadyna, tequila czy pieprzony burbon – soki Sofii są eliksirem bogów, więc będę lizał jej cipkę, nim ta noc dobiegnie końca.

Najpierw jednak sam muszę się zabawić.

Z dzikim uśmiechem i niemal szatańską iskrą w oku, kobieta chwyta mnie za krawat i przyciąga do pocałunku. Obracam się wraz z nią, tak że teraz ja stoję plecami do drzwi. Podczas gdy nasze usta tańczą, wplatam palce w jej włosy – i zaciskam – ciągnąc w sposób, w jaki wiem, że lubi. Po czym popycham ją w dół.

Na kolana.

Patrzy na mnie tymi swoimi wygłodniałymi oczami, przesuując dłońmi po moich udach, po czym odpina klamrę paska. Obserwuję ją, głaszcząc po głowie, jak rozpina mi spodnie i wraz z bokserkami zsuwa je do kostek. Wychodzę z nich i tracę z nią kontakt wzrokowy, gdy przyciąga dłońmi po napiętych i twardych mięśniach moich ud.

– Te nogi – podziwia głośno – zasługują, by przed nimi klęczeć.

Śmieję się ochryple.

– Dzięki za komplement, kochanie, ale koniec gadania... Mam lepsze zadanie dla twoich ust.

Uśmiecha się i przyciąga językiem po wargach. Mój gruby fiut aż podskakuje, bo wie, co się zaraz stanie. Chwytam go, pocieram powoli dłonią, po czym muskam jego końcówką usta Sofii, rozsmarowując na nich wilgoć, która już się na nim zebrała.

Patrzę w jej oczy – oczy, w których nieostrożny mężczyzna mógłby utonąć – i mówię:

– Otwórz.

Nie mam nic przeciwko chętnej kobiecie i byłbym szczęśliwy, mogąc położyć się na plecach i pozwolić dziewczynie, by się mną zajęła. Jednak tutaj – teraz – z Sofią, podnieca mnie jej uległość. Dreszczyk dominacji nad nią, możliwość rozkazywania. I nie chcę się spieszyć, chcę pozwolić jej odczuwać każdy skrawek tego, co chcę jej dać – zamiast po prostu pozwolić jej go wziąć.

Jak mawiają, dawanie naprawdę jest lepsze niż branie.

Jej wargi są opuchnięte, podrażnione od mocnych pocałunków. Rozchylają się, gdy szeroko otwiera usta, więc wkładam członek w mokry, ciepły raj. Robię to wolno, oddychając ciężko, aż trafiam w tył jej gardła i jęczę. Pogrążam się w tym podniecającym odczuwaniu jej jedwabistych, ciepłych warg zaciskających się na mnie. *To takie dobre.*

Patrzę w dół, obserwuję jak mnie wysuwa, po czym zaciska usta, jakby nie chciała mnie z powrotem. Pcham więc ponownie, nieco mocniej, nieco dalej. Zatrzymuję się w środku, kiedy czuję, jak jej gardło zwięża się wokół mnie.

– Kurrwa... – jęczę.

To przepyszna tortura – tak idealna, że chciałbym, by trwała całą noc.

Jednak cofam się, tylko po to, by mieć szansę wejść z powrotem.

Trzymając ją za głowę, mówię:

– Tak, skarbie. Właśnie tak. Trzymaj buzię otwartą, weź mnie całego... kurwa...

Nie mogę się powstrzymać. Zamykam oczy i zaczynam poruszać biodrami. Nie chcę skończyć, jeszcze nie, ale nie chcę się też zatrzymywać. *Trochę więcej, trochę dłużej.*

Sofia jęczy podniecona – uwielbiając to tak samo jak ja – a wibracje jej głosu trafiają prosto w moje jaja, przez co się spinają, przygotowując do tak cholernie bliskiego wybuchu. Będąc na krawędzi, chwytam ją za włosy i ciągnę. Sprawiam, że wstaje, po czym całuję ją w perfekcyjne usta.

Gdzie by tu iść? Podłoga, kanapa, ściana?

Łóżko nie wchodzi w grę – jest za daleko.

Zbieram spodnie z podłogi, wyciągam prezerwatywę z kieszeni, natychmiast rozrywam opakowanie i, z wrodzoną wprawą i desperacją, nasuwam lateks. Obserwując mnie, Sofia ściąga spódnice i majtki, nie kłopotząc się bluzką, która wisi rozdarta.

Zatem podłoga.

Biorę ją w ramiona, pieprzę jej usta językiem, opadam na kolana, zabierając ją ze sobą, po czym kładę ją, podtrzymując jej głowę, by nie uderzyła w twarde drewno.

– Pospiesz się, Stanton – prosi. Seks jest jedyną sytuacją, w której słyszę niesamowite błagania Sofii. – Potrzebuję... O Boże...

Unosi biodra, pocierając nimi o mój brzuch, jej cipka jest jeszcze bardziej wilgotna. Oboje jęczymy, kiedy w nią wchodzę – rozciągając ciasnotę – po sam koniec.

O tak.

Z jej gardła dochodzi wspaniały jęk, gdy wciskam się jeszcze głębiej, po czym zaczynam się poruszać. Sofia wbija mi paznokcie w plecy, co sprawia, że syczę i chwytam ją za ramiona, by ją przytrzymać. Będąc w niej głęboko, poruszam biodrami w koło, a nasze miednice się zderzają.

– Chcesz mocniej? – szepczę, łapiąc oddech tuż przy jej uchu.

W odpowiedzi obejmuje mnie nogami i wbija mi pięty w tyłek.

– Daj mi usta – nalega.

Opuszczam głowę, skubię i liżę jej wargi, łącząc ze sobą nasze usta. Mrowiące iskry tańczą wzdłuż mojego kręgosłupa, gdy przyspieszam tempo pchnięć, dając jej wszystko, na co mnie stać, wszystko, co kiedykolwiek będę miał.

Czuję jak zaciska się wokół mnie, maleńkie skurcze chwytają mojego penisa, po czym zyskują na intensywności.

– Tak, skarbie, dojdź ze mną... Właśnie tak...

Jasne światła tańczą pod moimi powiekami, więc wtulam twarz w jej szyję. Sofia unosi biodra po raz ostatni i trzyma je w górze, kiedy wpycham się w nią z cudowną przyjemnością i rozkoszą rozlewającą mi się w żyłach. Ponad szumem krwi w uszach słyszę, jak wykrzykuje moje imię, kiedy jednocześnie spadamy z krawędzi – dzielimy tę cholernie idealną przestrzeń, gdzie istniejemy tylko my i rozkosz.

Następna rzecz, której jestem świadom, to Sofia oddychająca pospiesznie w moje ramię, niczym ptak trzepoczący skrzydełkami. Nie bez wysiłku podnoszę się i patrzę w jej wspaniałe oczy. Jej uśmiech jest na tyle czuły, by złamać mi serce.

Odsuwam jej włosy z twarzy i lekko całuję w usta. Bez słowa wychodzę z niej i wstaję. Porywam ją na ręce i niosę do sypialni.

Noc jest jeszcze wczesna – i długo się nie skończy.

Sofia opada na plecy, śmiejąc się bez tchu. Zdejmuję zużyty kondom i wyrzucam go do śmietnika stojącego przy łóżku. Leżymy obok siebie w komfortowej ciszy, aż z jej brzucha dochodzi głośnie burczenie.

Stara się zakryć go ręką, ale z rozkoszą obserwuję rumieniec zażenowania malujący się na jej policzkach.

– Nie zjedliśmy kolacji, co? – mówię.

– Nie, chyba że liczyć limonkę z tequilą.

Dotykam jej nogi.

– Chodź. Zobaczmy, co mamy w lodówce.

Idę korytarzem. Nagi. Tak właściwie to lubię spacerować z gołym tyłkiem. To dobre, naturalne. Pewnie, że mieszkam na ruchliwej ulicy i nie mam zasłon, ale jeśli ktokolwiek chce gapić się w moje okno, równie dobrze może mieć na co.

Sofia idzie za mną, owinięta kocem – zakładam, że jej zimno. A tak przy okazji, już dawno wyzbyliśmy się skromności – chyba wtedy, gdy pierwszy raz ujeżdżała moją twarz.

Siada przy kuchennym stole, kiedy wyciągam z lodówki miskę i wkładam do mikrofalówki, by się zagrzała. Rozkładam na stole dwa talerze, po czym napełniam dwie szklanki zimną wodą. Czuję, że niepodzielna uwaga Sofii podąża wraz za mną – rozkoszuje się widokiem.

Kiedy mikrofalówka zaczyna piszczeć, wyjmuję miskę i parzę sobie palce.

– Cholera! – Macham ręką, po czym wkładam zranione miejsce do ust.

– Uważaj – ostrzega rozbawionym głosem – nie sparz jakichś ważnych części.

Używając ściereczki, zanoszę parującą miskę na stół.

– Dzięki za troskę.

Nakładam na talerze lepką, ubitą porcję makaronu z serem domowej roboty. Sofia jęczy, biorąc pierwszy kęs, a mój penis – już bez strachu o poparzenie – zwraca na to uwagę.

– Pyszne, Stanton. Sam zrobiłeś?

– Nie, ja nie gotuję. Jake zazwyczaj też nie, jednak makaron jego matki jest u nas zawsze. Nie przeżyje bez niego tygodnia. Ciągle ma go w lodówce, co jest wygodne.

Przez chwilę milczymy, rozkoszując się jedzeniem. W końcu Sofia mówi:

– Dzisiaj był dobry dzień.

Patrzę na jej włosy wijące się na opalonym obojczyku, po czym na miękki, ospały blask jej piwnych oczu. I to miłe – tak sobie siedzieć. Z nią.

– Pewnie.

Kiedy opróżnimy talerze, ryzykuję:

– Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

Zdejmuję koc z jej ramienia, odsłaniając naturalnie dużą pierś. Oddech więźnie jej w płucach, gdy przeciągam palcem po dekolcie, po czym po poszarpanej bliźnie, która odznacza się na nieskazitelnej skórze.

– Co się stało?

Kiedy zauważyłem to po raz pierwszy, nie śmiałem pytać – nie był to właściwy czas. Nasze wcześniejsze spotkania składały się z pospiesznego ściągania ciuchów, pilnowania jak długo się dało erekcji i osiągnięcia orgazmów jeden po drugim – bez odwodnienia czy utraty przytomności. Nie było za dużo czasu na rozmowę.

Jednak teraz... ostatnio... uświadamiam sobie, że chcę wiedzieć o Sofii coś więcej niż tylko to, jak lubi być całowana czy pieprzona. Coś więcej niż zwykle sprawy, o których wiedzą Brent czy Jake.

Chcę poznać jej fantazje... i kilka tajemnic.

Nie ma bólu na jej twarzy, Sofia nie wzdryga się na wzmiankę o bliźnie i jestem za to niezmiernie wdzięczny.

– Katastrofa samolotowa – stwierdza.

– Jaja sobie robisz.

– Z pewnością nie robię sobie jaj – mówi, naśladując mój uśmiech. – Kiedy miałam osiem lat, wracaliśmy od rodziny z Rio i zepsuło się nam podwozie. Musieliśmy lądować bez kół, co było straszne. – Na to wspomnienie jej głos nabiera mocy. – Pamiętam, że było głośno. Gnący się metal, dźwięk jak przy wypadku samochodowym... pomnożony tysiącrotnie. Podłokietnik fotela rozciął mi skórę, złamał dwa żebra, jednak nie uszkodził niczego ważnego. Mieliśmy szczęście, ponieważ samolot się rozbił. Dzięki Bogu nie było ofiar, wszyscy przeżyli.

– Cholera – mamrocze, nie wiedząc, czego się właściwie spodziewałem, jednak z pewnością nie czegoś takiego.

Sofia posyła mi słaby uśmiech.

– Mój brat, Lucas, który jest rodzinnym filozofem, uważa, że był to znak. Przypomnienie, że życie jest krótkie. Cenne. I że muszą czekać nas wielkie rzeczy, ponieważ nie zginęliśmy, tylko zostaliśmy ocaleni. Z jakiegoś powodu.

Nakrywam ślad ręką, myśląc o bólu, jaki musiała czuć. Chciałbym go choć w jakiejś części przejąć. Jednocześnie myślę o tym, że to on sprawił, że Sofia dzisiaj jest, jaka jest. A nie ma w niej nic, co chciałbym zmienić, ponieważ jest cholernie niesamowita.

Przesuwam dłoń, obejmuję jej miękką, ciepłą pierś, czuję, jak poniżej bije jej serce. Dźwięk jej oddechu – głęboki i miarowy – pobudza mnie. Jej puls przyspiesza, kiedy się pochylam.

Szeptem moje imię i nie sądzę, by kiedykolwiek wypowiedziała je tak słodko.

Nie mam szans przycisnąć ust do skóry w zagłębieniu jej szyi, bo rozbrzmiewa zgrzyt kluczy w zamku. Oboje się wzdrygamy niczym nastolatkom przyłapani w świetle policyjnej latarki i pędzimy do mojej sypialni. Zamykam drzwi i razem chichoczymy.

Opadam na łóżko, ziewając i nakrywam się kołdrą. Sofia przez chwilę mi się przygląda, po czym puszcza koc i sięga po swoje ubrania.

– Powinam już iść.

Tak to działa. Pieprzymy się, ubieramy i wychodzimy: dobranoc, do zobaczenia w biurze. Zerkam na zegarek, jest trzecia w nocy.

– Jest późno – mówię i znów ziewam. Zauważam też miarowe stukanie o szybę. – I pada. Może zostaniesz?

Nie ustalaliśmy zasad – przynajmniej na nic się nie zgadzaliśmy. Po prostu płynęliśmy z prądem i to się sprawdzało, było dobre. Gdybyśmy mieli reguły, nawet niewypowiedziane, byłaby duża szansa, że chcielibyśmy je złamać.

Jednak nie mogę się do nich przemóc.

Pocieram twarzą o poduszkę i otwieram jedno oko. Sofia stoi – piękna i naga – trzymając w rękach biustonosz. Patrzy na mnie.

Rozważa.

Odchylam kołdrę, pokazując puste miejsce obok siebie.

– Na zewnątrz jest zimno, a tu ciepło. Nie analizuj tego, Soph.

To nie musi nic znaczyć. A miętka i gładka Sofia ocierająca się o mnie z pewnością zagwarantuje słodkie sny.

Upuszcza biustonosz i kładzie się obok mnie. Przyciska plecy do mojej piersi, tyłek układa w okolicach mojej pachwiny, dając mi nową perspektywę na korzyści z przytulania.

Opieram dłoń na jej biodrze, drugą wkładam pod poduszkę.
Układamy się wygodnie, po czym Sofia szepcze:
– Wiesz, że jak jesteś zmęczony, to mocniej słyszać twój akcent?
Jej włosy łaskoczą mnie w nos, wciągam ich zapach.
– Tak?
– Tak – przyznaje cicho. – I... podoba mi się to.
Kiedy mam już zasnąć, głuchy huk wypełnia pokój, jakby ktoś walił w bęben.
Łup, łup, łup. To dźwięk drewna uderzającego o ścianę – konkretnie zagłówek łóżka –
przy akompaniamencie jęczącego kobiecego głosu:
– Tak, tak, tak!
Unoszę głowę i krzyczę w kierunku ściany:
– Hej! Moglibyście przestać? Niektórzy próbują tu spać!
Odpowiada mi niewzruszony głos Jake'a:
– Mógłbyś przestać? Niektórzy próbują się tu pieprzyć!
Huk powraca, jednak na szczęście brak już jęków.
Sofia chichocze, kiedy naciągam kołdrę na nasze głowy, wyciszając nieco dźwięk.
– Chryste – marudzę – muszę się wyprowadzić.

[2] *Chirurdzy* (ang. *Grey's Anatomy*) – amerykański serial telewizyjny o tematyce medycznej, wyprodukowany i nadawany przez telewizję ABC od 2005 r. (przypis tłumacza, źródło: Wikipedia).

Sofia

Nad ranem budzi mnie Stanton, ocierający się o mój tyłek. Duże dłonie układa na moim brzuchu i piersiach, a kiedy zaczyna bawić się moimi stwardniałymi sutkami, moje plecy samoistnie się wyginają – zachęczone jego dotykiem. Zębami skubie moje ramię, co jest dzikie i niebezpieczne.

Nie czeka na pozwolenie, ale i tak jęczę.

– Tak.

Jego magiczne palce schodzą między moje nogi, rozcierają znajdującą się tam już wilgoć. Chwyta mnie za rękę i przyciska ją do mojej łechtaczki, po czym zatacza nią maleńkie kółka.

Jego głos jest ochrypły i zaspany, gdy mówi:

– Nie przerywaj.

Ciepło jego piersi znika z moich pleców, a łóżko ugina się, gdy się porusza. Słyszę dźwięk rozdieranej folii, po czym Stanton wraca – znów czuję ciepłą skórę, gorące wargi suną po mojej szyi do tego wrażliwego miejsca za uchem.

Zaczynam dyszeć i szybciej poruszam palcami, przez co przyjemność buduje się w moim podbrzuszu. Pospieszny oddech Stanton łaskocze mnie w łopatkę, gdy chwyta mnie za nogę, po czym ją unosi.

Tak. Teraz.

Proszę.

Nie wiedziałam, że powiedziałam to na głos, ale Stanton zaczyna się śmiać.

– Musieliśmy mieć ten sam sen.

W końcu we mnie wchodzi. Całkowicie. Idealnie. Wypełnia moją cipkę, twardy i gruby. Odchylam głowę, unoszę podbródek, jęcząc z radości. Stanton wzdycha przeciągle, gdy zaczyna się we mnie powoli poruszać.

Pod palcami czuję jego członek, więc sięgam dalej, pocierając go rytmicznie wraz z jego pchnięciami. *Jezu, Boże, uwielbiam to.* Wie pod jakim kątem się ustawić, wie jakie tempo obrać, by doprowadzić mnie na krawędź. Nie muszę nic mówić, nic pokazywać. No chyba że chcę – chyba że mi rozkaże.

Mocniej ściska moją nogę, a ja sięgam za niego – do jego napiętych pośladków – by popchnąć go nieco głębiej.

To sprawia, że jęczy.

Ssie płatek mojego ucha, przy czym szepcze:

– Cholera, Sofia, uwielbiam to, że mogę na ciebie patrzeć. Jesteś taka piękna. – Wchodzi mocniej, jego pachwina uderza o mój tyłek. – Też to lubisz? – dyszy.

Puszcza moją nogę, ale nadal trzymam ją w górze – czuję się zbyt dobrze, by ją opuścić. Szczypie moje sutki, zwiększając tym cudowną torturę.

– Pokaż mi – mruczy. – Pokaż, jakie to dobre. Jak bardzo ci się podoba.

Z jękiem wypycham pośladki, wychodzę naprzeciw jego ruchom. Pochylam się, gdy on się cofa. Nasze działania nabierają tempa.

– Kurwa, tak, skarbie.

Zaczynam pulsować, wijąc się w ekstazie. Jesteśmy masą zdyszanych oddechów, splątanych kończyn i ściskających się mięśni. Wbijam mu paznokcie w nogę i wciskam twarz w prześcieradło, gdy z cichym krzykiem osiągam orgazm.

Stanton układa mnie na brzuchu i klęka za mną. Trzy szybkie pchnięcia i w seksowny sposób jęczy przy moich plecach. Czuję, jak we mnie pulsuje, kiedy przeżywa spełnienie. To uczucie, te dźwięki sprawiają, że mam ochotę na powtórkę.

Nie ruszamy się przez kilka chwil, próbujemy uspokoić oddechy i galopujące serca. Jeszcze zanim z moich pleców znika jego ciężar, zanurzam się – bez trudu wpadam w stan odprężenia, który przychodzi po błogim wysiłku. Ostatnia rzecz, którą rejestruję, to ruch wciągający mnie w silne ramiona i korzenny zapach seksu oraz kojące ciepło męskiego ciała.

Wzdycham, mocniej wtulając się w jego pierś. Ostatnia myśl, jaka tłucze się w mojej głowie, nim odpływam, to:

Mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Budzą mnie promienie słoneczne wpadające przez okno sypialni Stantona – jasne i ciepłe skupiają się na mojej twarzy. Miejsce obok mnie jest puste, a w powietrzu unosi się aromat kawy. Nie siadam od razu, ale przez kilka minut wygrzewam się w miękkim łóżku, wdychając męski zapach wciąż znajdujący się na pościeli, nasuwający mi rozkoszne wspomnienia.

Spędzenie z nim całej nocy jest nowym doznaniem. Spontanycznym wyborem, który... zapewne nie był mądry.

Ponieważ jestem winna zarzucanych czynów, bo mi się podobało.

Wszystko. Jego ramiona obejmujące mnie, jego pierś pod moim policzkiem, jego penis w moim wnętrzu. Mięśnie podbrzusza zaciskają się na to wspomnienie, więc muszę zmienić pozycję, by nie odczuwać skutków błęgiego otarcia – co jest najlepszym rodzajem bólu. Zastanawiam się, czy Stantonowi podobało się, że zostałam do rana. Oczywiście cieszył się z tego, że mnie „miał”, ale czy chciał...

Nie.

Sprzeciw.

Sprawa odrzucona.

Wszyscy wiemy, co dzieje się, gdy bawimy się zapalkami – jednak nie dam się oparzyć. Jestem... jak dłoń trzymana nad świecą, bez przypalenia skóry.

Jestem ognioodporna.

Ponieważ jestem przygotowana. W moich uszach echem brzmią głosy podejrzenia przypominające moich braci. Podśłuchane rozmowy o „przyjaciółkach”, które chciały czegoś więcej. Strategie wykręcania się od macek kobiet, które zaczęły być zbyt wymagające. Przymiotniki opisujące te, które były „fajne”, „niesamowite”, „wygodne”, jednak stały się „denerwujące”, „czepliwe” i „natrętne”.

Stracona przyjaźń.

Przekroczone granice.

Ale to nie ja.

Nie potrzebuję tego rodzaju kłopotów. Nie chcę takiego rodzaju komplikacji. Moja kariera jest tam, gdzie być powinna – szybko się rozwija – i bez względu na to, co się stanie, i na ilość orgazmów sprawiających, że zapominam numeru ubezpieczenia, musi zostać tam, gdzie jest.

Wychodzę z łóżka i zaczynam się ubierać. Chwytam bluzkę. Wczoraj nie zwracałam na nią uwagi, ale cała jest w strzępach. Ma wyrwane guziki, a na piersi zieje otwór wielkości dłoni. Wygląda jak czerwona chusta, którą ktoś ośmielił się drażnić byka i która poniosła za to karę, spotykając się z jego długim, grubym rogiem.

Co nie jest chyba dalekie od prawdy.

Zauważam koszulkę złożoną na skraju łóżka, tuż obok reszty moich ubrań. To szary podkoszulek z żółtym napisem: SUNSHINE – MISSISIPPI.

Praktyczne.

Biorę ją do rąk i z poczuciem winy przyciskam do twarzy, głęboko zaciągając się jej zapachem. Pachnie miękczaczem do tkanin, jednak jest też lekka nuta zapachu Stantona.

Kręcę głową. *Skup się na celu, Sofia.* A bez względu na to, co sądzi moja lechtaczka, złoty penis Stantona Shawa nim nie jest.

Ściągam włosy w kucyk. Zniszczoną bluzkę i marynarkę wkładam do torebki, dziękując w duchu bogom, że w modzie są wielkie worki. Przeglądam się w lustrze wiszącym nad komodą. Mam cienie pod oczami, włosy, które nawet po związaniu wyglądają jak szurcze gniazdo, szary podkoszulek sięgający za biodra i wystającą spod niego ołówkową spódnicę.

Jak nic czeka mnie spacer wstępu.

Niepewnie otwieram drzwi i wychodzę na korytarz.

Stanton siedzi przy kuchennym stole, bez koszuli, w niebieskich spodniach od dresu. Ma seksownie zmierzwiłone blond włosy. Rozmawia przez Skype'a na laptopie. Po prawie pustym kubku kawy można wywnioskować, że robi to już jakiś czas. Spogląda mi w oczy, po czym uśmiecha się promiennie i wskazuje na kubek kawy czekający na blacie. Bezgłośnie przyjmuje jego dar.

Choć nie widzę ekranu, z głośników dobiega dziewczęcy głos, więc wiem, z kim rozmawia.

– ...a Ethan Fortenbury powiedział, że mam męskie dłonie.

Stanton spogląda na ekran, skonsternowany ściąga razem brwi.

– Męskie dłonie? Cóż, nie było to miłe z jego strony.

Wiem, z kim rozmawia, ale i tak mam wrażenie, że mówi ciszej, subtelniej – delikatniej, jakby ją chronił. Cały dzień mogłabym słuchać tego głosu.

Słyszę chrupot płatków śniadaniowych, po czym odpowiedź:

– Nie, nie jest miły, tato. Nazywałam go dupkiem, ale mama mówi, że to niegrzeczne, więc zamiast tego nazywam go końskim zadem.

Stanton się śmieje.

Do kuchni wchodzi Jake, ubrany zwyczajnie, w jeansy i niebieską, zapinaną koszulę. Mija Stanton, patrząc na ekran.

– Cześć, Jake! – piszczy wesoły głosik.

Jake uśmiecha się do niej.

– Dzień dobry, słoneczko. – Stanton mówił, że Jake nazywa ją słoneczkiem, ponieważ pasuje to do jej charakteru, no i mieszka w miasteczku o nazwie Sunshine.

Jake przystaje przy mnie, nalewa sobie kubek czarnej kawy i mierzy mnie spojrzeniem.

– Fajny strój.

Pokazuję mu język.

Smukła, długonoga blondynka wychodzi z pokoju Jake'a, w kremowej sukience i pasujących do niej butach, wyglądając lepiej niż jakakolwiek kobieta po upojnej, pełnej alkoholu i seksu nocy.

Głośnego seksu.

Ledwie rzuca okiem na Jake'a, po czym kieruje się do drzwi.

– Pa.

Jake wydaje się nią równie zainteresowany, co ona nim.

– Na razie.

Biorę kolejny łyk porannego napoju bogów.

– Wyglądała przyjemnie.

Śmieje się.

– Grzecznie wyszła, więc zdecydowanie była przyjemna. Być może już jej więcej nie zobaczę.

Jake bierze kubek z kawą i znika tam, skąd przyszedł.

– I co dalej z tym Ethanem Fortenburym? – pyta Stanton córkę.

– Och! Powiedziała, że jeśli nie przestanie się naśmiewać, to go uduszę. Od tamtego czasu mi nie dokuczał.

Stanton wybucha niskim, pełnym dumy śmiechem.

– Moja krew.

– Muszę znaleźć tenisówki na trening, tato. Porozmawiaj z mamą. Cmok! Kocham cię!

Stanton posyła buziaka w stronę ekranu.

– Też cię kocham, córuś.

Możliwe, że moje majtki właśnie się rozplynęły. Czuję przyjemny ucisk w łonie – nagle pragnienie prokreacji z tym mężczyzną. To czysto instynktowne, ewolucyjne, ale na szczęście myślę głową, nie jajnikami. Muszę jednak przyznać... to niełatwe.

Popijam kawę, gdy głos w głośnikach się zmienia – jest dorosły, choć nadal ma znaczny południowy akcent.

– Dobry, Stanton.

– Dobry, kochanie.

– Wiesz... jest coś... – Następuje nerwowa pauza, po czym kobieta zaczyna od początku.

– Chciałam o czymś z tobą pogadać...

Ruchem ręki daję znać, że idę złapać taksówkę i jadę do domu.

Mężczyzna unosi palec.

– Jenny, mogłabyś sekundkę poczekać?

Zamyka laptop.

– Nie bierz taksówki, Soph. Odwiozę cię.

Zbywam go machnięciem dłoni.

– Nie, jesteś zajęty. To nic takiego.

– Dla mnie jest. Poczekaj, będę gotowy za dwie minuty.

Wraca do laptopa i otwiera ekran.

– Przepraszam, co mówiłaś?

Kobieta się waha.

– Nie przeszkadzam, Stanton?

– Nie – uspokaja ją. – Możesz mówić. Koleżanka potrzebuje podwózki do domu. Dawaj, co chciałaś powiedzieć. – Stanton czeka, a kobieta nabiera wielki haust powietrza, po czym się wycofuje.

– Wiesz co? To może poczekać. Jeśli masz towarzystwo... I tak muszę zawieźć Presley na trening...

– Na pewno?

– Tak, na pewno – nalega. – Dam znać... um, zadzwonię później. To nic... nic pilnego.

Stanton mruży oczy z niepewności, jednak odpowiada:

– Dobrze. W takim razie miłego dnia.

– Wzajemnie.

Rozłącza się kilkoma kliknięciami i szeroko się uśmiecha.

– Dobry.

Nigdy nie mieliśmy ze Stantonem takiego poranka. Nie jesteśmy zmieszani, tylko... to coś nowego. Innego.

Unoszę kubek kawy, odpowiadając:

– Dobry.

– Ubiorę się, wezmę kluczyki i cię odwiozę.

Podjeżdżamy pod kamienicę, w której mieszkam, Stanton nie gasi silnika – najwyraźniej nie planuje wejść. Co mi odpowiada. Odgarniam włosy z twarzy.

– Dzięki za przejażdżkę.

Kiwa głową.

– Nie ma sprawy. Tobie również dzięki za przejażdżkę. – Puszcza do mnie oko. –

W nocy.

Śmieję się.

– Dupek.

Wysiadam i zamykam drzwi.

Stanton mówi:

– Hej, tylko nie zapomnij. Gramy o trzeciej na polu Turkey Thickett.

Niemal każda kancelaria wystawia drużynę w waszyngtońskiej lidze prawników softballu, a nasza ma w tym roku szansę na mistrzostwo. Jestem dobra w sporcie, bracia tego dopilnowali, ale sama również nad tym pracuję, ponieważ sporty jak golf, tenis i racquetball mogą otworzyć drzwi kariery, które w innym przypadku pozostałyby zamknięte. Chodzi o powiązania.

Macham ręką i stawiam krok w tył.

– Przyjadę.

Stanton odjeżdża, a ja stoję na ulicy, czekając, aż samochód zniknie z pola widzenia. Jakieś dziwne uczucie... kwitnie mi w piersi i zdaję sobie właśnie sprawę, że wącham jego koszulkę. Znowu.

Niedobrze.

Bieg – tego właśnie potrzebuję. By wypocić resztki alkoholu i pozbyć się endorfin zalewających mi umysł. Piszę do Brenta, który mieszka na tej samej ulicy, chcąc sprawdzić, czy nie chce się przyłączyć, po czym wchodzę do mieszkania, gdzie wita mnie niemal siedemdziesiąt kilo czarnobrazowej miłości – mój rottweiler, Sherman.

Jest jak czołg.

Mama przez całe życie bała się psów, więc nie mieliśmy żadnego, jednak gdy wyprowadziłam się na własne śmieci, spełniłam swoje marzenie i kupiłam sobie największego i najgroźniejszego psa, na jakiego mogłam sobie pozwolić. Ponieważ pracuję do późna, płacę za wyprowadzanie Shermana trzy do czterech razy dziennie, więc nie ma problemu, jeśli nie wracam na noc. Jest jednak moim syneczkiem, a ja jego mamusią, zatem nawet jeśli jego fizyczne potrzeby są zaspokojone, to jego urocze, brązowe oczy rozpalają się na mój widok.

Dłuższą chwilę drapię go za uszami i po brzuchu.

Następnie podłączam telefon do zestawu głośnomówiącego i włączam muzykę, ponieważ potrzebuję szybkiego rytmu. Czegoś żywego. Wybieram *I'm Still Standing* wielkiego Eltona Johna i ustawiam na powtarzanie. W przeciwieństwie do strachu przed psami, po matce odziedziczyłam gust muzyczny. Usłyszała *Tiny Dancer* po raz pierwszy, gdy jako nastolatka była pierwszy dzień w Ameryce i od tamtej pory kochała twórczość Eltona Johna. Nieustannie grał w tle podczas mojego dzieciństwa. Gdy tylko mam możliwość, chodzę na jego koncerty.

Do pierwszego refrenu czuję się o wiele lepiej, podrygując do rytmu, zmieniam biustonosz na sportowy i zakładam czarne spodnie do biegania. Rozciągam się w salonie, podczas gdy Brent wchodzi przez niezamknięte drzwi, sam ubrany na sportowo – w niebieską koszulkę, która podkreśla jego mięśnie, i czarne spodenki, odsłaniające metalową protezę nogi, której używa podczas uprawiania sportu.

Choć wiem o wypadku Brenta i o tym, co stracił w jego wyniku, zawsze następuje sekunda szoku na widok metalowej rurki, którą ma przyczepioną poniżej kolana. Trudno

wyobrazić sobie walkę, jaką musiał podjąć, wszystkie wyzwania, które musiał pokonać, a mimo to wciąż ma niesamowitą, dynamiczną osobowość.

Przez chwilę mi się przygląda, po czym przechyla głowę i się przysłuchuje.

– *I'm Still Standing*, co? Ktoś tu rano potrzebował kopa.

Zna mnie aż za dobrze.

– Wróciłaś późno... czy... nie wróciłaś wcale? – pyta.

Biorę klucze i wychodzimy w kierunku parku Memorial, najlepszego w mieście miejsca do biegania. Pomimo wieczornego deszczu powietrze jest ciepłe i suche, jest piękny, letni dzień.

– Zostałam u Stantona – mówię od niechcenia.

Jego oczy robią się wielkie jak spodki.

– Serio?

– Było późno – wyjaśniam.

– Aha.

– Byłam zmęczona – mówię.

– Mmm...

Dodaję z irytacją:

– Padało!

Przytakuje, a jego chłopięce, niebieskie oczy wydają się wiedzieć lepiej.

– Skoro tak mówisz.

Adwokat musi wiedzieć, jak manipulować świadkiem. Jak nim sterować, by trzymać go z dala od pewnych tematów. Zatem wykorzystuję tę umiejętność.

– A jak tam twoja „randka”?

Brent uśmiecha się łobuzersko.

– Dżentelmeni nie opowiadają o takich rzeczach.

W biurze, kiedy mieliśmy niewiele pracy, miał w zwyczaju wypełniać ciszę różnego rodzaju pikantnymi historyjkami. O aktorce, która robiła mu loda, kiedy paparazzi czekali przed jej samochodem. O dziedzicze fortuny, która lubiła ryzyko, więc pieprzył ją podwieszoną u żyrandola szesnastowiecznego zamku. Nie wszystkie historyjki dotyczyły seksu – tylko jego ulubione.

– Nie widzę tu żadnych dżentelmenów.

Prycha śmiechem.

– Racja. Powiedzmy tylko, że wyszła ode mnie rano okrakiem i tak to zostawmy.

Zaczynamy biegać od Monumentu Waszyngtona, niespiesznym tempem rozgrzewki, nie odsuwając się od siebie i uważając na innych biegaczy, rowerzystów i rolnarzy na ścieżce.

Waszyngton jest miastem młodych, aktywnych i przynajmniej w dzielnicy, w której mieszkam, atrakcyjnych ludzi. Rywalizację praktycznie wyczuwa się w powietrzu, niczym smog w Los Angeles. Wszyscy chcą być najlepsi w tym, co robią – gotowi iść w górę lub zepchnąć kogoś w dół.

Jeśli chciwość jest dobra, w Waszyngtonie króluje siła, a wszyscy walczą o pozycję, by uszczknąć najlepszy kawałek tego tortu dla siebie.

Nasze tempo jest równe, oddychamy głęboko i spokojnie.

– Co myślisz o zarobku? – pyta nagle Brent.

Patrzę na gładką, młodzieńczą, przystojną twarz, przez którą nieustannie miewał kłopoty, i wzruszam ramionami.

– Zależy od twarzy. Dlaczego pytasz?

Pociera szczękę.

– Zastanawiam się, czy nie zapuścić brody. Oszczędziłoby mi to podrywania przez

licealistki.

Śmieję się z jego sytuacji.

– Myślę, że dobrze byłoby ci z brodą.

Mija kilka minut nim naszym oczom ukazuje się budynek upamiętniający Jeffersona.

Wierzę, że kiedy te monumenty były planowane, ktoś nie lubił Thomasa Jeffersona, ponieważ ten ku jego czci znajduje się najdalej. Jest wyizolowany. Jeśli chodzi o odwiedzających, Jefferson został wyrolowany.

– Odnosnie ciebie i Stanton. . . – zaczyna ostrożnie Brent.

Kątem oka widzę jego minę, więc na krótko przystaję.

To troska.

Zawstydzony obawami przyjaciół – jakby był zdenerwowany, ponieważ musi powiedzieć coś, czego mówić nie chce.

– Mówił ci coś? O mnie?

Kolejna lekcja zasłyszana od braci. Faceci plotkują.

– Nie... Nie, nic nie mówił. Tylko... wiesz, że Stanton jest... emocjonalnie niedostępny?

– Właśnie to w nim najbardziej lubię. Kto by miał czas na kogoś dostępnego?

Idziemy obok siebie, wyrównując oddechy.

– Ale wiesz, że ma... rodzinę?

– Oczywiście, że wiem, Brent. Nieustannie wspomina o Jenny i Presley. Ma na biurku ich zdjęcie i wiele więcej w swoim mieszkaniu.

Stanton leżący na szpitalnym łóżku obok Jenny trzymającej różowy koczek z nowo narodzonego dzieckiem. On i dziewczynka z warkoczykami stojąca obok błyszczącego, różowego rowerka. Stanton, Jenny i Presley siedzący na diabelskim kole, uśmiechający się promiennie. Cała trójka jasnowłosa i idealna – niczym aniołki z południa.

Brent zaczyna gestykulować.

– Uważam, że bylibyście cudowną parą. I nie musiałybyś zmieniać monogramu.

Śmieję się i kręcę głową.

– Jesteś jedynym znanym mi facetem, który wie, co to jest monogram i jak wykorzystać go w zdaniu.

– Taki już jestem. – Wzrusza ramionami. – Tylko... Nie chcę widzieć, jak cierpisz, Sofia. Bo... przypadkowo to może się zdarzyć.

Brent jest lowelasem, ale nie ściemnia. Miewał przypadkowe kochanki czy dziewczyny, które chciały przenieść znajomość na wyższy poziom, jednak przypominał im wtedy, że woli układ taki, jaki jest. Kiedy te relacje się kończyły, a emocje nieuchronnie wybuchały, zawsze czuł się źle z tego powodu. Miał wręcz wyrzuty sumienia.

Głaszczę go czule po ręce.

– Doceniam twoją troskę, ale jest w porządku. To właśnie urok przyjacielskiego pieprzenia: nikt się nie obraża.

Brent odwzajemnia mój uśmiech i wracamy do biegu.

– Z czysto egoistycznego punktu widzenia, byłoby przerąbane, gdyby nasz mały skład się rozleciał.

– Nasz skład?

Szturcza mnie łokciem.

– Tak, skopujemy tyłki w imię sprawiedliwości. Jesteśmy jak *Avengers*. Przynajmniej ci dobrzy.

– Och! – Dyszę, podejmując jego grę. – Mogę być Thorem? Zawsze lubiłam młotki.

Klepie mnie po głowie.

– Nie, biedna, głupia dziewczuszko. Jesteś Czarną Wdową, Jake jest Hulkiem, a Stanton Kapitanem Ameryką.

– A ty?

Z uśmiechem pokazuje swoją metalową nogę.

– Iron Manem.

Unoszę palec.

– Taka myśl mnie naszła: jeśli odpuścisz sobie mówienie o bohaterach komiksów, być może licealistki przestaną cię prześladować.

Zaciska usta, zastanawiając się nad tym.

– Pewnie, tylko to niemożliwe.

Znów się śmiejąc, przyznaję:

– Zatem pozostaje ci broda.

W niedzielny poranek wstaję wcześniej i robię mnóstwo *pão de queijo* – brazylijskich bułeczek z serem. Staram się robić je co tydzień – chrupkie na zewnątrz, ciepłe i miękkie w środku są idealne na śniadanie.

Wyciągam gorącą blachę z piekarnika i kładę ją na szafce, by wystygła, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Otwieram je i widzę Jake'a i Stanton'a z nowiutką torbą golfową przerzuconą przez ramię.

– Cześć – witam ich, otwierając szerzej drzwi.

– Gotowa do nauki, seksowna nauczycielko? – pyta Stanton, gdy Sherman staje na dwóch łapach, próbując polizać go po twarzy.

– Zwarta i gotowa. Też idziesz z nami grać w golfa, Jake?

– Nie, przyszedłem tylko na serowe bułeczki.

Nalewam kawę Stantonowi i Jake'owi, po czym rozlega się kolejne pukanie – tym razem to Brent.

– Hej.

– Dzień dobry.

Wchodzi do mojego salonu, choć podejrzewam, jaka będzie jego odpowiedź, ale i tak pytam:

– Co tu robisz tak wcześnie?

– Jest niedziela – wyjaśnia, jakby to było coś oczywistego. – Przyszedłem na bułeczki.

I w taki oto sposób zapoczątkowujemy tradycję.

Siedzimy przy stole, kończąc śniadanie. Stanton rzuca kawałek bułki Shermanowi, by ten złapał go w locie.

– Pies ci się spał, Soph.

Staję w obronie Shermana, jednocześnie drapiąc go po grzbiecie:

– Wcale się nie spał! Ma tylko... grube kości.

Brent przechyla głowę, przyglądając się.

– No nie wiem, Stanton chyba ma rację. Może zaczniesz z nim biegać. Chyba nie chcesz, by inne psy w parku się z niego nabijały i nazywały go Grubciem lub Pączusiem.

Krzywię się tylko, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– Trzy razy dziennie przychodzi chłopak, by go wyprowadzać.

Wcina się Jake:

– Nie sądzę, byś mu odpowiednio płaciła.

Mężczyźni są zaskakująco prostolinijni. Czasem nawet złośliwi. Na sali sądowej ci trzej faceci są uosobieniem taktu i charyzmy, ale pośród przyjaciół – są jak młotki. Może to dlatego, że wychowywałam się z braćmi, może ich procesy myślowe odcisnęły się na mnie, ale podoba mi się taka szczerść. Jest rozkosznie prosta.

Właśnie tę bezpośredniość słychać w następnym komentarzu Stanton'a:

– Czy któryś z was wczoraj na meczu softballu też zauważył, że ten gnojek Amsterdam cały czas gapił się na tyłek Sofii?

– Ja – odpowiada Jake, unosząc rękę.

– Jakby miała na nim wypisaną formułkę leku na raka – uzupełnia Brent.

Richard Amsterdam jest kontraktowym adwokatem z Daily&Essex, kolejnej kancelarii biorącej udział w mistrzostwach, którą wczoraj pokonaliśmy. Jest prawie czterdziestoletnim, odnoszącym sukcesy przystojniakiem, który, jak wieść niesie, bzyka wszystko, co nie ucieka na drzewo.

– Musiał mu się podobać widok. – Wstaję i wkładam brudne talerze do zlewu. – Po grze zaprosił mnie na kolację i tańce.

– Aha. – Przytakuje Brent. – Kolacja i tańce, klasyczna ściema oznaczająca alkohol i orgazm.

– Nie lubię tego fiuta – mówi Jake, gryząc ostatnią roladkę. – Przebiera w sekretarkach jak ja w prezerwatywach. Nie można ufać temu gościowi. Coś jest z nim nie tak.

– Co mu odpowiedziałas? – pyta Stanton, patrząc na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Że jestem zajęta. Co jest prawdą, lekcje golfa pochłaniają czas.

Jego spojrzenie się rozjaśnia.

– O... to dobrze.

Ja również mogę pochwalić się bezpośrednim podejściem.

– A co dokładnie w tym dobrego?

Stanton uśmiecha się do mnie krzywym, zadziornym uśmiechem. Sprawia, że w odpowiednich miejscach czuję ciepło i mrowienie.

– Stać cię na kogoś lepszego, Soph.

Stanton

Środowy poranek spędzam w biurze prokuratora, angażując się w prymitywne, choć ekscytujące, zakulisowe działania zapobiegające zgrzytowi w trybach maszyny sądowniczej: negocjuję z oskarżeniem ugodę. To pospolite, rutynowe postępowanie – jednak wraz z negocjacjami przychodzi ekscytacja. Wiem, że mój klient jest winny, oskarżyciel też o tym wie, jednak moje zadanie polega na przekonaniu drugiej strony, by zadowolili się niewielkim zwycięstwem – czas i pieniądze podatników warte są mniejszych zarzutów i niskiego wyroku.

Idę zatłoczonym korytarzem za Angelą Cassello, niską, rudą, seksowną asystentką w biurze prokuratora.

– Umożliwia spotkania ludziom o tych samych zainteresowaniach, ludziom szukającym w partnerze konkretnych fizycznych cech, którzy nie mają czasu na samodzielną weryfikację kandydatów – wyjaśniam.

Dyplomacja w najlepszym wydaniu. Znana również jako wielka ściema.

– Jest alfonssem – argumentuje Angela. – To, że jest bogaty, nie umniejsza tego, że jest alfonssem.

– Jest swatem.

– Ha! – Śmieje się, nie zwalniając kroku. – Zaraz powiesz mi, że dilerzy narkotyków to farmaceuci.

Właściwie to nie takie złe – może się przydać na przyszłość.

– Słuchaj. – Opieram się o ścianę, zmuszając Angelę do zatrzymania się przede mną. – On nie pracuje w podziemiu, nie działa poza stanem, nie używa przemocy. Jest płotką, Angela, małą, nieszkodliwą rybką. Masz rekiny do usmażenia. W stanie Nevada nie byłby nawet oskarżony.

– Gdyby twój klient był mądrzejszy, działałby w Nevadzie.

– Pozwiemy go za niepłacenie podatków – sugeruję. – Jednak teraz musisz odpuścić.

– Ach tak, bo przestępstwa podatkowe popełniane przez bogatych ludzi są społecznie akceptowalne. Przestępstwa o podłożu seksualnym za to są tolerowane, przynajmniej dopóki taka osoba nie zostanie złapana.

Czasami najlepszą odpowiedzią jest brak odpowiedzi. Czekam, aż coś powie.

Angela wzdycha.

– Masz szczęście, że lubię cię bardziej niż twojego klienta, Shaw. Weźmiemy niezapłacone podatki. Ale chcę pudła. Nie życzę sobie wyroku w zawieszeniu czy aresztu domowego.

– Półotwarty zakład karny i mamy ugodę.

Wyciąga rękę, więc ją ściskam.

– Jeszcze w tym tygodniu wyślę ci papiery.

- Jesteś najlepsza, Angela.
Szturcza mnie w brzuch.
- Mówisz to wszystkim oskarżycielom.
- Tylko tym ładnym.

Po powrocie do biura otwieram aktówkę i wyjmuję dokumenty dotyczące sprawy alfonsa oraz listy, które rano wyjąłem ze skrzynki. Siadam i popijając kawę, sortuję korespondencję. Reklama, reklama, rachunek, reklama... W pewnym momencie moją uwagę przykuwa koperta.

Mała, biała, ręcznie adresowana... Ze zwrotnym adresem domu rodziców Jenny.

Natychmiast ją otwieram i wyjmuję kremową kartkę.

I czuję się, jakby bomba atomowa spadła mi na głowę.

Mój mózg musiał zmienić się w popiół i stałem się analfabetą, ponieważ nie rozumiem słów.

Jenny Monroe...

James Dean...

Mają zaszczyt zaprosić...

Czerwiec...

Ślub... Ślub... Ślub...

– Co do kurwy nędzy?!

Jake unosi głowę i obraca się w fotelu.

– Coś się stało?

Ten pomysł jest tak bezsensowny, że aż zapiera mi dech.

– To twoja sprawa? To jakiś żart?

Wskazuje na siebie.

– Czy kiedykolwiek zrobiłem ci jakiś żart? Celowo wkręciłem?

Ma rację. Takie wybryki nie są w jego stylu.

Jednak Brent... To może być jego pomysł.

Podrywam się z fotela i biegnę do gabinetu Brenta i Sofii.

– To ma być śmieszne? – oskarżam ostrym, zdesperowanym głosem.

Brent wyjmuje mi z palców kartkę.

– Nie wiem, jak mogłoby być. Kremowy nie jest najśmieszniejszym z kolorów. – Czyta i mówi: – Wow! – Patrzy ostrożnie na moją twarz, po czym na zaproszenie i znów mruczy: – Wow.

Sofia wstaje zza biurka.

– Co się stało? Z jakiego powodu to „wow”?

Brent pokazuje jej zaproszenie. Zrozumienie pojawia się w jej oczach.

– Co...? Cholera.

Na moim czole pojawiają się krople potu, pierś zaciska się, jakbym miał atak paniki.

Porywam kartkę i pędem wracam do gabinetu, kiedy Brent i Sofia depczą mi po piętach. Muszę na kogoś nawrzeszczyć.

I już wiem, na kogo.

Wystukuję znajomy numer na klawiaturze telefonu. Kiedy słyszę, że ktoś odbiera, mówię krótko:

– Presley?

– Cześć, tato.

– Dlaczego nie jesteś w szkole? – W Missisipi jest godzina później, ale i tak powinna być w szkole.

– Mamy dzisiaj wolne, nauczyciele mają jakieś zebranie.

– Gdzie matka?

– Przygotowuje się do pracy.

– Daj jej telefon.

Słyszę szum, przytłumioną rozmowę, córka wraca na linię.

– Mama mówi, że teraz nie może rozmawiać, bo spóźni się do pracy, ale oddzwoni.
Nie wydaje mi się.

– Presley – sycze – powiedz matce, żeby wzięła tę pieprzoną słuchawkę i to w tej cholerniej chwili.

Następuje chwila ciszy, po czym szept:

– Mam tak powiedzieć?

– Powiedz dokładnie tak – naciskam. – Nie będziesz miała kłopotów.
Ze zbyt dużym entuzjazmem, córka krzyczy:

– Mamo! Tata powiedział, żebyś wzięła tę pieprzoną słuchawkę i to w tej cholerniej chwili!

Słyszę, jak Jenny podchodzi, by wziąć telefon.

– Odbiło ci? – pyta sekundę później. – Każesz małej przeklinać? Zabronię ci kontaktów!

– Już coś kombinujesz! – rzucam. – Na co, u diabła, w tej chwili patrzę, Jenn?

Oczywiście, że nie wie, na co teraz patrzę – to nie był mój najlepszy tekst – ale ciężko mieć logiczne argumenty, kiedy zostaje się kopniętym w jaja.

– Nie wiem, Stanton, na co, u diabła, właśnie patrzysz?

– Cóż, wygląda mi to jak pieprzone zaproszenie ślubne!
Zszokowana wciąga gwałtownie powietrze.

– O mój Boże – mówi, po czym zwraca się nie do mnie: – Mamo! – Następnie słychać szum ostrej wymiany zdań i po chwili mówi do słuchawki: – Stanton?

Mocniej ściskam telefon.

– Jestem.

Jenny przełyka ślinę.

– Ta wiadomość, którą chciałam przekazać ci w weekend, to właśnie to. Wychodzę za mąż.

Czuję, jakby mówiła w innym języku – słyszę słowa, ale nie rozumiem ich znaczenia.

– Cholera jasna!

– Miałam ci powiedzieć... – wyjaśnia pośpiesznie.

– Kiedy? W okolicach złotych godów?

Próbuje mnie uspokoić:

– Wiem, że jesteś zły...

Ale tracę panowanie.

– Już dawno przestałem być zły, teraz jestem tak wściekły, że to aż straszne! – Ponownie patrzę na zaproszenie. – Kim w ogóle jest James Dean? W ogóle co to za nazwisko?

Brent wybiera tę chwilę, by cicho wyjaśnić:

– To nazwisko jednego z najlepszych amerykańskich aktorów. Grał w *Buntowniku bez powodu*, z Elizabeth Taylor w *Olbrzymie*...

– Elizabeth Taylor – dołącza Jake – była seksowna, gdy była młoda.

Ignoruję tych bełkoczących idiotów i skupiam się na tym, co mówi Jenny.

– Spotykamy się już od kilku miesięcy. Oświadczył mi się trzy tygodnie temu.

Niepokojąca myśl nawiedza mój umysł i natychmiast ciśnie się na usta.

– Jesteś w ciąży?

Urażona Jenny mówi:

– Dlaczego o to pytasz? Według ciebie moją jedyną szansą na małżeństwo jest ciąża?

– Nie, ale twoja siostra...

– Nie wspominaj siostry! – krzyczy. – Nie, kiedy twój brat mieszka w przyczepie i sprzedaje maryskę dzieciakom z pobliskiej szkoły!

Kopię w biurko.

– Nie chcę gadać o pieprzonym Carterze czy Ruby! Chcę rozmawiać o tym absurdalnym pomysle, który wpadł ci do głowy. – Wtedy przez mój umysł przechodzi jeszcze gorsza myśl: – Czy on... Czy on kręci się w pobliżu Presley?

Jenny tylko wzdycha powoli, po czym mówi jakby winna:

– Poznała go, tak. Czasami chodzi z nami do pobliskiego parku. – Już nie żyje!

Już jest trupem. Truchłem. Ścierwem. Zastanawiam się nad każdym możliwym scenariuszem morderstwa, który ostatnio zasłyszałem, i planuję wypróbować każdy po kolei na pieprzonym Jamesie Deanie.

– Przestań się na mnie wydzierać! – krzyczy Jenny.

– Więc skończ z tą głupotą! – warczę.

Odsuwam telefon od ucha, ponieważ jej krzyk grozi pęknięciem mojej błony bębenkowej.

– Dobra! Chcesz wrzeszczeć? Więc oboje powrzeszczmy, Stanton, ponieważ tak właśnie załatwimy tę sprawę!

Sofia wpada do mojego gabinetu i nerwowo pisze w notesie:

Przestań! Weź głęboki oddech. Dręczysz ją – nic tym nie wskórasz.

Czuję, że moja twarz zamienia się w kamień, jedynie nozdrza falują gwałtownie.

Zmuszam się jednak, by zamknąć oczy i skorzystać z rady Sofii – przełykam całą wiązaną zniwag, które już zebrały mi się na języku.

– Przepraszam, że krzyczałem. Tylko... ciężko mi przejść nad takim gównem do porządku dziennego. – Jednak z każdym słowem podnoszę głos. – A pomysł, że jakiś nieznajomy kutas kręci się w pobliżu mojej córki...

– Ale ty go znasz! – natychmiast odpowiada Jenny, jakby to miało cokolwiek poprawić. – Chodził z nami do szkoły średniej, tylko rok niżej. Nazywaliśmy go Jimmy. Jimmy Dean, był asystentem twojej drużyny futbolowej.

Kiedy to mówi, wyobrażam sobie chudego, ciemnowłosego gnojka, z okularami jak denka od słoików.

Ponownie więc krzyczę:

– Ten od wody?! Wychodzisz za mąż za chłopaka od podawania wody?

Przez wściekłość dzwoniącą mi w uszach słyszę, jak Brent mówi:

– Zaraz straci panowanie.

Jake przygląda mi się zafascynowany.

– Całkowicie się podda.

– Cicho! – karci ich Sofia.

Ja jednak ciągnę dalej:

– Nazywaliśmy go Parówka, bo miał tak małego ptaszka! Z podłogi szatni zbierał po nas ochraniacze na jaja! Na miłość boską, byłaś królową piękności! Królowe piękności nie wychodzą za chłopaków od wody!

– Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy tak się zachowujesz! Odbiło ci! – odpowiada Jenn.

– To przez ciebie! Spakowałaś moje jaja do torebki i razem z mózgiem wywiozłaś za granicę miasta zwanego rozsądek!

Sofia podtyka mi kolejną kartkę pod nos.

Weź się w garść!!! Stwórz plan! Określ warunki, bo ją stracisz.

Ostatnie słowo uderza mnie w oczy – ma rację. Pocieram twarz i oddycham głęboko, czuję się, jakbym przebiegł maraton.

Głos Jenny jest zimny jak lód:

– Muszę iść do pracy. Porozmawiamy później.

– Wracam do domu, Jenn – mówię.

Wpada w panikę. Niemal widzę, jak macha rękami, zawsze tak robi, gdy jest zdenerwowana.

– Nie! Nie, Stanton, zostaniesz w Waszyngtonie i... spróbujesz się uspokoić. Pracuję na dwunastogodzinne zmiany przez kolejne trzy dni. I tak nie będę miała czasu, by się z tobą zobaczyć...

– Jutro będę w domu – nalegam. – To daje ci dwadzieścia cztery godziny, by powiedzieć Jamesowi Deanowi, że nie popełnisz tego strasznego błędu.

– Albo co? – wyzywa mnie.

– Albo go zabiję – stwierdzam fakt. – Klnę się na Jezusa, że albo z nim zerwiesz, albo noc poślubną spędzisz przy zwłokach.

– Od osiemdziesiątego siódmego nekrofilia jest surowo karana – przypomina Brent.

A Jenny się rozłącza.

Rzucam telefon na biurko i opadam na fotel.

– Kurwa. – Przeczesałam dłońmi włosy. – Kurwa mać! Moja dziewczyna... Moja dziewczyna wychodzi za mąż.

Właśnie wtedy, gdy wypowiadam to głośno i wyraźnie, boli najbardziej. Jednak nim ból się rozrasta, Sofia wydaje dźwięk zdegustowania.

– Co to, na Boga, było? – drwi.

– To był tracący panowanie Stanton – odpowiada Jake.

Kobieta ignoruje go, podchodzi bliżej, krzyżuje ręce na piersi i patrzy na mnie ostrym wzrokiem.

– Jesteś obrońcą w sprawach karnych, Stanton. Wyklócasz się profesjonalnie. A to była najbardziej żałosna dyskusja, jaką w życiu słyszałam.

– To nie jest proces, Sofia! To moje pieprzone życie!

Rozkłada ręce.

– Cały świat jest salą sądową... A my wszyscy jesteśmy... oskarżonymi.

Brent mruży oczy.

– Chyba nie zacytowałaś tego poprawnie.

– Naprawdę myślałaś, że wrzeszczenie na nią i wyzywanie jej na coś się zda? Jeśli już, to tylko ją wkurzyłeś. Gdybyś to mi tak nawtykał, kazałabym ci spieprzać.

– Nie wiedziałem, co mówię, tak? – I z pogardą, której nie miałem zamiaru okazywać, rzucam: – A Jenny nie jest taka jak ty.

Jednak Sofia się nie obraża.

– Najwyraźniej jest przynajmniej trochę do mnie podobna, ponieważ zadaje się z takim żalonym typem jak ty. Jednak pytanie, które musisz sobie zadać, brzmi: co masz zamiar z tym wszystkim zrobić?

Ma rację. Muszę wziąć się w garść i jakoś poskładać to do kupy. Muszę porozmawiać z Jenny – tym razem lepiej – i przekonać ją, by nie wychodziła za mąż. A nie mogę tego zrobić, będąc w Waszyngtonie.

– Muszę pojechać do domu. Muszę się z nią zobaczyć. Porozmawiać twarzą w twarz. Dowiedzieć się co, do cholery, jest grane. Muszę to naprawić.

Sofia opiera rękę na moim ramieniu.

– Powoli. Stwórz plan działania. Wygraj ją jak proces. Bądź uroczy. Bądź... sobą.

Wstaję.

– Idę prosić o urlop. – Spoglądam na troje współpracowników. – Zastąpicie mnie?

– Jasne.

– Oczywiście.

Jake tylko przytakuje.

Nim wychodzę z gabinetu, zatrzymuje mnie głos Sofii:

– Stanton.

Odwracam się. Jej spojrzenie jest ciepłe, jednak uśmiech wydaje się być... wymuszony.

– Powodzenia.

Kiwam głową i bez sekundy zastanowienia idę się przygotować, by wrócić do domu.

Sofia

Nie podnosiłam głowy znad laptopa, odkąd przekroczyłam próg drzwi. Moje szpilki leżą porzucone przy wejściu, mój beżowy trencz na kwiecistym fotelu, gdzie go zostawiłam, ociekający parasol stoi w rogu pokoju. Sherman rozciągnięty leży przy oknie, wielkimi, brązowymi oczami śledzi krople spływające po szybie. Największe hity Eltona Johna dobiegają z głośników, kiedy przygotowuję wniosek o odrzucenie dowodów, tuż po wniosku o zmianę sali rozpraw i odpowiedzi na próbę oskarżenia mojego siedemnastoletniego klienta, syna wpływowego lobbysty, jako dorosłego za posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży.

Kręcę głową, by pozbyć się bólu w karku, starając się rozluźnić spięte mięśnie. Odkładam laptopa obok siebie na kanapę i pocieram ramiona, gdy Elton śpiewa *I Want Love*.

W końcu pozwalam sobie pomyśleć nad ostatnimi wydarzeniami.

Stanton wyjeżdża. Jedzie do Missisipi do „swojej dziewczyny”. Nie wahał się – nawet nie brał pod uwagę, by Jenny Monroe wyszła za kogoś innego. Był stanowczy i tak zdeterminowany, jakim go jeszcze nie widziałam. Nie mam wątpliwości, że wpadnie tam i przypomni jej o wszystkim, o czym najwyraźniej zapomniała.

Wyobrażam sobie, jak wchodzi i porywa ją w te silne ramiona – niczym Tarzan swoją Jane – i przekonuje ją z tym niesamowitym uśmiechem i nieodpartym urokiem osobistym, by dała mu drugą szansę.

A kiedy to robi – a jestem pewna, że tak się stanie – mój układ ze Stantonem dobiegnie końca.

Zamykam oczy. Kurczy mi się żołądek i ściska pierś – czuję się, jakbym po zbyt długiej przerwie pływała w basenie.

To nie jest moja pierwsza tego typu akcja. Mam dwadzieścia osiem lat i jestem sama. Przeżyłam kilka przygód. Studiując prawo, miałam czas jedynie na takie rzeczy. Zaspokajały potrzebę, wprawiały w dobry nastrój i pomagały się skoncentrować.

Dosłowna wymiana korzyści.

Właśnie dlatego po południu powiedziałam to, co powiedziałam – próbując wyrwać go z szoku. Ustawić na właściwym torze, ponieważ przede wszystkim, Stanton jest moim przyjacielem. Nie powiedziałam, że się poświęcę – ale jestem lojalna. Właśnie tacy powinni być przyjaciele. Pomagać sobie nawzajem.

To, co mamy – on i ja – jest fajne. Fizyczne i wygodne. A przede wszystkim powinno być proste.

Jednak zdenerwowanie i zazdrość czające się w moim wnętrzu sprawiają, że nie ma w tym nic prostego.

Kręcę głową, zdeterminowana, by wyzbyć się melancholii. Nie jestem jedną z tych, które poddają się emocjom. Zawsze odsuwam je na bok niczym niemodną torebkę. Może odsunięcie

się na jakiś czas od Stantona będzie dobrym rozwiązaniem. Da mi czas na oczyszczenie myśli. Zakochanie się w kumplu do łóżka byłoby niefortunne, a ja nie jestem głupia.

Sherman unosi łeb, nim rozlega się pukanie do drzwi. Pies wstaje, ale nie szczeka, kiedy przechodzę przez pokój. Otwieram drzwi i widzę – stojącego w sztywnej pozie – dyszącego i ociekającego wodą Stantona Shawa. Krople deszczu trzęsą się na jego grubych rzesach, gdy patrzy na mnie, pochylając się w przód. Półprzezroczysta, biała koszulka klei się do jego ciała, ujawniając grzbiety okazałych mięśni i ścieżkę włosów niknącą za gumką spodenek, niewiele pozostawiając wyobraźni. Jego czoło oblepiają złote loki.

Jest takie łacińskie powiedzenie – *omne trinum perfectum* – oznacza: „wszystko co potrójne jest idealne”. Choć stoi w sprzeczności z powszechnym przekonaniem, że śmierć i tragedie również przychodzą trójkami.

Wydaje się jednak pasować, ponieważ Stanton wypowiada trzy słowa. Już wcześniej wypowiadał je ochrypłym, władczym głosem – za każdym razem trzymając ręce na moim ciele, kiedy atmosfera między nami była ciężka od pożądania.

I w tej chwili, tylko tyle trzeba, by stały się moją zgubą...

– Jedź ze mną.

Stanton wyciera ręcznikiem najpierw głowę, następnie opalone ramiona.

– Wyjaśnisz mi to jeszcze raz? – proszę, ponieważ nie potrafię pojąć jego planu.

– Chcę, byś pojechała ze mną do Missisipi. Mam tylko jedną próbę i nie mogę jej spieprzyć. Jeśli zacznę wrzeszczeć na Jenn, jak to zrobiłem po południu, ona się ode mnie odsunie. Ta dziewczyna jest uparta jak całe stado mułów. A ty możesz pomóc mi zachować spokój, pozostać skoncentrowanym, jak robimy to w sądzie. Poza tym, możesz mi doradzić, jak mam ją przekonać, że popełnia największy błąd w życiu.

– Ale ja nawet jej nie znam.

Kręci głową.

– To nie ma znaczenia. Jesteś kobietą. Wiesz, jak myślą kobiety. Ona najwyraźniej nie jest usatysfakcjonowana naszym związkiem, więc muszę się postarać. Wykonać jakieś romantyczne gesty. A ty możesz być moim pomocnikiem, moim skrzydłowym.

Jego skrzydłowym – super. Jak Goose w *Top Gunie*. Nieatrakcyjnym pomocnikiem. Drugoplanowym koleżką.

Jego koszulka wydaje dziwny dźwięk, kiedy ją zdejmuję. Zatracam się w widoku pysznej, mokrej skóry, smakującej na moim języku niczym słone niebo.

To takie niesprawiedliwe.

Zamykam oczy – nie tylko on musi popracować nad swoim skupieniem.

– Stanton – zaczynam, po czym wzdycham. – Nie uważasz, że to dziwne, jeśli przywieziesz mnie ze sobą, kiedy pojedziesz odzyskać dziewczynę?

Zastanawia się przez chwilę nad moim pytaniem. Ale nie rozumie.

– Dlaczego miałyby to być dziwne? Jesteśmy przyjaciółmi.

Zmuszona więc jestem wskazać oczywiste.

– Przyjaciółmi, którzy się bzykają! – Uprawiają dziki, namiętny, niezapomniany seks, pozostawiający mnie wyczerpaną i cudownie obolałą. Seks, który moglibyśmy uprawiać w tej chwili... gdyby nie koperta, która zapoczątkowała cały ten dramat.

Wycierając pierś ręcznikiem, przytakuje.

– Właśnie. Przyjaciółmi, którzy się pieprzą, nic podobnego do tego, co łączy mnie z Jenn.

Brak mi tchu – jednak on tego nie zauważa. Mam ochotę strzelić go w tę niewyparzoną gębę, żeby nie mówił już więcej głupot.

Jednak jego mina mnie powstrzymuje. Jego niewinny, oszołomiony wyraz twarzy i ciekawość błyszcząca w zielonych oczach, które sprawiają, że wygląda młodo i nieskalanie. Tak samo patrzył na mnie Sherman, gdy zeżarł mi warte sześć stów buty.

To spojrzenie mówiące: „No co? Co ja takiego zrobiłem?”.

Zmieniam taktykę.

– Zapewne nie dostanę urlopu. Mam dużo spraw.

Nie wierzy mi, ponieważ zna mój harmonogram jak swój własny.

Cholera.

Podchodzi do mnie i bierze komórkę leżącą na stole.

– Jaki masz kod?

Zaciskam usta.

Przewraca oczami i wbija ciąg cyfr. Udaje mu się odblokować telefon już za pierwszym razem.

Drań.

– Data twoich urodzin? – drwi. – Powinnaś trochę poważniej potraktować swoje bezpieczeństwo. – Sprawdza mój kalendarz. – Nie masz żadnych rozpraw. Masz tylko jedno przesłuchanie i jedno spotkanie z klientem. Brent i Jake mogą się tym zająć w zastępstwie.

Bądź silna, Sofia.

– Nie chcę, by się tym za mnie zajmowali.

Stanton również zmienia taktykę.

– Wychowywałaś się w Chicago, studiowałaś w Bostonie, a teraz mieszkasz w Waszyngtonie, nigdy nie byłaś na wsi, nigdy nie zwiedzałaś południa. Spodoba ci się, to będzie jak wakacje.

Prycham:

– Missisipi w czerwcu? To byłoby jak wakacje w piekle. – Nim zaczyna się spierać, dodaje: – Poza tym... ja nie latam.

Tego się nie spodziewała.

– Co masz na myśli?

Wskazuję na prawą stronę, gdzie mam poszarpaną bliznę.

– Katastrofa lotnicza, gdy byłam dzieckiem? Od tamtego czasu stopa nikogo z mojej rodziny nie powstała w samolocie.

Zerka nade mną, mrużąc oczy, przerabiając swój plan i moją w nim rolę, po czym zaciska zęby.

– Pojedziemy. Dotrzemy tam w dwa dni. Później, niż bym chciał, ale i tak będziemy mieć wystarczająco dużo czasu. I hej, będziesz mogła poprowadzić porsche! Będę mógł wywiązać się z naszego zakładu i upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

Pozbawiona wymówek, wyznaję cicho:

– Myślę, że mój przyjazd z tobą to bardzo, bardzo zły pomysł.

Stanton przez moment patrzy mi w oczy... po czym opuszcza głowę i wzdycha ciężko. Wygląda... na pokonanego. Smutnego. Całkowicie jak nie on.

Czuję chęć – pragnienie – przytulenia go i stwierdzenia, że wszystko będzie dobrze. By znów uśmiechnął się tym swoim pięknym uśmiechem. Częściowo naprawdę chciałabym mu pomóc.

Niestety jednocześnie chciałabym nadal być jego kochanką, przez co mam ochotę kopnąć się teraz w tyłek.

– Wiem, że proszę o wiele – mówi cichym, ochryłym głosem – ale proszę jedynie dlatego, że to cholernie dla mnie ważne. A tylko ty możesz mi pomóc. Proszę. Sofia, potrzebuję cię.

Znów trzy słowa. Jedyne, które musiał powiedzieć.

Szlag by to trafił.

Tym razem to ja opuszczam głowę i wzdycham pokonana.

– Dobra.

Stanton

Niektóre pomysły uderzają niczym oślepiający błysk światła – napad geniuszu. Jak historia opowiadana w podstawówce o tym, jak sir Isaac Newton, dostając jabłkiem w głowę, odkrył grawitację. Niektóre idee nie są jednak już tak natychmiastowe i oczywiste. Tkwią gdzieś w podświadomości, formując się wolno, po czym ostatecznie przepychają się w górę. A kiedy przysłowiowa żarówka rozżarza się, zastanawiacie się, dlaczego zajęło jej to tak wiele czasu.

Poszedłem pobiegać, by jakoś rozładować frustrację, która się we mnie nagromadziła po rozmowie z Jenny. Gdzieś w okolicach mauzoleum Lincolna przyszło mi na myśl, co będzie oznaczał mój powrót do domu. Będę musiał przekazać klientów innym prawnikom w kancelarii, niektóre spotkania będzie trzeba przełożyć, Jake zajmie się mieszkaniem... a Sofia pozostanie tutaj. W Waszyngtonie. Beze mnie. Otoczona przez całe miasto Richardów Amsterdamów, pragnących dobrać się do niej niczym miś do miodu.

Ta myśl była... drażniąca.

Sofia jest dorosłą kobietą, potrafi o siebie zadbać – i nie ma względem mnie żadnych zobowiązań. Rozumiem. Ale mogę o nią zadbać – jestem jej przyjacielem. Myśl, że mogłaby się umówić z Amsterdamem, że mogłaby z fizycznej potrzeby zastąpić mnie kimś tak bezwartościowym, wcale mi się nie podoba.

Przypominam sobie rozmowę z Jenn. Odtwarzałem ją w głowie jak rozgrywający taśmę z poprzedniego meczu. Wyraźnie zobaczyłem swoje błędy, słowa, których nie powinienem wypowiedzieć. Najgorsze rzeczy, które mogłem rzucić do słuchawki, gdyby nie było przy mnie Sofii. To ona mnie powstrzymała i odciągnęła znad krawędzi. I wtedy wpadłem na ten pomysł.

A im więcej o tym myślałem, tym rozsądniejszy się wydawał. Najlepsze rozwiązanie obydwu męczących mnie kwestii.

Kiedy się rozejrzałem, stałem przed kamienicą, w której mieszka Sofia. Jakby moje stopy same mnie tutaj przywiodły. Od czasu do czasu robił to mój fiut i nigdy wcześniej mnie nie zawiódł.

Zatem wszystko postanowione. Wczesnego, jasnego, czwartkowego poranka stoję w tym samym miejscu, pakując torby Sofii do porsche, zamierzając wykonać tajną misję.

Przyjaciółka ma tak wiele toreb.

– Dorobię się przepukliny – narzeka Jake, kładąc torbę od Louisa Vuittona, która dźwięczy, jakby była wypełniona cegłami. Pasuje do pięciu pozostałych – wagą również. – Jedziesz na tydzień czy na rok?

Sofia wychodzi z budynku, ma na sobie czarne spodnium bez rękawów, luźne, ale eleganckie, z głębokim dekoltem, przez co zaliczam jej strój do moich ulubionych. Na ramieniu ma żółtą torebkę, na głowie okolonej lśniącymi, czarnymi włosami biały, słomkowy kapelusz, a na twarzy wielkie, okrągłe, przeciwsłoneczne okulary. W świetle czerwcowego poranka jest

porażająco piękna.

Obok niej staje Brent, trzymający na smyczy Shermana, wysłuchując dokładnych instrukcji. Zatrudniony chłopak do wyprowadzania psów będzie w ciągu dnia zajmował się tą bestią, ale noce będą należały do Brenta.

– Naprawdę jestem wdzięczna, Brent – mówi, pochylając się, by kilka razy uściskać psa, wielokrotnie pocałować go w głowę i dwa razy powtórzyć, że ma być dobrym chłopczykiem. Po chwili dziewczyna uświadamia sobie, że gapimy się na nią z Jake'em. Patrzy to na mnie, to na niego. – No co?

Biorę ostatnią, zbyt ciężką torbę.

– Chyba pomyliłaś porsche z ciężarówką.

Sofia zdejmuje okulary, ukazując pełne zmieszania spojrzenie.

– Sugerujesz, że przesadziłam z pakowaniem?

– Sugeruję, że musisz się przepakować, Soph. Weź jedynie niezbędne rzeczy.

Wskazuje palcem torby.

– Ale to niezbędne minimum.

Wskazując na tył samochodu, mówię:

– Mamy niewielki bagażnik i tylną kanapę tak ciasną, że nie pomieściłaby... Shermana.

– Hau. – Pies przysuwa się do mnie.

Sofia marszczy brwi, patrząc na niego, po czym mówi do mnie:

– Potrzebuję tego wszystkiego.

– Chcesz wiedzieć, co ja zabrałem? – Obchodzę samochód i pokazuję jej starą torbę na siłownię. – To cały mój bagaż.

– Więc mam zmienić swoje nawyki względem pakowania, ponieważ ty będziesz wyglądał jak włóczęga? Nie wydaje mi się. – Podwija niewidzialne rękawy, po czym patrzy na samochód, na torby i znów na samochód. – Zmieszczą się.

Jake kręci głową.

– Nie ma szans.

Sofia się uśmiecha.

– Z pewnością się zmieszczą.

– Nie zmieszczą się – powtarzam.

– Patrzcie i ucicie się, chłopcy.

Piętnaście minut później... okazuje się, że się zmieściły. Każda torba ma określone miejsce, wetknięta bez pozostawiania szczelin – niczym trójwymiarowe puzzle, których nie można ponownie złożyć, gdy się je raz rozłoży.

Jestem pod wrażeniem.

– A teraz – mówi Sofia, wzdychając i uśmiechając się szeroko – poproszę o kluczyki.

Wyciąga rękę i czeka. Chciałbym wyjaśnić – kłócić się, dlaczego będzie lepiej, jeśli nie będzie prowadziła mojego samochodu. Mam dar przekonywania.

Jednak nim mam szansę wykrztusić choć słowo, jej otwarta dłoń zmienia gest w wyciągnięty środkowy palec.

– Nie.

Zamykam usta. Otwieram je ponownie, by się przekonać...

Znów widzę środkowy palec.

– Nieee. – Kiedy zgrzytam zębami zamiast coś powiedzieć, Sofia ciągnie: – Prosiłeś o pomoc, a ja się zgodziłam. Jeśli mam jechać do zabitej dechami dziury w stanie Missisipi, to ja prowadzę.

Ona też ma dar przekonywania.

Podaję jej kluczyki.

I niczym pogodna rodzinka w reklamie niemieckiego samochodu wsiadamy, by wyruszyć w drogę.

Jake upomina nas:

– Uważajcie na siebie. Szerokiej drogi.

Sherman szczeka, a Brent machając, z udawanym akcentem krzyczy:

– Pa, pa, udanej zabawy, dzieciaki.

I ruszamy w drogę.

Przez pierwsze czterdzieści kilometrów styl jazdy Sofii kosztuje mnie jakieś dziesięć lat pieprzonego życia. Nie to, że kiepsko prowadzi – wręcz przeciwnie. Za kierownicą zachowuje się jak zawodowy kierowca wyścigu NASCAR. Chciałbym jedynie, by to nie moim samochodem wyczyniała te wszystkie manewry.

– Uważaj! – krzyczę, chwytając się deski rozdzielczej, kiedy jedzie prosto na tył ciężarówki znajdującej się tuż przed nami, by dosłownie w ostatniej chwili zmienić pas, niemal zahaczając przednim zderzakiem o znajdujące się tam minivana.

– Jojczysz jak stara baba! – narzeka, przekrzykując hałas, włosy smagają jej twarz niczym węże u Meduzy podkręcone na amfetaminie.

– A ty jedziesz jak spóźniona mamuśka odwożąca gówniarza na trening! – krzyczę. – Zwolnij i ciesz się urokiem jazdy, ponieważ, możesz mi wierzyć, już nigdy nie poprowadzisz tego cacka.

Otwiera szeroko usta, głośno się śmiejąc. Zaczyna bawić się przyciskami na kierownicy, wchodząc na playlistę swojej komórki połączonej z zestawem głośnomówiącym. Natychmiast z głośników dobywa się *I Guess That's Why They Call It the Blues* Eltona Johna, jedna z ulubionych piosenek Sofii.

Przyglądam się jej i śmieję się do siebie, kiedy zaczyna śpiewać, głośno i bezwstydnie, poruszając głową i kołysząc ramionami. Widziałem Sofię spiętą, zdeterminowaną i nakręconą. Ale urocą... To dla mnie nowy widok. I podoba mi się. Bardzo.

Ze zmysłowym wyrazem twarzy spogląda mi przelotnie w oczy, nie przerywając śpiewania.

– „Kotłując się jak burza pod kołdrą...” – Nie mam wątpliwości, co jej chodzi po głowie, jakie obrazy ma przed oczami, bo dokładnie wiem, że widzi nas.

Kiedy piosenka się kończy, wkładam swój telefon do zestawu głośnomówiącego i podłączam do głośników.

– Hej – protestuje. – Kierowca wybiera muzykę!

– Właściwie – poprawiam – robi to pasażer, ale do tej pory byłem uprzejmy. Będziemy się zmieniać, coś za coś.

Sofia przytakuje, a ja przerzucam listę, aż znajduję piosenkę, której szukam.

– To jest piosenka na rejs po autostradzie.

Bezblędny głos Elvisa Presleya śpiewającego *Burning Love* wypełnia samochód. Kiwam głową do rytmu i pstrykam palcami – to najbliższa mi forma tańca.

Sofia się śmieje.

– Chłopak urodzony na południu może stamtąd wyjechać, ale Elvisa nigdy z niego nie wyrwiesz.

Wskazuję na nią palcem.

– Święta prawda.

Czuję na sobie jej radosne spojrzenie, gdy zaczynam śpiewać:

– „Twoje pocałunki mnie unoszą niczym słodka pieśń chóru...”

Odsuwając niesforne włosy z twarzy, Sofia pyta:

– Nazwałś córkę na cześć Elvisa?

Uśmiecham się, wspominając.

– Podobało nam się takie imię, mimo że jest oryginalne, jest ładne dla małej dziewczynki.

– A imię dla chłopca też wybraliście?

Przytakuję i wyjaśniam:

– Henry, po dziadku Jenn, albo Jackson, po moim.

Milczy przez chwilę, przesuwa się, po czym wciska gaz do dechy i pyta:

– Rodzina jest dla ciebie ważna, Stanton, prawda?
– Oczywiście. Jeśli coś się dzieje, tak naprawdę można liczyć jedynie na rodzinę. Nie zrozum mnie źle, bywały dni, kiedy chciałem zakopać starszego brata żywcem. Poznasz go, to zrozumiesz dlaczego. Jednak... to zawsze będzie mój brat. – Urywam, po czym wyznaję, co leży mi na wątrobie, odkąd otworzyłem kopertę. – Właśnie dlatego tak mnie dziwi postawa Jenny. Wiesz, zawsze była pewna. Ukierunkowana. Nie mogę uwierzyć, że jest teraz taka... kapryśna. Sofia odzywa się cicho, jednak na tyle głośno, bym usłyszał ją mimo wiatru:
– Może po prostu za tobą tęskni?
Nim mam szansę odpowiedzieć, moją uwagę przykuwa prędkościomierz.
– Lepiej zwolnij, Soph.
Lekceważy mnie.
– Nie martw się, babciu, panuję nad sytuacją.
– Patrol z radarem może się z tobą nie zgodzić, rajdowcu.
Kiedy tylko te słowa opuszczają moje usta, rozlega się za nami dźwięk syreny, a w lusterku odbijają się koguty.
Sofia wzdycha, ale nie martwiąc się zbyt, zerka przez ramię.
– Nie chcę mówić, a nie mówiłem, ale... – Pozwalam, by te słowa zawisły w powietrzu, kiedy Sofia przegląda się w lusterku wstecznym, przygląda włosy, obciąża nieco dekolot i poprawia cycki. – Co ty, u diabła, wyprawiasz?
– Załatwiam brak mandatu. – Szcypie się w policzki i przygryza dolną wargę, sprawiając, że staje się bardziej różowa i wilgotna.
Uśmiecham się.
– Myślisz, że tak łatwo ci pójdzie?
Patrzy na mnie tymi swoimi oczami w oprawie długich rzęs.
– Błagam. Mężczyźni to najprostsze ze stworzeń. Fascynują ich cycki, bo sami ich nie mają. A one zmieniają ich mózgi w papkę. W pięć minut odjedziemy stąd wolni.
Mój uśmiech poszerza się, kiedy widzę podchodzącego do nas policjanta. Sofia z miną niewiniątka z wielkimi oczami obraca się w lewo.
– Jakiś problem, pa... O cholera.
Policjant jest tak naprawdę policjantką.
Zatem odwrócenie uwagi cyckami odpada. To robota dla „Uwodziciela Przysięgłych”. Przesuwam się na siedzeniu, uśmiecham kusicielsko, a mój głos jest pewny siebie i przekonujący:
– Dzień dobry, pani władzo. Czym możemy służyć?

Po przeprosinach i obietnicy, że nie pozwolę mojej niecierplivej towarzysze siadać za kółkiem, nie dostajemy mandatu i następne dwanaście godzin spędzamy w drodze. Po zmroku brudni, głodni i zmęczeni meldujemy się w motelu.

Mam wszelkie powody, by być zarozumiałą, więc proszę o jeden pokój z wielkim łóżkiem. Sofia idzie prosto pod prysznic, a ja zamawiam pizzę, sześć małych piw dla siebie i butelkę wina dla niej.

Wracam do pokoju, kiedy ona wychodzi z łazienki, rozczesując szczotką długie, mokre włosy, ubrana w jedwabną, ciemnozieloną koszulę nocną, ładnie podkreślającą jej krągłości. Zmyła makijaż, przez co wygląda niewinnie, bardziej dziewczęco, niż do tego przywykłem. Widok ten sprawia, że budzi się we mnie instynkt ochronny.

Rozpogadza się, gdy dostrzeża pizzę.

– Niech cię Bóg błogosławi!

Trzy kawałki później siedzimy przy niewielkim okrągłym stoliku. Sofia skubiąc brzeg pizzy, pyta:

– Jaki jest plan? Kim mam być?

Biorę łyk piwa.

– O co pytasz?

– O to czy... jestem nową dziewczyną? Partnerką na ślub? Nie widziałeś nigdy *Mój chłopak się żeni*?

Prycham:

– Na szczęście nie, nie widziałem.

– Mam sprawić, by była zazdrosna? Mężczyzna nigdy nie będzie bardziej atrakcyjny, niż kiedy obejmuje inną kobietę. A może mam flirtować z narzeczonym Jenny? Sprawdzić jego wierność? To by ci dało solidne argumenty przeciwko niemu.

Nie wiem, co bardziej mnie niepokoi – dźwięk słów „narzeczony Jenny”, czy pomysł, że Sofia mogłaby z nim flirtować.

– Nie lubię takich gier. To manipulacja. To nie fair, wiesz?

Sofia wzrusza ramionami.

– Jeśli chcesz wygrać, czasami musisz grać nieczysto.

Kręcę głową.

– Wolę bawić się inaczej. – Biorę łyk piwa, po czym wyjaśniam, dlaczego tak mnie to odrzuca: – Kilka lat temu spotykałem się z kobietą imieniem Rebecca. Poznaliśmy się na jakiejś konferencji.

Sofia się śmieje.

– Firmowe konferencje to podatny grunt na polowanie.

Również się śmieję, przyznając jej rację.

– Nie poruszałem przy niej szczegółów dotyczących Jenny, ale jasno dałem do zrozumienia, że nasza znajomość jest przelotna.

– Oczywiście, że dałeś.

– Tak czy inaczej, powiedziała, że się zgadza. Spotkaliśmy się dwa razy, a wtedy ona zaczęła robić do mnie jakieś podjazdy. Rzuciła jakieś uwagi na temat innych, z którymi się spotyka, robiła dla nas jakieś plany, po czym je unieważniała, starała się grać ciężką do zdobycia, jednocześnie wymyślając jakieś wymówki, by dostać się do mojego mieszkania. Zaczęła się czepiać, a jej gra była wkurzająca. Całe to jej zachowanie sprawiło, że była dla mnie... żalona. Szybko się jej pozbyłem.

– Przeszkadzał ci fakt, że nie chciała już „okazyjnych spotkań”, bo się w tobie zakochała czy to, że próbowała cię zmanipulować, byś odwzajemnił jej uczucia?

– Chyba jedno i drugie.

Sofia przytakuje, rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Zatem wolisz bezpośrednie podejście. Jadę z tobą, bo...

– Ponieważ chcę mieć pewność, że nie strzelę sobie w kolano i nie skopię komuś tyłka.

Musisz mnie trzymać na właściwej ścieżce. Mamy z Jenn długą historię, no i mamy Presley. Powiedziała, że spotyka się z tym Jamesem Deanem zaledwie od kilku miesięcy, więc nie mogę uwierzyć, by jej uczucia do niego były silniejsze niż to, co czuje do mnie. Myślę, że tak naprawdę jest to wołanie o pomoc.

– Myślisz, że czuje się zaniedbana?

– Dokładnie tak. Musi jakoś zwrócić na siebie moją uwagę.

Bierze spory łyk wina, opróżniając niemal połowę kieliszka.

– A co potem? Myślisz... żeby się jej oświadczyć?

Skłamałbym, gdybym powiedział, że ta myśl nie przyszła mi do głowy. Pocieram kark.

– To skomplikowane. Nie chcę, by wychodziła za kogoś innego, tego jestem pewien.

Jednak... Presley nadal chodzi do szkoły. Nie wiem, czy będą chciały przeprowadzić się do Waszyngtonu. Zawsze wyobrażałem sobie, że się pobierzemy... później. Kiedy będziemy starsi.

Sofia unosi wysoko brwi.

– Patrzyłeś ostatnio w lustro? Już jesteś starszy.

– Jestem w kwiecie wieku.

– No właśnie.

Wstaję.

– Najważniejsze jest to, że muszę to jakoś załatwić. Jeśli będzie trzeba oświadczyń, by ją powstrzymać od poślubienia Parówki, to zrobię, co będę musiał.

– Wow – prycha Sofia. – Jakiś ty romantyczny. Czy jakakolwiek kobieta mogłaby się czemuś takiemu oprzeć?

Pokazuję jej środkowy palec i szczerzę zęby w uśmiechu.

– Miłość wymaga czynów, nie słów.

Tym zamykam sprawę i idę pod prysznic.

Wychodzę z zaparowanej łazienki i widzę, że Sofia leży już w łóżku. Światło z ekranu wyciszonego telewizora oświetla nieznacznie pokój. Zrzucam ręcznik, którym owinąłem biodra, i wślizguję się pod kołdrę.

Sofia odwrócona jest plecami, jej ciemne włosy leżą rozrzucone na poduszce. Myślę, że może i zjedliśmy kolację, ale nie przeszliśmy jeszcze do deseru.

Zawsze lubiłem desery.

Ześlizguję się w dół łóżka, ciągnąc ze sobą kołdrę i widzę okryty jedwabiem tyłeczek Sofii. Odsuwam materiał w górę i odsłaniam miękką skórę nieskrępowaną majteczkami. Moje serce przyspiesza, pompuje krew w dolne rejony ciała, kiedy całuję jeden z pośladków, skubiąc go lekko zębami.

– Stanton.

To nie jęć rozkoszy, ale ostre stwierdzenie. „Nie”.

Odsuwam się.

– Co się stało?

Obciąża koszulkę, zakrywając się i obraca w moją stronę. Przesuwam się wyżej, kładę głowę na poduszce, zaledwie kilka centymetrów od jej pięknej twarzy.

– Nie sądzę, byśmy mogli uprawiać seks, kiedy będę u ciebie w domu.

Czuję rozczarowanie, które wali mi się na głowę niczym dach opuszczonego budynku.

– Dlaczego nie?

Myślę, czy przypadkiem Sofia nie ma problemu z moimi uczuciami w stosunku do Jenny, ale szybko odsuwam od siebie ten pomysł. Zawsze wiedziała o Jenn, nawet przed tym, gdy pierwszy raz się bzykaliśmy, i nigdy jej to nie przeszkadzało. Poza tym, według mnie, Sofia nie ma nic wspólnego z Jenn – są niczym dwa zupełnie różne pomieszczenia. Nawet budynki. Jak stodoła i dom. Oba potrzebne, ale niepołączone, spełniające zupełnie inne cele.

W słabo oświetlonym pokoju jej oczy wydają się ciemniejsze, bardziej błyszczące. Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka. Zastanawia się przez chwilę, po czym zaczyna na nowo.

– Powinieneś... oszczędzać tę pasję, wiesz? Niczym odpoczywający przed meczem zawodnik.

Zakładam jej włosy za ucho.

– A co z tobą?

Sofia w sprawach seksu jest wymagająca i ma zdrowy popęd. Przez ostatnie pół roku pieprzyliśmy się trzy czy cztery razy w tygodniu. Nie wydaje mi się sprawiedliwe, by przez dwa tygodnie była go pozbawiona.

Jej usta rozciągają się w uśmiechu.

– Potrafię... o siebie zadbać.

Sama myśl o tym sprawia, że więcej krwi spływa mi na dół.

– Zabijasz mnie, skarbie – jęczę.

Opiera dłoń na moim obojczyku, po czym przesuwa ją w górę na moją szczękę i lekko pociera.

– Przykro mi.

Naśladuję jej ruch, nie jestem gotowy, by zrezygnować z deseru – nie jestem też pewny, czy rzeczywiście chce tego, o czym mówi. Obejmuję jej policzek, po czym przesuвам rękę na jej szyję.

– Nie będzie ci tego brakowało? – pytam.

– Tego?

Zabieram jej dłoń z mojej twarzy i koniuszkami zębów skubię jej delikatne palce, po czym zasysam je w usta, kręcąc na nich językiem. Po chwili je wysuwam.

– Nie będzie ci brakowało moich ust? Mojego języka liżącego twoją skórę? Tego, jak rozszerzam ci nogi, bym mógł powoli w ciebie wejść, centymetr po centymetrze, i tego, jak wbijasz mi paznokcie w nogę, ponieważ potrzebujesz tego natychmiast?

Oddycha szybko i płytko. Mówi, jękając się:

– Ee... tak, chyba będzie mi brakowało.

– A co gdybym stwierdził, że chcę ostatniego buziaka? – Przysuwam się i przeciągam językiem po jej dolnej wardze. – Gdybym chciał po raz ostatni spróbować twoich ust? Mógłbym?

Patrzy na mnie, ale widzi obraz nas razem, namalowany moimi słowami, przypominający o każdym jęku, który dzieliliśmy. Każdym dotyku.

– Tak. Pozwoliłabym ci na ostatni pocałunek.

Skubię jej podbródek i szczękę. Szepczę:

– A jeśli powiedziałbym, że muszę cię po raz ostatni posmakować? Albo ostatni raz polizać twoją słodką, ciasną cipeczkę? Nie doprowadziłbym cię do orgazmu, gdybyś nie chciała... Albo mógłbym to zrobić. Pozwoliłabyś mi?

– O Boże... – jęczy, tym razem z rozkoszą i pragnieniem. – Tak... Tak... Pozwoliłabym ci...

Przesuwam się wzdłuż jej ciała, ogrzewając oddechem zimny jedwab. Całuję napiętą skórę na jej brzuchu, liżę miękkie ciało u zbiegu jej ud. Patrzę na nią, widząc, że mnie obserwuje.

A kiedy się odzywam, w moim cichym głosie słyszeć desperację:

– A jeśli powiedziałbym ci, że muszę cię mieć? Że chcę poczuć, jak zaciskasz się wokół mnie tak mocno, że widzę niebo. Że nie mogę znieść myśli, że nie usłyszę tych twoich seksownych dźwięków, które wydajesz, i tego, jak wykrzykujesz moje imię? Pozwoliłabyś nam na to, nawet jeśli miałyby to być ostatni raz?

Nim kończę zdanie, Sofia przeczesuje palcami moje włosy. Z czułością odsuwa je w tył, po czym przyciąga mnie do siebie.

– Tak, Stanton, tego też bym chciała.

Uśmiecham się.

– Dobrze, bo nie jesteśmy jeszcze blisko mojego domu, więc mamy mnóstwo czasu.

Uśmiech Sofii przekształca się w chichot ulgi. Macha na mnie palcem, zapraszając mnie.

– No to chodź i pocałuj.

Wiele godzin później trzymam Sofię za biodra, wbijając palce w jej tyłek, pomagając jej, kiedy mnie ujeżdża. Ssę jej sutki, ponieważ są piękne i znajdują się tak blisko moich chętnych ust.

– Tak, skarbie... ujeżdżaj mnie – mówię, uwielbiając sposób, w który dyszy. Wkładam palce między nasze śliskie ciała i pocieram nabrzmiałą i wilgotną łechtaczkę. Zataczam niespieszne kółka, naciskając odpowiednio, by Sofia znalazła się na krawędzi, by była wokół mnie jeszcze bardziej gorąca i mokra. Jej oddech się spłyca, biodrami naciska na moją rękę.

– Mocniej – polecam stanowczo, nie zostawiając miejsca na sprzeciw, nawet jeśli ona też tego chce. Unoszę biodra, spotykając się z nią w pół drogi. – Mocniej mnie pieprz...

Wciskam głowę w materac, kiedy Sofia wykonuje polecenie. Jak na kobietę, która lubi być stanowcza w biurze, tutaj jest zaskakująco uległa.

Chwytną mnie za włosy, przyciąga moją głowę do siebie, by mnie pocałować. Patrząc mi w oczy, pyta:

– Z nią też tak jest?

– Jak? – mrużę bezmyślnie, gdy zaciska się wokół mojego fiuta.

Jednak przestaje, nieruchomieje, wydaje się być poważna, kiedy dotyka palcami mojego policzka.

– Z Jenny też tak jest? Czy tak to wygląda? – Opiera dłoń na mojej piersi, gdzie bije moje serce. – Z nią też się tak czujesz?

W pokoju panuje ciemność, przez co łatwiej o szczerość, a będąc jednocześnie w kobiecie, wypełniając ją i odczuwając ją wokół, nie można kłamać.

– Nie. Nie tak.

Sofia rozważa to przez chwilę. Kąciki jej ust unoszą się lekko.

– To dobrze.

Znów zaczyna się ruszać i wszystko inne traci znaczenie.

Sofia

– Naprawdę muszę iść. – Wiercę się na siedzeniu jak dziecko, które... cóż, któremu chce się siku.

Stanton marudzi:

– Niedługo będziemy w domu.

– Niedługo to i tak za długo. Zatrzymaj się przed następnym Starbucksem.

Patrzy na mnie, jakbym zaproponowała kąpiel w oceanie – o północy.

– Nie mamy tutaj Starbucksów.

Rozglądam się na prawo i lewo, spodziewając się, że robi sobie jaja.

– Co to za zapomniana przez Boga pipidowa?

Podczas drugiego dnia naszej krajoznawczej wycieczki centra handlowe i wysokie budynki pojawiały się coraz rzadziej, zastąpione polami kukurydzy i samotnymi domami stojącymi z dala od drogi. Kilka kilometrów temu Stanton pokazał mi tablicę powitalną miasteczka Sunshine, ale od tamtego czasu wszystko, co widziałam, to drzewa i rozległe pola uprawne. Wkrótce będę na tyle zdesperowana, że użyję któregoś z tych drzewek.

Wjeżdżamy na wyludnioną ulicę, na której stoi zaledwie kilka samochodów.

– Niech będzie restauracja – nalegam, starając się myśleć o wszystkim prócz ciśnienia naciskającego na pęcherz. – Kiedy znajdziemy się w centrum.

To sprawia, że Stanton wybucha śmiechem, ale ja nie pojmuję żartu.

– Och, Soph. Właśnie jesteśmy w centrum.

Rozglądam się. Jest tu zaledwie kilka piętrowych budynków. Pozostałe to parterowe baraki – poczta, apteka, fryzjer, księgarnia – każdy z uroczą markizą nad wejściem, ale żadnej tablicy z szyldem.

– Po czym to poznajesz?

Wskazuje czerwone światło, na którym stoimy.

– Po sygnalizatorze drogowym.

– Sygnalizatorze drogowym?

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Tak... Jedynym w tej okolicy.

Ruszamy ulicą, która jest opustoszała, co mnie dziwi, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że jest sobotni poranek. Przechodzą mnie dreszcze, przypominam sobie *Dzieci kukurydzy*, film z lat osiemdziesiątych, który przyprawiał mnie o ciarki, gdy miałam dziesięć lat.

Po jego obejrzeniu, przez wiele miesięcy nie tknęłam kukurydzy.

Stanton przystaje na parkingu i wskazuje na drzwi znajdujące się tuż przed nami.

– Restauracja. Tam możesz się wysikać.

Wysiadam, nim ma szansę obejść samochód i otworzyć mi drzwi.

– Poczekam tutaj – mówi. – Jeśli wejdę tam z tobą, zatrzyma mnie kilkanaście różnych osób i miną całe wieki, nim dotrzemy do domu.

Spieszę do drzwi, a kiedy je otwieram, słyszę dźwięk dzwonka nad swoją głową. Wszyscy klienci odwracają się. I patrzą na mnie.

Siedzi tutaj kilku facetów w średnim wieku w czapkach na głowie, kilku w kowbojskich kapeluszach, dwie starszki w kwiecistych sukienkach i grubych okularach i jedna ciemnowłosa kobieta – napominająca dwoje dzieciaków dokazujących w boksie.

Podnoszę rękę i macham.

– Cześć wszystkim.

Większość wita mnie skinieniem głowy, pytam brunetkę z krótkimi włosami stojącą za ladą, gdzie znajdę toaletę. Kieruje mnie do pojedynczego pomieszczenia na zapleczu.

Czując cudowną ulgę wynikającą z pozbycia się dwóch litrów wody, myję ręce, wyciągam papierowy ręcznik z podajnika, by je osuszyć, po czym wyrzucam go do śmieci. Wychodzę z toalety i wpadam na osobę czekającą przed drzwiami.

To wysoki facet w czarnej koszulce i kowbojskim kapeluszu, ma piwny brzuch, brud za paznokciami i śmierdzi papierosami. Chwyta mnie za ramiona, bym nie poleciała w tył, jak odbita od jego galaretowatego brzucha piłeczka. Całe życie spędzone w mieście każe mi natychmiast burknąć:

– Przepraszam.

Jednak gdy próbuję obejść gościa, ten kopiuje moje ruchy i zastępuje mi drogę.

– Zwolnij, kochaniutka. Co ci tak spieszno? – mówi z południowym akcentem, taksując mnie spojrzeniem, które w końcu skupia na moich piersiach.

– Hej, kowboju – wypalam. – Zgubiłeś coś? Oczy mam wyżej.

Powoli oblizuje wargi.

– Tak, wiem, gdzie masz oczy. – Jednak nadal w nie nie patrzy.

– Fajnie. To tyle w temacie południowej gościnności.

Jego kapelusz odchyła się w tył, gdy mężczyzna w końcu patrzy mi w twarz.

– Przyjezdna? Potrzebujesz podwózki? Moja tylna kanapa jest naprawdę gościnna.

– Nie... i fuuuj.

Przepychając się ramieniem, mijam tego napalonego kowboja i wychodzę na parking. Widzę, że Stanton czeka przy samochodzie, rozmawiając z drobną, starszą kobietą o siwych, kręconych włosach. Cóż... bardziej słucha, bo tylko kiwa głową – najwyraźniej nie mogąc dojść do słowa.

Wygląda, jakby mu ulżyło na mój widok, ale jego twarz jest czerwona jak nigdy wcześniej, a końcówki uszu dosłownie mu płoną.

– Panna Bea – przedstawia – to Sofia Santos.

– Witam.

– Miło cię poznać, Sofio. Jakaś ty ładna!

Uśmiecham się.

– Dziękuję.

– I wysoka. Musi być miło tak się wyróżniać. Nigdy tak się nie czułam.

– Nie myślałam o tym w ten sposób, ale tak, chyba tak.

Stanton odchrząkuje.

– Powinniśmy już jechać.

– A tak – zgadza się panna Bea, jednak nie przestaje mówić: – Mama ucieszy się na twój widok. Ja też muszę iść, bo szłam do apteki, by kupić panu Ellingtonowi środek przeczyszczający. Narzekał, że coś nie może się wypróżnić. Od czterech dni nie siedział na

muszli, biedak. Jest jak stary, zrzedliwy niedźwiedź.

Stanton przytakuje.

– Pewnie tak.

– Miło było cię poznać, Sofio.

– Panią również, panno Beo. Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

Stawia trzy kroki w przód, ale zatrzymuje się, obraca i woła:

– I Stanton, nie zapomnij przekazać matce, że w środę na grę w karty upiekę kurczaka.

– Tak, proszę pani, przekażę.

Kiedy siedzimy już w samochodzie, pytam:

– Co z twoją twarzą? Czy ty... czy ty się rumienisz?

Nie wiedziałam, że taki zbereźnik jak Stanton potrafi się zaczerwienić.

Kiwa głową i wyznaje:

– Panna Bea była moją nauczycielką w dziewiątej klasie.

– No i?

– Pewnego dnia ktoś włączył alarm, więc weszła do męskiej szatni, żeby sprawdzić, czy nikt tam nie został, i dla pewności zaglądała pod drzwi ubikacji.

Myślę, że wiem, dokąd zmierza ta opowieść. Jednak i tak jestem ciekawa.

– A ja siedziałem w jednej z kabin i... marszczyłem fieda.

Opada mi szczęka.

– Nie!

Jęczy.

– Od tamtej pory nie jestem w stanie spojrzeć jej w twarz i nie czerwienić się jak tyłek pawiana.

Zatykam usta, śmiejąc się głośno.

– Masz paranoję!

Stanton również się śmieje i drapie po brwi.

– Cieszę się, że to cię bawi. Mama też uważała, że przesadzam, kiedy panna Bea zadzwoniła wtedy do niej, by jej o tym powiedzieć.

Śmieję się jeszcze głośniejsze.

– Żartujesz.

– Chciałbym.

– O nie! – Śmieję się, głaszcząc go po włosach i dla pocieszenia drapiąc po karku. –

Biedactwo. Musisz mieć przez to traumę.

Posyła mi swój ulubiony uśmiezek.

– Witaj w Sunshine, Soph. Miejscu, gdzie coś takiego, jak prywatność nie istnieje.

Stanton wycofuje samochód i znów zmierzamy na farmę jego rodziców. Po drodze zauważam napalonego kowboja kroczącego dumnie chodnikiem.

– Kto to?

Stanton zaciska szczękę, a jego spojrzenie staje się twardsze.

Z tą miną jest naprawdę seksowny.

– Dallas Henry – warczy nim spogląda na mnie. – Coś ci zrobił?

– Molestował mnie wzrokiem. To nic, z czym nie potrafiłabym sobie poradzić.

Stanton przeklina pod nosem, po czym mówi:

– Jeśli ponownie się do ciebie zbliży, powiedz, że jesteś ze mną. Gwarantuję, że już na ciebie nie spojrzę.

– Jakiś twój znajomy?

Wzruszając ramionami, odpowiada:

- Kilka lat temu złamałem mu szczękę.
 - Dlaczego to zrobiłeś?
- Oczy koloru jadeitu ponownie skupiają się na mnie.
- Próbował wziąć coś, co do niego nie należało.

Kiedy Stanton opowiadał, że wychował się na farmie, stworzyłam sobie pewien obraz. Wielki dom, czerwona stodoła, drzewa. Jednak ta wizja jest niczym w porównaniu ze stanem faktycznym – ogromem i wspaniałością rodzinnego ranczo Shawów. Porsche rozsypuje kamienie, kiedy jedziemy żwirowym, obsadzonym drzewami podjazdem, tak długim, że nie widać jeszcze domu. Dostrzegając go w końcu, widzę białą, wielką posiadłość ze spiczastym dachem i sporą werandą, zielonymi okiennicami i wysokimi oknami. Za nim znajduje się z dziesięć czerwonych budynków, między nimi rozstawione są przestronne zagrody z brązowego drewna. Na łagodnym zboczu za domem aż po horyzont rozciągają się pastwiska pokryte bujną, szmaragdową trawą.

Stojąc obok samochodu, rozglądam się niespiesznie wokół.

– Stanton... jak tu pięknie.

Kiedy odpowiada, słyszę dumę w jego głosie:

– Tak, pięknie tu.

– Ile ziemi mają twoi rodzice?

– Jakieś tysiąc pięćset trzydzieści dwa hektary.

– Wow. – Moi bracia ledwie pamiętają o przycinaniu krzaków rosnących w donicach na tarasie naszej matki. – Jak o to wszystko dbają?

– Od świtu do zmierzchu.

Ramię w ramię przemierzamy prowadzącą do drzwi żwirową ścieżkę. Jednak nim tam docieramy, z boku domu pojawia się młody chłopak, który zatrzymuje nas, mówiąc:

– Wygląda na to, że mimo wszystko pamiętasz, gdzie mieszkamy.

Podczas jazdy Stanton mówił o swojej rodzinie – w sumie ja też o swojej opowiadałam. Ten jasnowłosy, przystojny chłopak musi być Marshalllem, jednym z bliźniaków – osiemnastoletnich, kończących właśnie szkołę średnią. Uśmiecham się, gdy panowie wymieniają uściski, klepiąc się po plecach.

Kiedy Stanton nas przedstawia, jego młodszy brat mruży nieśmiało oczy, witając mnie prostym:

– Cześć.

Ich podobieństwo jest zaskakujące – mają te same jasnozielone oczy, tę samą dobrze zarysowaną szczękę i te same złote, grube włosy. Choć Marshall nie ma tak szerokich ramion, a jego szyja jest chudsza, gdybyście chcieli zobaczyć, jak będzie wyglądał za dziesięć lat, nie musielibyście daleko szukać.

Stanton podnosi głowę i pyta:

– Gdzie moja furgonetka?

Marshall kładzie dłoń na własnej piersi.

– Masz na myśli moją furgonetkę? – Wskazuje na stojącego przy jednej ze stodoł czarnego pickupa z wymalowanymi po bokach pomarańczowymi płomieniami. – Tam stoi..

Stanton się krzywi.

– Coś ty z nią, u diabła, zrobił?

Podchodzimy do samochodu.

– Podrasowałem ją, braciszku. Nowy lakier, nowe głośniki, teraz ma bas. – Dokonuje prezentacji, sięgając do środka i przekręcając kluczyk, po czym kiwa głową w rytm ogłuszającej muzyki, od której wibruje ziemia pod naszymi stopami.

– Jay-Z – mówi, w razie gdybyśmy byli zbyt starzy, by to wiedzieć. W tej samej chwili przed domem staje niebiesko-biały stary pickup, na którego pace siedzi kilku chłopaków w wieku Marshalla. Brat Stantonona wyłącza muzykę. – Muszę lecieć na trening. – Klepie brata w ramię. – No to na razie.

Stanton kiwa głową i woła:

– Miło było cię zobaczyć.

Kiedy brat odchodzi, Stanton przez chwilę przygląda się furgonetce, po czym kręci głową.

Obchodzimy dom, a następnie przez tylne wejście wchodzimy do przestronnej, jasnej kuchni. Białe szafki, drewniane blaty i zielone ściany sprawiają, że to pomieszczenie wygląda na proste, ale przytulne. Na jednej ze ścian wisi starodawny zegar oraz oprawiona, ręcznie robiona makatka, na której napisane jest: Dom jest tam, gdzie serce.

Matka Stantonona jest piękną kobietą, jest szczupła, wysoka i wygląda młodziej, niż sobie wyobrażałam. Jej włosy koloru miodu są upięte wysoko, kilka pasm kołysze jej się przy twarzy, gdy stojąc przy zlewie, szoruje w nim czarny garnek. Kobieta ma twarz w kształcie serca, niewielki nos i wyraźnie zarysowany podbródek. Słyszając, że wchodzimy, patrzy na nas, a wtedy uświadamiam sobie, że Stanton i Marshall muszą mieć oczy po ojcu, ponieważ oczy ich matki mają ciepły, brązowy kolor.

Uśmiecha się szeroko i promiennie i nie fatygując się wycieraniem rąk, porywa syna w ramiona, mocno go tuląc. Stanton podnosi ją i okręca wokoło.

– Cześć, mamó.

Kiedy kobieta piszczy, odstawia ją, a ona odchyła się w tył.

– Niech ci się przyjrzę. – Odsuwa mu włosy z czoła, dotyka policzka, po czym chwyta za ramiona. W końcu cofa się o krok. – Wyglądasz dobrze. Jesteś zmęczony, ale przystojny.

– To była długa podróż. – Wskazuje na mnie. – Mamuś, to moja... To Sofia.

Nim mam szansę wyciągnąć rękę, pani Shaw obejmuje mnie zaskakująco silnymi ramionami.

– Miło mi cię poznać, Sofio. Stanton opowiadał mi o tobie, mówił, jakim jesteś utalentowanym prawnikiem i jak dobrze mu się z tobą pracuje.

– Dziękuję, pani Shaw. Mnie też miło panią poznać. Cieszę się, że przyjechałam.

I wtedy to do mnie dociera, naprawdę się cieszę. Widok miejsca, w którym dorastał Stanton, poznanie ludzi, dzięki którym jest, jaki jest, napędza mnie radością. Ta słodka ekscytacja sprawia, że się uśmiecham.

– Mów mi mamó, jak inni. Jeśli będziesz mówiła do mnie pani Shaw, to nawet nie zareaguję.

– Dobrze.

Wskazuje na stół.

– Siadajcie, siadajcie, musicie umierać z głodu.

– No i się zaczyna – szepcze Stanton, jego łaskoczący oddech wywołuje gęsią skórę na mojej szyi.

Kiedy matka rozbija jajka na jajecznicę, Stanton pyta o ojca.

– Jest na północy – wyjaśnia kobieta. – Spędzi tam resztę dnia, może nawet więcej. Naprawia ogrodzenie zniszczone podczas ostatniej burzy.

Piętnaście minut później na stole stoi jajecznica, boczek i ciepłe maślane bułeczki.

– Jakie dobre, pani... mamó – poprawiam sama siebie, przy czym chichoczę zawstydzona.

– Dziękuję, Sofio.

– No i proszę. – Stanton uśmiecha się z ustami pełnymi jedzenia. – Przez cały czas będzie cię dokarmiać. Słyszałaś, że na początku studiów się tyje? Przygotuj się, że u Shawów przytyjesz jeszcze więcej.

– Na Boga! – Ze schodów wbiega do kuchni siostra Stantonona, a bliźniaczka Marshalla,

Mary. Ma długie do ramion, jasne włosy i ciemne oczy po matce, przez co nie ma wątpliwości, że należy do klanu Shawów.

Mając trzech starszych braci, natychmiast czuję z nią nić porozumienia.

Przysuwa się i całuje Stantoną w policzek, drocząc się z nim:

– Niedługo zacznę nazywać cię Szary Duch, ponieważ pojawiaasz się jak zjawia i będziesz miał siwe włosy na brodzie.

Stanton szczypie ją w podbródek, po czym pociera swoją szczękę.

– Nie mam siwych włosów na brodzie.

– Jeszcze nie – zgadza się Mary. – Poczekaj tylko, aż Presley będzie w moim wieku, cały osiwiejesz, jak tatuś.

Mary przedstawia mi się, po czym natychmiast wyraża podziw dla mojego lakieru na paznokciach. I szminki. Oraz srebrnej koszulki bez rękawków i czarnych spodni.

– Mamo – jęczy. – Możemy iść na zakupy? Proszę.

Matka Stantoną zaczyna wycierać stół.

– Masz jeszcze kieszonkowe z ubiegłego tygodnia?

– Nie, wydałam na kino.

Starsza z kobiet wzrusza ramionami.

– Więc masz odpowiedź.

– Idę do Haddie – informuje nadąsana.

– Nie, póki nie nakarmisz cielaków w stajni.

Mary otwiera usta, by zaprotestować... po czym przygryza wargę z nadzieją.

– No chyba że... najlepszy na świecie starszy brat zrobi to za mnie.

– Twój brat właśnie przyjechał – poucza ją pani Shaw. – Ledwo co zjadł, dajże mu chociaż chwilę odpocząć.

Krzyżuje ręce na piersi i patrzy na brata niczym Sherman na mnie.

Stanton zaciska usta i ruchem głowy wskazuje drzwi.

– Idź, nakarmię za ciebie cielaki.

Mary z piskiem rzuca mu się na szyję.

– Dzięki! – Natychmiast biegnie do wyjścia. – Pa, Sofia!

Kiedy stół jest już czysty, a naczynia wytarte, pijemy ze Stantonem i jego mamą kawę.

– Pokażę Sofii pokój – mówi Stanton – i pojedę do Jenny.

Kobieta spina się nieznacznie, po czym kiwa głową i bierze łyk kawy. Stanton zagryza dolną wargę.

– Byłoby miło, gdyby ktoś mnie ostrzegł przed tym całym ślubem. Zadzwoił...

Pani Shaw patrzy synowi w oczy.

– To sprawa między tobą a Jenny. Nie mnie było dzwonić. Póki to nie ma związku z Presley, to jej osobista sprawa.

Stantonowi wydaje się wystarczać taka odpowiedź. Kilka chwil później bierzemy rzeczy z samochodu i idziemy do dawnego pokoju Stantoną. Nie znajduje się w domu, mieści się natomiast w jednym z przyległych budynków, na poddaszu stodoły. Ciepły, oddzielony łazienką od identycznego pokoju po drugiej stronie, wyłożony drewnianymi panelami, ze ścianami oklejonymi plakatami i półkami z trofeami, wydaje się być marzeniem każdego nastoletniego chłopaka.

– Pewnego lata zbudowaliśmy te pomieszczenia z Carterem – mówi Stanton, rozglądając się po pokoju. – Ojciec powiedział, że jeśli je od razu skończymy, będziemy się mogli wprowadzić, więc tak zrobiliśmy.

Dostrzegam zdjęcia stojące na stoliku nocnym – młody Stanton ubrany w strój futbolowy,

obejmujący młodą Jenny, która ma na sobie uniform cheerleaderki. Jest też zdjęcie szkolne ich córki, ubranej w czerwony sweterek, spod którego wystaje biały kołnierzyk bluzki, ujmujący uśmiech dziewczynki odsłania brak dwóch przednich zębów.

– Dlaczego Marshall i Mary nie przeprowadzili się tutaj, gdy wyjechaliście z bratem? Stanton kiwa głową, rozważając pytanie.

– Po tym jak Jenny zaszła w ciążę, matka im nie pozwoliła. Sądziła, że właśnie tutaj poczęliśmy Presley, i nie chciała więcej wnuków.

Śmiejąc się, pytam:

– A poczęliście ją tutaj?

– Nie.

Jakieś pół godziny później leżę na wielkim łóżku Stanton, rozpakowana i gotowa, by trochę popracować. Odkąd przekroczyliśmy granicę stanu Missisipi i staliśmy się przyjaciółmi bez żadnych łóżkowych korzyści, Stanton zaferował, że zamieszka w pokoju brata. Wszedł z łazienki i zmienił ubranie. Teraz ma na sobie jeansy, skórzane kowbojki, biały podkoszulek, a na głowie brązowy kapelusz. Koszulka ładnie opina mu się na ramionach, podkreślając umięśnione bicepsy. Jeansy opinają jego tyłek, podkreślają twarde brzuch i uwypuklają mięśnie ud, sprawiając, że ślinka napływa mi do ust.

Zamykam rozchylone wargi, ale Stanton i tak przyłapuje mnie na gapieniu się.

– Zrób sobie zdjęcie, wiecznie nie będę tak wyglądał.

Uśmiecham się.

– Nie muszę, mogę wyrwać z gazety reklamę Marlboro, bo wyglądasz dokładnie jak tamten facet.

Odrzuca głowę w tył i się śmieje. Obserwuję, jak podskakuje jego grdyka – jest w tym coś niewiarygodnie seksownego – coś, co sprawia, że mam ochotę ściągnąć mu koszulkę, rozpiąć spodnie i pozwolić, by pieprzył mnie w tych kowbojkach.

– Poradzisz sobie przez kilka godzin, kiedy mnie nie będzie?

Związuję włosy w kucyk, a Stanton uważnie śledzi każdy mój ruch.

– Oczywiście. Mam kilka e-maili, na które muszę odpowiedzieć. Och, potrzebuję jedynie hasła do Wi-Fi.

Patrzy zdezorientowany.

– Sofia, my nie mamy Wi-Fi.

– Co? Co masz na myśli, mówiąc, że nie macie Wi-Fi? Jak można nie mieć Wi-Fi?!

– Mamy radar do śledzenia pogody.

– Radar pogodowy?! – krzyczę. Chwytam laptopa i trzymam go nad głową, chodząc po pokoju i szukając sygnału. Jak niby mam surfować w Internecie? Jak mam odebrać pocztę? To takie prymitywne... Jak można nie mieć Internetu?

Niczym Sigourney Weaver w kosmosie – nikt nie słyszy mojego wołania.

– Jestem w piekle! Przywiozłeś mnie do piekła bez Internetu! Jak mogłeś mi to zrobić?!

Co za...

– Sofia – mówi łagodnie i cicho, czym przerywa mi w pół zdania i przykuwa moją uwagę.

Trzyma w ręku mały, czarny, prostokątny przedmiot. Po chwili rzuca go w moim kierunku. Chwytam go jedną ręką.

To przenośny Internet.

– Dziękuję.

Puszcza do mnie oko, po czym patrzy na moje stopy – wciąż mam założone skórzane szpileczki.

– Nie zabrałaś przypadkiem kowbojek, prawda?

– Oczywiście, że zabrałam kowbojki. – Otwieram szafę i pokazuję mu parę od Gucciego, wykonaną z czarnej skóry, z niemal ośmiocentymetrową szpilką.

Stanton głośno wzdycha z rozczarowaniem.

– Dobra, zrobimy tak, kiedy wrócę, pojedziemy do miasta i kupimy ci jakieś przyzwoite buty.

Nie mogę się temu oprzeć.

– Serio, właśnie to powiedziałaś? Do miasta? A czy pies i Mary też mogą jechać, tatku? – droczę się, cytując ze śmiechem kwestię z *Domku na prerii*.

– Śmieć się, śmieć, mądrało. Zobaczymy, czy będziesz się śmiała, kiedy w tych drogich bucikach wejdiesz w końskie łajno.

Zaciskam usta, natychmiast poważniejąc.
– To nie było śmieszne.
– Trochę było. – Uśmiechając się, dotyka kciukiem mojego policzka i przeciąga nim po mojej dolnej wardze.
Jest to tak intymne – tak urocze – że niemal zapominam, gdzie się znajduję.
Ale sobie przypominam.
Jestem Goosem. Skrzydłowym. Małym pomocnikiem Świętego Mikołaja.
Klaszczę w dłonie.
– Pozwól, że udzielę ci małej rady: rozmawiaj z nią, a nie mów do niej, żadna kobieta nie znosi, jak się ją poucza. I zapytaj, co się nagle stało, co takiego może dać jej James Dean, a ty nie. I powiedz, że zrobisz wszystko, co będzie konieczne, by dać jej to, czego potrzebuje.
Stanton w zamyśleniu kiwa głową.
– Przypomnij jej o waszej historii, wspólnie spędzonych latach. – W moim głosie słychać cień sarkazmu: – I co najważniejsze, pokaż jej, jaki z ciebie niesamowity facet.
Stanton się uśmiecha.
– To ostatnie nie będzie trudne.
Trącam go w rąbek kapelusza z większym entuzjazmem, jaki tak naprawdę czuję.
– Do dzieła, kowboju.
Obraca się, ale przystaje w drzwiach.
– Dzięki, Sofia. Za wszystko.
Schodzi ze schodów.
Wzdychając głęboko, siadam na łóżku i biorę się do pracy, wyobrażając sobie, co by się wydarzyło, gdyby ze mną został.

Stanton

Zatrzymuję się na podjeździe, wysiadam z furgonetki, opieram się o samochód i ze skrzyżowanymi na piersi ramionami przyglądam się otoczeniu.

Dom rodziców Jenny wygląda, jakby zapomniał o nim czas – nigdy się nie zmienia. Biała farba odchodzi z elewacji dokładnie w tych samych miejscach. Na wielkim dębie wisi ta sama huśtawka, na której huśtałem Jenny – drzewo nadal ma tę idealną gałąź sięgającą pod jej okno, po której można się wspiąć.

Jej rodzina – podobnie jak moja – od pokoleń posiada te ziemie. Hodowla bydła jest jednak bardziej opłacalna i stabilniejsza niż uprawa ziemi, więc rolnikom takim jak rodzina Monroe bywa ciężko. Możecie mieć tysiąc hektarów kukurydzy, jednak gdy w skupie kosztuje ona grosze, wasza praca nie będzie wiele warta.

– Jenny! – woła Bunia siedząca na ganku. – Ten chłopak znów tu jest.

„Ten chłopak”.

Bunia nigdy za mną nie przepadała. Zawsze podejrzliwie na mnie patrzyła – jakbym ją irtował. Zerkała na mnie jak na muchę latającą nad talerzem, dokładnie znając jej zamiary, ale czekając, aż wyląduje.

Żeby można było zabić ją gazetą.

Kiedy Jenny zaszła w ciążę – i się nie pobraliśmy – sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Bunia była wręcz wroga, jednak dubeltówką, zawsze leżącą na jej kolanach, gdy kołysze się w swoim bujanym fotelu, nie jest przeznaczona dla mnie.

Cóż, nie tylko dla mnie.

Mąż Buni zmarł, kiedy Jenn nosiła jeszcze pieluchy. Starego Henry’ego zrzucił narowisty koń i tak się złożyło, że mężczyzna wylądował w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Od tamtej pory Bunia nie rozstaje się z jego dubeltówką – nawet z nią śpi. Jeśli kiedykolwiek zawitają tu rabusie, chuligani czy z nieba spadną Jankesi, Bunia z determinacją zdejmie tyłu, ilu zdoła. Chociaż strzelba nie jest nabita i każdy członek rodziny Jenny dba, by tak pozostało.

Niektórzy mawiają, że Bunia cierpi na demencję, ale ja nie wierzyłem w to nawet przez sekundę – ma czysty umysł i cięty język. Myślę, że zamiast chodzić cicho o lasce, Bunia woli głośno tupać, niosąc swoją dubeltówkę.

Jenny wygląda przez moskitierę w drzwiach – włosy upięła w luźny kok, nadal ma na sobie różowy fartuch po nocnej zmianie w szpitalu, w którym pracuje. Patrzy na mnie przez chwilę, po czym na jej zmartwionej twarzy maluje się słaby uśmiech.

Przyjazny – nieco speszony – ale nie zaskoczony.

Teraz, kiedy po rozmowie telefonicznej oboje mieliśmy kilka dni na ochłonięcie, musiała wiedzieć, że przyjadę. Pokazuję jej sześciopak budweisera, unosząc pytająco brwi.

Przytakuje i ruchem głowy wskazuje wnętrze domu.

– Tylko się przebiorę.

To nasza tradycja. Odkąd mieliśmy po szesnaście lat, kiedykolwiek przyjeżdżałem do domu, a chcieliśmy być sami albo było coś ważnego do obgadania – zawsze mieliśmy sześciopak piwa, z którym jechaliśmy nad rzekę.

Koc na pace furgonetki jest naszą leżanką u terapeuty. Nigdy nas nie zawiódł, więc myślę, że i tym razem się sprawdzi.

Jenny znika w domu, a ja powoli wspinam się na schody ganku – w sposób, w jaki podchodzi się do śpiącego w gawrze, starego, drażliwego niedźwiedzia. Wydaje się wam, że jesteście bezpieczni, ale lepiej się przygotować do nagłej ucieczki, w razie gdyby jednak zechciał machnąć uzbrojoną w pazury łapą.

Na powitanie uchylam Buni kapelusza.

– Dzień dobry.

Jej oczy są zaledwie szczelinami.

– Nie lubię cię, chłopcze.

– Tak, psze pani.

Wskazuje na mnie sękatym palcem.

– Jesteś diabłem wcielonym. Wężem kuszącym Ewę w raju.

– Tak, psze pani.

– Moja prawnusia jest jedynym, co ci się udało.

Uśmiecham się półgębkiem.

– Nie mogę się nie zgodzić w tej kwestii.

– Powinam cię zastrzelić już wiele lat temu – wytyka.

Siadam obok niej, ręce opieram na rozstawionych szeroko kolanach – jakbym postawą okazywał, że poświęcę jej całą należytą uwagę.

– No nie wiem... Gdyby mnie pani zastrzeliła, nikt by pani nie przynosił ulubionego napoju.

Unoszę koszulkę i niczym diler narkotykowy z za rogu pokazuję jej ukrytą za paskiem małą buteleczkę burbona Maker's Mark Cask Strength. Powołując się na jej zdrowie, matka Jenny wiele lat temu zakazała Buni pić alkohol – a przynajmniej próbowała to zrobić. Jednak Bunia jest podstępna, przebiegła, starą sroką.

Albo sępem.

Patrzy na butelkę i liże wąskie usta w sposób, w który robi to człowiek widzący oazę po przejściu wielu kilometrów pustyni. Mogłoby się wydawać, że niestosownie jest przekupywać staruszkę alkoholem. Próbować spoić dla uzyskania informacji. Ale tu nie chodzi o maniery, szacunek ani o słuszne postępowanie.

Tu chodzi o moje zwycięstwo.

Zresztą... i tak przyniosłbym Buni ten burbon. Od lat przemycam jej alkohol z najwyższych półek. A mimo to ona nadal mnie nienawidzi.

– Niech mi pani coś powie o Parówce.

Zmieszana odchyła się w fotelu.

– Chcesz kielbasy? Mamy trochę w zamrażarce.

Przewracam oczami.

– Nie, chodzi o tego faceta, za którego chce wyjść Jenny. Jamesa Deana.

I nagle jest tak, jakbym wypowiedział magiczne zaklęcie. Lata znikają z twarzy Buni, kiedy kobieta przestaje się krzywić i uśmiecha się rozmarzona. To pierwszy uśmiech, który widzę u niej od lat.

– JD? Mmm... Jest dobrym człowiekiem. Gdybym była czterdzieści lat młodsza, sama bym się do niego zalecała. To przystojny, uprzejmy... dobry chłopiec. – Po czym do jej oczu wraca znajomy błysk. – Nie jak ty, diable.

Śmieję się.

– A czym zajmuje się ten przemiły JD?

– Uczy w liceum. Chemii czy czegoś... Jest mądry. I ma talent, jest tam dopiero od roku, a już został asystentem trenera drużyny futbolowej. Kiedy Dallas Henry zostanie wykopany z pozycji głównego trenera, wyobrażam sobie, że JD zajmie jego miejsce.

Mmm... Parówka trenerem w tej samej szkole, w której kiedyś zbierał ochraniacze na jaja. Ironia losu.

Bunia patrzy na moją dłoń pocierającą butelkę burbona, jakby miał wyskoczyć z niej dzin.

– Coś jeszcze? – naciskam.

Wzdycha, rozważając moje pytanie.

– Jego ojciec zmarł kilka miesięcy temu. JD sprzedał farmę i wybudował wielki dom, w tej wymyślnej zabudowie za drogą numer 529. Tam będzie chciał mieszkać z Jenny... i Presley.

Moje buty z hukiem uderzają o deski ganku. *Po moim pieprzonym trupie.*

Bunia dobrze wie, co myślę.

– Nie zachowuj się tak przy mnie, chłopcze. Możesz winić za to tylko siebie. – Krzyżuje ręce na piersi i mówi wyniosłym tonem: – Nie jesteś złym ojcem, to muszę przyznać, jednak... Jenny potrzebuje mężczyzny... Mężczyzny, który jest na miejscu.

– Przecież jestem – mówię cicho.

– Aha, ale z tego, co słyszałam, to nie przyjechałeś sam. Przywiozłeś sobie ładną dziewczuszkę z miasta. Latynoskę.

Głos matki Jenny dochodzący z wnętrza domu po raz kolejny dowodzi, że małe miasteczka są jak mafia – wszędzie mają uszy.

– Mamo! Bądź miła.

Bunia stara się, jak może.

– Nie mów mi, co mam robić! – Po czym przekazuje mi życiową mądrość: – Jedną z zalet umierania jest to, że nie trzeba być miłym.

Och tak – umieranie Buni. Bunia umiera, odkąd pamiętam. Chociaż wcale jej się z tym nie spieszy.

– Tak, przywiozłem kogoś ze sobą – wyznaję. – Przyjaciółkę, Sofię. Dogadałybyście się, ona nie pozwala sobie w kaszę dmuchać, podobnie jak pani. – Stukam palcami o butelkę. – A teraz, niech mi pani zdradzi... jakieś smaczki na temat JD. Coś, czego nie wie całe miasto.

Patrzy łapczywie na alkohol, po czym mówi:

– Cóż... on nie pije za wiele. Nie używa trunków, ale nie uważam, by była to wada. Nie każdy lubi pić.

A to ciekawe.

– Coś jeszcze? – nalegam.

Przez chwilę staruszka przeszukuje pamięć.

– Och, jest uczulony na paprykę. Jego twarz okropnie puchnie, nawet kiedy spróbuje choć jednej.

To jest jeszcze bardziej ciekawe.

Usatysfakcjonowany, podaję Buni butelkę burbona, trzymając ręce nisko, by mama Jenny nie widziała nas przez okno. Bunia wyrzywa mi ją niczym rozpieszczone dziecko cukierki

i wsuwa pod koc okrywający jej kolana.

W tej samej chwili z domu wychodzi Jenny, ubrana w jeansowe spodenki i zwykły biały podkoszulek, opalona i odświeżona, jakby znów miała osiemnaście lat. Może jestem na nią zły, ale to nie zmienia faktu, że jest seksowna jak cholera, słodka i... tęskniłem za nią.

– Gotowy? – pyta.

Wstaję i uchylam Buni kapelusza.

– Dziękuję za rozmowę.

W odpowiedzi otrzymuję jedynie skrzywiony grymas.

Jenny podchodzi do babci i całuje ją w policzek, po czym słyszę, jak szepcze:

– Nie pozwól, by mama wyczuła ten burbon w twoim oddechu, bo odeśle cię do łóżka bez kolacji.

Bunia śmieje się i z miłością poklepuje Jenny w policzek.

Idziemy w kierunku furgonetki, ale zatrzymujemy się na schodach, gdy mama Jenny wychodzi z domu. Pomimo głębokich zmarszczek mimicznych na twarzy, June Monroe wygląda dobrze – jest atrakcyjna, o pełnych kształtach, ma długie jasne włosy, w których srebrzy się siwizna.

Posyła mi wymuszony uśmiech.

– Stanton. Dobrze wyglądasz.

– Dzięki, June. Dobrze być w domu.

June nie nienawidzi mnie tak bardzo, jak jej matka, ale nie powiedziałbym, że mnie lubi.

W przeciwieństwie do Wayne'a, ojca Jenny, dla którego zawsze byłem synem, jakiego się nie doczekał. Wątpię jednak, by którekolwiek z nich cieszyło się moim przyjazdem, który może zakłócić wielkie plany weselne. Ruby wciąż mieszka z rodzicami – ma piątkę dzieci – zatem domyślam się, że rodzice byliby zadowoleni, gdyby choć jedna z ich córek wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu.

– Jenny – mówi matka szorstkim tonem – po południu czeka nas przymiarka u krawcowej. Nie możemy się spóźnić.

– Nie martw się, wrócę zanim Presley przyjdzie z treningu.

Przytrzymuję otwarte drzwi furgonetki, zamykam je za Jenny, po czym wskakuję za kierownicę i jedziemy nad rzekę.

Po drodze przerzucałem w głowie słowa, które mógłbym powiedzieć, jak robię to w noc poprzedzającą mowę końcową na rozprawie sądowej. Teraz Jenny siedzi po turecku na kraciastym kocu, a ja stoję, ponieważ tak właśnie lepiej mi się myśli, oboje mamy w ręce piwo.

– Mogłeś kupić w butelkach – mówi Jenny, patrząc na puszkę.

– Nostalgia.

Wzrusza ramionami.

– Nostalgia lepiej smakuje z butelki.

Obraca twarz do słońca, widzę piegi rozsiane po jej nosie i policzkach, są tak blade i małe, że widać je tylko w mocnym świetle. Wydaje się, jakby to było wczoraj, kiedy liczyłem je, tutaj, po długiej kąpieli i jeszcze dłuższym seksie, gdy ona zasnęła okryta jedynie moim cieniem.

Unosi rękę, by się napić, a niewielki brylant połyskujący na jej lewej dłoni wrywa mnie z zamyślenia i sprowadza do pieprzonej rzeczywistości.

Bam!

– Zapomniałaś mu oddać ten pierścionek? Po tym, jak powiedziałaś mu, że popełniłaś błąd?

Jenny mruży oczy.

– Tak chcesz to rozegrać, Stanton?

Niemal widzę, jak Sofia pisze w swoim żółtym notesie, bym się zachowywał jak w sądzie, jakby Jenny była tylko świadkiem. Potrzebuję, by mówiła, by zdradziła szczegóły, dzięki którym będę mógł wygrać.

– Nie, nie chcę – ustępuję i wzdygam. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Na jej ustach maluje się niewielki uśmiech. Choć jest smutny.

– Bo wiedziałam, że będziesz chciał mnie od tego odwieźć.

Trafiła w dziesiątkę, co?

Jenny oblizuje usta i pełnym wyrzutów sumienia głosem mówi:

– Powinam ci była powiedzieć. Zasługiwałeś na to, by usłyszeć to ode mnie. Mama wysłała ci zaproszenie, bo wiedziała, że z tym zwlekam. Rzeczywiście tak było. – Niebieskie oczy w oprawie jasnych rzęs omiatają moją twarz, nim nasze spojrzenia się krzyżują. – Przepraszam, Stanton.

Podnoszę jakiś kamień i przerzucam go w dłoniach.

– Przeprasiny przyjęte, przynajmniej dopóki nie będziesz chciała tego ciągnąć.

Przechyla głowę na bok, obserwując, jak bawię się kamieniem.

– Słyszałam, że przywiozłeś kogoś ze sobą.

Potrafię wyobrazić sobie łańcuszek komunikacji, dzięki któremu w rekordowym czasie ta informacja dotarła do uszu Jenny. Panna Bea powiedziała pani Macalister, która pracuje w aptece. Pani Macalister szepnęła słówko starej Abigail Wilson, kiedy zawiozła jej leki na serce, ponieważ Abigail jest niemal niewidoma i nie może już prowadzić samochodu. Pani Wilson zadzwoniła do kuzynki Pearl, która tak się składa, że od wieków przyjaźni się z nikim innym jak June Monroe. Zastanawiam się, czy June pozwoliła Jenny dojsć do drzwi domu, zanim jej powiedziała, czy też zadzwoniła do córki, kiedy ta wracała z pracy.

– To przyjaciółka.

Jenny się krzywi.

– Jakiego rodzaju przyjaciółka?

– Taka, która przyjeżdża ze mną, gdy moja dziewczyna wychodzi za kogoś innego. –

Rzucam kamyk do wody. – Powiedziałem ci o niej, teraz twoja kolej. Kim u diabła jest ten facet?

Bawi się piaskiem, przesypując go między palcami.

– Po ukończeniu szkoły średniej, JD wyjechał na studia do Kalifornii. Wrócił w tamtym roku, kiedy u jego ojca wykryto raka. Wpadliśmy na siebie pewnego dnia w szpitalu, a on przypomniał mnie sobie ze szkoły. Odwiedzał ojca codziennie, a kiedy miałam dyżur, rozmawialiśmy. Rozmowy wkrótce przekształciły się w wyjścia na kawę, po czym obiady po pracy. – Urywa, a kiedy znów się odzywa, jej głos jest miękki: – Na końcu było naprawdę źle. Jego tata odszedł, a JD bardzo to przeżył. Byłam wtedy przy nim. Potrzebował mnie. Dobrze było czuć się potrzebną. A kiedy już mnie nie potrzebował, wciąż mnie pragnął. A to było jeszcze bardziej miłe.

– Myślałaś w ogóle o mnie? Kiedy byłaś zajęta nim? – pytam.

Natychmiast odpowiada:

– Czy myślałaś o mnie? Kiedy byłaś zajęta karierą w stolicy?

– To nie tak.

– Oczywiście, że tak. Myślisz, że czas staje w miejscu, kiedy ciebie tu nie ma? Zostawiłaś mnie, bym wychowywała naszą córkę i czekała, aż łaskawie wrócisz.

– Po pierwsze, nie wychowujesz naszej córki sama, więc nie zachowuj się, jakby to był problem. Po drugie, tak się właśnie umówiliśmy. Robimy, co chcemy, kiedy jesteśmy osobno, ale to... – Wskazuję przestrzeń między nami. – ...to jest nasze. Nikt nie ma prawa w to wejść, nikt nie ma prawa tego zabrać. Jeśli ten układ już ci nie pasował, trzeba było mi powiedzieć!

Jenny wstaje.

– Teraz ci mówię! Mam dwadzieścia osiem lat, Stanton, i nadal mieszkam z rodzicami.

– O to chodzi? Jenny, jeśli chcesz mieć dom, to ci go kupię.

Nigdy nie miałem sądowego nakazu płacenia alimentów, bo bez niego wysyłam jej co miesiąc pieniądze. Wszystko, co musi zrobić, gdy chce czegoś więcej, to zwyczajnie poprosić.

– JD chce stworzyć ze mną dom, chce rodziny, małżeństwa, wszystkich tych rzeczy, których ty nie chciałaś.

Zaciskam dłonie w pięści, aż uwydatniają się mięśnie moich ramion. Nie jestem pewien, czy chcę ją pocałować, czy wybić jej te głupoty z głowy.

– Ty i Presley jesteście moją rodziną. Dziesięć lat temu chciałem się z tobą ożenić. Powiedziałem ci to wtedy, dokładnie w tym samym, pieprzonym miejscu!

– Chcieć a móc to dwie różne rzeczy.

– Kazałaś mi jechać! – krzyczę, wskazując na nią palcem. – Kazałaś mi odejść! Dla nas, dla naszej przyszłości, dla naszej rodziny.

W jej oczach pojawiają się łzy. Połyskują na jej rzęsach niczym kropelki wody.

– Jeśli coś kochasz, uwolnij to, jeśli do ciebie wróci, jest twoje. – Kręci głową. – Ale ty nigdy nie wróciłaś.

– Gówna prawda! Wracałem, ile razy miałem ku temu szansę...

– Nie po studiach. Wtedy się zmieniłaś. Zaczęło ci się tam podobać. Praca, kobiety, miasto...

– Zabijałem się, Jenny! To były studia prawnicze, na miłość boską: praca, zajęcia, staże, nawet nie masz cholernego pojęcia!

Żółty notatnik staje mi przed oczami niczym kogut alarmowy. „Walka niczego nie naprawi. Rozmawiaj z nią, a nie mów do niej”.

Biorę kilka głębokich wdechów, by się uspokoić. Podchodzę do Jenny i patrzę jej w oczy. I widzę ją – moją słodką dziewczynę, moją najlepszą przyjaciółkę. Miłość mojego życia.

– Moja głowa była tam, musiała być, ale moje serce zawsze było tutaj, przy tobie. Nigdy cię nie opuściło.

Pociąga nosem, ale jej łzy nadal trzymają się rzęs.

– Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego to było takie łatwe?
– Kochanie kogoś powinno być łatwe.
– Nie mówię o byciu razem. Mówię o byciu osobno. – Obraca się do mnie plecami, patrzy na wodę, na jej nurt i fale przy brzegu. – Przez cały ten czas, przez wszystkie te lata... było nam łatwiej niż być powinno. – Krzyżuje ręce na piersi, a w jej głosie słychać uśmiech. – JD wychodzi z pracy i wraca do domu, biegnąc ścieżką, ponieważ nie może się doczekać, kiedy mnie zobaczy. Spała się dla mnie. Nie może znieść myśli, że jest daleko, że mnie zostawia, nawet na jeden dzień. Czy kiedykolwiek czułeś się w ten sposób, Stanton?

Straszny, złośliwy głosik w mojej głowie szepcze, że tak, czułem się w ten sposób – raz. Ale nie w stosunku do niej.

Blokuję ten głos i obchodzę Jenny, by móc na nią patrzeć.

– Kocham cię.

– Kochasz siedemnastolatkę, która już nie istnieje.

– To nieprawda. Stoi przede mną.

Jenny odchyła głowę i obdarowuje mnie maleńkim uśmiechem.

– Nie jestem już taka fajna jak kiedyś.

Podchodzę bliżej i obejmuję jej twarz, gładząc skórę na policzkach.

– Patrę na ciebie i widzę tysiąc letnich dni. Najlepsze chwile mojego życia. – Emocje ściskają mi gardło, trudno mi mówić. Uczucia do tej kobiety mnie miażdżą, ciężko mi przez nie oddychać. – Kochałem cię, odkąd skończyłem dwanaście lat, i będę kochał do śmierci.

W końcu jej mina się zmienia i łzy spływają z oczu. Przyciska moją dłoń do swojej mokrej twarzy, po czym ją całuje.

– I ja cię kocham, Stanton. Naprawdę. To, co do ciebie czuję, jest dla mnie cenne. Nie chcę cię stracić.

Myślę, że mi się udało. Przekonałem ją – wygrałem. Jenny należy do mnie, bo tylko tak może być. Muszę przyznać, że poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Wiedziałem, że jestem dobry – ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak.

Aż Jenny opuszcza moją dłoń, ociera policzki i patrząc mi w oczy, mówi:

– Ale zakochana jestem w JD.

Kurwa!

Kręcę głową.

– Jesteś tylko samotna. Zbyt długo mnie nie było.

– Nie – nalega. – Ja go kocham. To stało się nagle, ale to silne i prawdziwe uczucie.

Musisz to zaakceptować.

Następne słowa wymykają mi się z ust, nim potrafię nad nimi zapanować:

– Wrócę do domu. Rzucę pracę, Jenn. Otworzę tutaj kancelarię. Wrócę.

Jenny rozchyła usta, jej głos jest pełen zdziwienia z powodu słów, których nie spodziewała się usłyszeć:

– Nie ma potrzeby, by w Sunshine istniało biuro adwokata.

– Mogę się specjalizować również w innych zagadnieniach prawa.

Mruży oczy.

– Znienawidziłyś to.

Chwytam ją za podbródek.

– Zrobię to, dla ciebie i dla Presley. Jeśli tego właśnie potrzebujesz, zrobię to.

Marszczy brwi – częściowo ze smutku, ale również ze złości. Kiedy się ode mnie odsuwa, głos jej się łamie:

– Nie chcę od ciebie takiego poświęcenia! Nigdy nie chciałam! Oboje zasługujemy na coś

lepszego – mówi, po czym tuli się do mnie, obejmuje mnie w pasie, opiera głowę na mojej piersi, jakby odmawiając odejścia. Trzymam ją mocno w objęciach, ciasnych i bezpiecznych, całuję w czubek głowy, mruczając łagodne słowa, wtulam nos w jej włosy, ponieważ tak słodko pachną.

Przez dłuższą chwilę pozostajemy w tej pozycji, aż jej łzy przestają płynąć. I czuję... smutek. Czuję się jak na ostatnich minutach pogrzebu.

– W sobotę wychodzę za JD, Stanton. Musisz to zrozumieć.

Ściskam ją mocniej i odchylam się, bym mógł spojrzeć jej w oczy.

– To błąd. Przyjechałem dla ciebie. Nie mam zamiaru się poddać. Zrozum.

– Nie wiesz... – zaczyna.

Jednak wpadam na pewien pomysł i natychmiast jej przerywam, mówiąc z południowym akcentem:

– Może jestem idiotą, Jenny, ale wiem, co to miłość.

Nakrywa uszy i piszczy:

– Nie rób tego! Nie cytuj mi tu Forresta Gumpa! Dobrze wiesz, że zawsze płaczę na tym filmie, ty chory sukinsynie.

Szturcza mnie w ramię, oboje prawie się uśmiechamy.

– Tak, wiem. – Odsuwam jej jasne włosy w tył, po czym pozwalam, by przez koszulkę poczuła ciepło mojej dłoni, i pocieram kciukiem o jej obojczyk. – Ale czy on o tym wie? Zna cię tak dobrze jak ja, Jenn? – Przysuwam się i pochylam. – Wie, jak bardzo lubisz długie, głębokie pocałunki albo to, gdy ktoś liże cię za uchem...

Zasłania mi ręką usta. Zerka na mnie z rozbawieniem, jakbym był niepoprawnym nastolatkiem.

– Wystarczy. On mnie zna, w niektórych kwestiach lepiej niż ty. Tego, czego nie wie, dowie się w swoim czasie.

Wyciągam język i liżę jej dłoń.

Jenny natychmiast piszczy i ją zabiera.

– Chcę, byś go poznał, Stanton. Jest dobrym człowiekiem. Polubiłbyś go.

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Jeśli oddycha, nie ma szans, bym go polubił.

Jenny wskazuje palcem moją furgonetkę.

– Chodź, zawieź mnie do domu. Presley zaraz wróci z treningu cheerleaderek.

– To jedźmy po nią – sugeruję, kiedy idziemy do samochodu. – Razem. Spodoba jej się.

– Dobrze.

Wyciągam rękę, by złapać Jenny, jak to robiłem milion razy wcześniej, ale się odsuwa. Ściągam brwi. Biorę jej dłoń w swoją, nie pozwalając uciec, celowo splatając nasze palce.

Patrzy na mnie zirytowana.

– Skończyłeś?

Patrzając jej w oczy, całuję palce jej dłoni.

– Skarbie, nawet nie zacząłem.

Patrzy mi w twarz i wygląda, jakby nie mogła się zdecydować czy śmiać się, czy płakać – może wszystko naraz. Drżącą dłonią obejmuje mój policzek.

– Och, Stanton, wiem, że zmieniłam to wszystko w jakieś gówniane przedstawienie... ale tęskniłam za tobą.

Stanton

Wysadziłem Jenny pod domem i zabrałem do siebie Presley. Wydawało się, że natychmiast polubiły się z Sofią, kiedy przedstawiłem je sobie w moim dawnym pokoju, po czym wyszedłem z córką na podwórko, by pograć w futbol. Rzucam piłkę, która wiruje w powietrzu, skręcając po łuku w połowie drogi, po czym wpada malej w ręce. Idealne podanie.

Dobrze wiedzieć, że nadal to potrafię.

Ustawia palce na sznurowaniu, jak ją uczyłem, odkąd była na tyle duża, by utrzymać piłkę, i odrzuca mi ją. Z pewnością ma rękę po tatusiu.

Nie żebym zmuszał ją do trenowania futbolu czy coś, ale uważam, że każda dziewczyna powinna mieć pewne umiejętności – nawet tylko po to, by zaimponować jakiemuś małemu mądrali, który będzie się popisował. Powinna wiedzieć, jak zmienić koło w samochodzie, jak rzucać piłką, jak jeździć konno, jak obsługiwać manualną skrzynię biegów – ważne jest też, jak zmienić olej w pojeździe.

Do tego, grając w piłkę, możemy rozmawiać. Nadrobić kilka straconych miesięcy. Zawsze wyobrażałem sobie, że będę prowadził z nią takie rozmowy, gdy będzie nastolatką – o picie, paleniu, bzykaniu – i będą one mniej krępujące, gdy będziemy rzucali wtedy piłką.

– To co myślisz o tym całym ślubie?

Śmieje się, łapiąc piłkę.

– Zdziwiłeś się? Chciałam ci powiedzieć tydzień temu, ale mama mówiła, żeby poczekać, powiedziała, że będziesz naprawdę zdziwiony.

Posyłam jej sztuczny uśmiech.

– Och, bardzo się zdziwiłem.

– Będę sypać kwiatki! – ogłasza z dumą. – Mam już niebieską, satynową sukienkę i czuję się w niej jak księżniczka. Mama kupiła mi pasujące niebieskie buty. Mówi, że mogę mieć włosy uczesane do góry i błyszczyk!

Jej entuzjazm sprawia, że mój uśmiech staje się szczery.

– To dobrze, córuś.

Następny rzut Presley jest niecelny, więc muszę szukać piłki w trawie.

– A ten JD... lubisz go?

Córka przytakuje.

– Tak, jest naprawdę fajny. Mama się przez niego śmieje.

Śmieje? Wątpię, czy będzie się śmiała, kiedy urwę mu ten pieprzony łeb!

– A jak... Jak go będziesz nazywała, kiedy mama za niego wyjdzie?

Trzymając piłkę, zastanawia się, przybierając poważną minę.

– Będę nazywała go JD, oczywiście. Tak ma na imię.

Czuję nagłą ulgę i śmieję się ochryple. Chwytam podanie i mówię:

– Ale na pewno go lubisz?
Patrzy na mnie przez chwilę.
Myśli.

– Nie chcesz, żebym go lubiła, tatusiu?

Takie momenty nigdy nie przestaną mnie zaskakiwać. Wszystkie te rzeczy, których nie mówimy dzieciom, by chronić ich niewinność, słowa, które zatrzymujemy dla siebie, działania, które podejmujemy, by ukryć złe nawyki. Podobnie jak mój ojciec palił kiedyś wyłącznie za stodołą, byśmy go nie widzieli, mimo to czuliśmy dym papierosów na jego ubraniach.

Dzieci nie słuchają naszych słów – patrzą, jak je wypowiadamy, wyczuwają stojące za nimi emocje, jakby miały szósty zmysł.

I po prostu wiedzą.

Nie chcę dzielić się uczuciami córki z innym mężczyzną. Jednak nie chcę jej też ranić – każąc wybierać między dwojgiem najukochańszych ludzi na świecie. To nie ona powinna chronić uczucia moje czy matki. To naszym zadaniem jest chronić ją.

Czuję do siebie niewielki wstręt za to, że w ogóle musiała o to zapytać.

Podchodzę do niej i klękam, byśmy byli na tym samym poziomie.

– Chcę, byś była szczęśliwa, Presley. Ty i mama. I chcę, byś mi powiedziała, jeśli kiedykolwiek przyjdzie taki dzień, kiedy nie będziesz. Jednak nigdy bym nie chciał, żebyś z mojego powodu czuła, że nie możesz go lubić, jego lub kogoś innego. Ma to jakiś sens?

– Będziesz smutny, kiedy mama i JD się pobiorą?

Jak u diabła mam odpowiedzieć na takie pytanie? *Cóż, kochanie, jestem tutaj, by dopilnować, by to się nigdy nie wydarzyło.*

Obracam czapkę daszkiem w tył.

– A ty?

Uśmiecha się nieśmiało, jakby miała wyznać mi jakąś tajemnicę.

– Kiedy byłam mała...

– To znaczy kiedy? – droczę się. – Rok temu?

Szturcza mnie w ramię.

– Nieeee... kiedy byłam mała... to znaczy, kiedy miałam pięć czy sześć latek. Zazwyczaj, zanim poszłam spać, wypowiadałam życzenie do gwiazdki. Mama mnie przykrywała i wychodziła, a ja wstawiałam i patrzyłam przez okno... i życzyłam sobie, żebyś wrócił do domu.

Ściska mnie w piersi, coraz bardziej i bardziej, aż ledwie mogę oddychać.

– Albo żebyś zabrał mnie i mamę do Waszyngtonu i żebyśmy tam zostali... na zawsze.

Jesteśmy z Jenny dobrymi rodzicami, nie mam co do tego żadnych wątpliwości... ale ciężko jest słyszeć, że zawiodło się własne dziecko. Wiedzieć, że pragnęło czegoś, co mogliście mu dać... ale tego nie zrobiliście.

– Nie wiedziałem o tym, Presley. – Obracam głowę i wyrywam przypadkowe źdźbło trawy. – Nadal sobie tego życzysz?

– Nie. – Wzdycha zamyślona. – Jesteś tam szczęśliwy. Masz tam kancelarię i Biały Dom... i masz Jake'a. A mama jest szczęśliwa tutaj. A teraz ma do towarzystwa JD.

Super – mama ma JD, a ja mam zrzedliwego Jake'a. Co jest nie tak na tym obrazku?

Córka ciągnie dalej:

– Do tego, w ten sposób mam dwa razy więcej prezentów pod choinką, więc kto by tam był smutny? Śmieję się głośno. Tulę ją do siebie.

– Kocham cię, córuś.

Obejmuje mnie za szyję i mocno ściska.

– Ja też cię kocham.

Sofia

Presley Shaw jest dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałam, widząc ją na zdjęciach w mieszkaniu Stanton. Pełna energii, słodka, z figlarnym błyskiem w oczach przypomina mi jej ojca.

Nadal pracuję, kiedy pojawia się Stanton, by poinformować mnie, że jedzie odwiedzić córkę do rodziców Jenny. Przygotowuję dokumenty, aż ognista pomarańczowa kula na niebie powoli znika za horyzontem.

Odkładam laptopa, kiedy pani Shaw woła mnie na kolację. Stół został zastawiony przez Marshalla, Mary oraz Cartera Shawa Seniora. Ojciec Stanton'a już siedzi – wydaje się, że rodzinne posiłki są u nich ważne i wszyscy przestrzegają ich godziny. Pan Shaw jest wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, ma przystojną, naznaczoną czasem twarz oraz stoickie usposobienie. Typ silnego, cichego faceta. Jest starszy od żony o jakieś dziesięć lat, ale czułość, z jaką na nią patrzy i oddanie w jej głosie mówią mi, że są szczęśliwym małżeństwem.

Znajduję się w centrum uwagi, odpowiadam więc na pytania na temat mojej rodziny. Opowiadam o dorastaniu w Chicago i o pracy na sali sądowej. Pomiędzy kęsami przepysznej pieczeni z ziemniakami, opowiadają mi o Stantonie – o jego błyskotliwej karierze futbolowej w szkole średniej, o dowcipie, przez który niemal spalił dom oraz o tym, jak w wieku pięciu lat skoczył z dachu, ponieważ był pewien, że gatki z Supermenem dadzą mu moc latania, i złamał nogę.

Na stole stoi talerz przygotowany dla Stanton'a, lecz jego krzesło pozostaje puste.

Po kolacji wracam do pokoju i dzwonię do Brenta, by sprawdzić, jak mu idzie. Najwyraźniej Sherman szybko przyzwyczył się do nowego standardu życia i może nie chce do mnie wrócić. Nigdy.

Po prysznicu ubieram się w brązową koszulkę nocną, suszę włosy, otwieram okno i kładę się do łóżka, nakrywając kołdrą. To chłodna noc, rześkie powietrze owiewa mi skórę. Moje powieki robią się coraz cięższe, kiedy patrzę w okno. Czekam, aż pojawią się światła, aż wróci czarna furgonetka.

Nie, nie tylko czekam. To coś znacznie gorszego.

Mam nadzieję.

Brzdęk.

– Cholera.

Łup.

– Szlag by to trafił.

Dup.

– Sukinsyn!

Włączam lampkę nocną i przysłaniam oczy, gdy jej światło zalewa pokój. W drzwiach stoi Stanton – na czworakach.

Patrzy na mnie skołowany.

– Podłoga na mnie skoczyła.

Podchodzę do niego i pomagam mu wstać, po czym oboje zataczamy się w kierunku łóżka. Moja twarz zostaje wciśnięta w jego obojczyk, czuję zapach ziemi i ogniska, jednak najsilniejsza w tym wszystkim jest woń alkoholu. Nie jest nieprzyjemna, ale na tyle silna, bym upiła się tymi oparami.

– Dobrze, że nie zapaliłam żadnych świeczek, bo całe pomieszczenie stanęłoby w płomieniach.

Stanton się śmieje, kiedy sadzam go na skraju łóżka. Siada i dla poprawy stabilności rozstawia szeroko nogi. Jego kapelusz jest uroczo przekrzywiony. Mrużąc oczy, patrzy na mnie spod ciemnych rzęs rozkojarzonym spojrzeniem, błędząc po mojej twarzy.

– Wow. Ale jesteś ładna.

O rany. Bezwiednie się uśmiecham na ten niezbyt wyszukany komplement.

– Przepraszam, że na tak długo zostawiłem cię samą, Soph.

Cofam się o krok i kręcę głową, jakby to nie miało znaczenia.

– W porządku. Po to tu jesteśmy, prawda? – Czuję jednak irytację, kiedy coś sobie uświadamiam. – Prowadziłeś samochód w takim stanie?

Wzrusza ramionami.

– Furgonetka zna drogę.

– To bardzo głupie, Stanton. – Przełykam ślinę z trudem. – Przez cały ten czas byłeś... z Jenny?

Jego wargi poruszają się, gdy wypuszcza trzymane w płucach powietrze.

– Nie, Jenny, jej mama, jej siostra i Presley pojechały na przymiarkę sukienki. Wayne, ojciec Jenny, wziął mnie do szopy, by pokazać mi swoje trofea myśliwskie z zeszłego roku. Zaczęliśmy pić, rozmawiać... Głównie piliśmy.

Emocje uderzają mnie w pierś niczym niszcząca kula w teledysku Miley Cyrus. Natychmiast brak mi słów, gdy rozpoznaję, czym są.

To ulga.

Ogromna ulga – niczym chłodzący balsam na oparzonej skórze. Czuję ją w piersi, po czym rozprzestrzenia się wzdłuż ramion, nóg, aż docierając do palców, wywołuje ich mrowienie.

Jasna cholera. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam spięta, jak bardzo nie podobała mi się myśl, że Stanton spędził trzy godziny z Jenny, dopóki nie przyznał, że wcale tak nie było.

Co, u licha, jest ze mną nie tak?

Kiedy patrzę Stantonowi w twarz, moje nieuzasadnione poczucie ulgi się ulatnia. Wygląda, jakby cierpiał. Jest zgarbiony, głowę ma zwieszoną, usta zaciśnięte z żalu.

– Myślę, że to koniec – szepcze. – Zbyt długo mnie nie było i... straciłem ją. – Podnosi głos. – A wszyscy są z tego zadowoleni! Wayne, Jenn, Presley, nawet moja własna matka. Wszyscy myślą, że pomysł z tym ślubem jest fantastyczny. Czy tylko ja sądziłem, że nam się

uda? Dla mnie to nie była zabawa, wiesz? Tylko życie.

– Przykro mi – mówię cicho, stając między jego nogami, by go przytulić. Opiera głowę na mojej piersi, czuję jego ciepły oddech. Silne, ale czułe ręce chwytają mnie w tali, po czym obejmują mnie, wędrując na plecy.

Zdejmuję mu kapelusz, który kładę obok na łóżku i przeczesałem palcami jego włosy, starając się go pocieszyć. Jego głos jest cichy, niemal niesłyszalny, stłumiony przez moją koszulkę, jednak moje sutki napinają się, kiedy dodaje:

– Tak cholernie się cieszę, że tutaj jesteś, Soph.

Jedną z zalet wychowywania się z chłopakami jest wiedza na temat ich procesów myślowych, zrozumienie słów, które wypowiadają.

Przewracam oczami.

– Oczywiście, że się cieszysz, że tu jestem. Dostałeś metaforycznego kopa w jaja.

Ucierpiało twoje ego.

Po upadku mężczyzny nic tak nie koi jego zranionego ego jak powitanie w nowych, ciepłych ramionach.

Unosi głowę z mojej piersi, patrzy na mnie uroczo rozbieranym spojrzeniem, w którym widać szczerość.

– Nie tylko o to chodzi. Nie cieszę się jedynie dlatego, że ktoś ze mną jest. Cieszę się, że to ty.

Stanton powoli przenosi dłonie na moje pośladki, a kiedy je ściska, wymyka mi się jęk.

– Ale oczywiście, jeśli chcesz pocałować moje obolałe... ego... i sprawić, by było mi lżej, jestem zwarty i gotowy.

Zabawnie porusza brwiami i się śmieje. Jego gęste włosy są miękkie pod moimi palcami, kiedy zastanawiając się, nadal go głaszczę. Rozważam możliwości.

Pragnę go. Zawsze tak jest. Dlaczego nie powinnam go mieć? Myślałam, że trzymanie go na dystans podczas mojego pobytu tutaj sprawi, że wszystko będzie proste. Nieskomplikowane.

Jednak teraz, patrząc w dół na jego przystojną twarz, te pełne, uśmiechające się usta... zastanawiam się, dlaczego nie miałabym się nimi rozkoszować. Nie jestem tą drugą kobietą – Jenny go odtrąciła.

Błądzi dłońmi, szuka palcami, tak dobrze znając moje ciało. Rytm, jaki lubię, sekretne miejsca, w których uwielbiam być dotykana, sprawiają, że dyszę z pożądania.

Dlaczego nie miałabym czerpać korzyści z tego, z czego ona tak głupio zrezygnowała?

To tylko seks. Niesamowite, upojne, fizyczne doznanie. Próbuje wymyślić powód, dla którego powinnam odmówić.

I nie potrafię wymyślić żadnego.

Biorę kapelusz leżący na łóżku i zakładam sobie na głowę.

Do dzieła, kowbojko.

Stanton się uśmiecha, przez co czuję, że moje kolana robią się miękkie jak z waty.

– Dobrze ci w tym kapeluszu – mówi.

Patrzę na jego usta, po czym uśmiecham się diabelsko.

– Wiesz, co jeszcze dobrze na mnie wygląda?

– Co?

Przysuwam się, wystarczająco blisko, by móc się z nim droczyć.

– Ty.

Zaczyna się śmiać na głos, ale ten dźwięk zmienia się w jęk, gdy go całuję. Dołączam język i ssę jego wargi, dając znać, o co mi chodzi. Stanton unosi ręce i wplata je w moje włosy, pieści moją twarz i wodzi palcami po karku. Przyciąga mnie bliżej, odwzajemniając pocałunek.

On również tego chce.

Przepływa między nami prąd, nowe, ostre uczucie przyciąga nas do siebie. Jest ciepło i znajomo, choć jednocześnie dziko i ekscytująco, więc chcę w tym zatonać. Nie potrafię zbliżyć się do niego wystarczająco blisko. Potrzebuję kontaktu z jego skórą bardziej niż powietrza. Odsuwam od niego usta i podciągam jego koszulę. Kiedy już się jej pozbywam, Stanton chwytą za brzeg mojej koszulki, zębami skubiąc mnie w ramię, zasysając skórę na moim obojczyku i szyi. Robi to wystarczająco mocno, by zostawić ślad.

Obsypuję pocałunkami jego pierś, muskam palcami kontur każdego mięśnia. Podoba mi się, jak napina się jego brzuch, gdy schodzę niżej. Wracam językiem do jego sutka – który liżę i skubię – przez co Stanton syczy. Klękam i, patrząc mu w oczy, rozpinam jego spodnie.

Patrzy na mnie spod ciężkich, półprzymkniętych powiek, zrzuca mi kapelusz, bawi się moimi włosami, uśmiechając się, jakby właśnie odkrył jakąś tajemnicę.

Jest w tym sprośna radość – ekscytacja z faktu, że klęczę przed nim, kiedy ciągnie mnie za włosy i szepcze grzeszne słowa. Stanton dobrze wie, co robi – wie, czego potrzebuję. Daję mu swoje ciało, błagam o jego uwagę, a on w zamian sprawia, że brak mi tchu. Nie potrzebuje wytycznych. Nie muszę się martwić o jakiegokolwiek wskazówki – zadba o mnie wspaniale i robi to wszystko sam.

Nie jestem bezradna, nawet klęcząc przed nim. Ja daję, on bierze – jednak on odczuwa potrzebę, bym mu to dała. Widzę desperację w jego błagalnym spojrzeniu, żądanie w dotyku dłoni i szeptem wypowiedzanych prośbach, bym się pospieszyła. Jest między nami idealnie wyważona pasja – mocna, zrównoważona mieszanka pożądania i spełnienia.

Zdejmuję mu spodnie i odkładam na bok. Jego fiut, gruby i sztywny, czeka na moją uwagę, chcąc być dopieszczony. Jest na co patrzeć – ma imponujący obwód, grube żyłki, wspaniałą długość – zasługuje na uznanie, na zachwyt, jakby był dziełem sztuki.

Biorę go w dłoń, zaciskam palce, którymi powoli zacznę przesuwając.

– Tak, skarbie – jęczy Stanton.

Przez jedną, straszną chwilę zastanawiam się, czy nie wyobraża sobie jej dłoni, jej blond głowy pochylonej między jego udami. Jednak kiedy go liżę, rozprowadzając ślinę po całej jego długości... to moje imię pojawia się na jego ustach.

– Sofia...

Na dźwięk jego głosu żar oblewa moje ciało, wilgoć gromadzi się u zbiegu moich ud, co mnie pobudza. Biorąc go całego do ust, ofiarowuję mu przyjemność, daję mu rozkosz, sprawiam, że jęczy.

Umożliwiam mu zapomnienie, po co tu przyjechaliśmy – powoduję, że skupia się wyłącznie na tym, kto doprowadza go do orgazmu.

– Uwielbiam, kiedy jesteś taki twardy – dyszę tuż przy jego skórze, sprawiając, że podskakuje mi w ręce. – Uwielbiam twój smak. – Biorę w usta jego główkę, nabrzmiałą i gorącą. Zasysam ją, jednocześnie wodząc po niej językiem. Następnie schodzę w dół, biorąc go całego do gardła, w sposób, w jaki to lubi. Rozluźniam się, pozwalając mu wejść głęboko, oddychając równo, by zwalczyć odruch wymiotny, i przełykam ślinę – wiedząc, że ten ruch ściśnie moje mięśnie wokół niego.

Unosi biodra, pragnąc być jeszcze głębiej – chcąc zatonać w miękkości, wilgoci i ciepłe. Powoli go wycofuję, ssąc mocno, równocześnie pobudzając wargami i językiem. Ponownie biorę go w usta, stopniowo przyspieszając tempo, dodając skubanie zębami.

Jego pierś gwałtownie się unosi i opada – Stanton dyszy i jęczy. Zaciska palce w moich włosach, ciągnie je tak, by zadać mi niewielki ból. I jest to satysfakcjonujące i zachęcające, bo wiem, że to ja prowadzę go na krawędź kontroli.

Tak, Stanton!

Chcę, by mnie popchnął i przyciągnął – wykorzystał – przynajmniej póki myśli o mnie. Póki mnie pragnie.

Coraz szybciej poruszam głową, dłonią obejmuję jego mosznę i masuję ją, ofiarowując jej delikatną pieśczołę.

– O kurwa... głębiej... Sofia... cholera... tak, złotko.

Jego fiut twardnieje jeszcze bardziej, jedwabista wilgoć wypełnia moje chciwe usta. Obejmuję go palcami blisko podstawy i pocieram w górę i w dół, synchronizując ten ruch z ruchem warg. Stanton zaciska palce na moich włosach i przytrzymuje nieruchomo moją głowę, poruszając biodrami, wchodząc i wychodząc z moich ust.

– Kurwa... zaraz skończę... zaraz skończę w twoich ustach... cholera...

Czuję pulsowanie, a sekundę później gorący, słony strumień ląduje na moim języku, wypełniając mi usta. Przełykam wszystko, czym mnie obdarowuje, ponieważ podoba mi się, że potrafię doprowadzić go do takiego stanu. Uwielbiam mu to robić.

Stanton łapie powietrze, powoli i kojąco gładząc mnie po włosach. Kiedy czuję, że skończył, natychmiast wstaję i przytulam się do niego. Trzyma mnie w objęciach, gdy razem opadamy na łóżko. Całuje mnie w czoło, więc zamykam oczy.

Chwilę później łapie mnie za uda i przesuwa się niżej, a jego oddech łaskocze mnie po brzuchu. Układa się między moimi rozszerzonymi nogami, chwyta za tyłek i unosi do swoich ust. Powietrze ucieka mi z płuc, kiedy jego wargi stykają się z moim ciałem. Wyginam plecy, ale chwyta mnie za biodra, przytrzymując na miejscu.

Liże i smakuje, pociera napięty pączek pomiędzy moimi nogami, przez co gorący żar kradnie mi myśli i pozostawia bezsilną. Patrzę na niego, a na ten widok moje dłonie same zaciskają się na pościeli, ponieważ drżę. Ma zamknięte w skupieniu oczy, na twarzy błogi wyraz, jednocześnie mówi czułe słowa i pieści mnie. Czuję, jak buduje się we mnie spełnienie – ciśnienie wzrasta wewnątrz, rozpala się iskra erotycznej rozkoszy – jestem coraz bliżej i bliżej...

– O Boże, Stanton, o Boże...

Puszcza moje biodra, ale moja miednica bezwstydnie pozostaje w górze, pragnąc go głębiej, szybciej, mocniej. Wkłada we mnie dwa palce, jednocześnie językiem zataczając mocne, bezlitosne koła na mojej łechtaczce. Moje mięśnie spinają się w oczekiwaniu i przez kilka cudownych sekund pozostają w zawieszeniu nad zmysłową przepaścią.

I wtedy, z przeciągłym jękiem, spadam. Moje ramiona drżą od siły orgazmu, moja cipka zaciska się wokół palców Stanton, kiedy spazmy przyjemności wstrząsają moim ciałem. Trwa to nieprzerwanie, kiedy rozkosz rozlewa się we mnie, wyciskając jęk z moich płuc.

Kiedy już żar mojego orgazmu stygnie, otwieram oczy. Widzę lśniące isierki tańczące w powietrzu, a pomiędzy nimi twarz Stanton wpatrzoną we mnie z dziką satysfakcją. Czuję, że dłonią obejmuje mój policzek, a kiedy powoli mnie całuje, wyczuwam na jego wargach mieszaninę alkoholu i moich własnych soków.

Bez sił nakrywamy się kołdrą i układamy głowy na poduszkach, a kiedy nasze oddechy się mieszają, zamykamy oczy i odpływamy w sen.

Stanton

Nad snem prowadzone są badania naukowe – nad jego korzyściami, skutkami ubocznymi, nad tym jak najlepiej zasnąć, ile godzin przespać, w jakiej pozycji, na jakim łóżku, na jakiej poduszce, w jakiej temperaturze. Badania te dowodzą, że najlepiej obudzić się naturalnie – kiedy ciało stwierdza, że ma już dosyć snu. Jednak jeśli pracujecie zawodowo, to praktycznie niemożliwe.

Drugim najlepszym sposobem budzenia jest stopniowe wybudzanie się – dlatego właśnie w budzikach są wgrane delikatne dźwięki, muzyka klasyczna lub tybetańskie dzwoneczki. Jeśli już musi obudzić was jakiś pieprzony dźwięk, lepiej, żeby był subtelny.

Moja matka jednakże nie wyznaje tej teorii.

Dzyń, dzyń...

Sofia podrywa się do pozycji siedzącej, włosy rozsypują jej się na ramionach.

– Co? Co się dzieje? Jesteśmy... atakowani?

Dzyń, dzyń...

Ledwo mam w sobie energię, by jęknąć:

– To dzwonek mojej matki. – Jej ulubiona pobudka. – I tak, można powiedzieć, że jesteśmy atakowani.

Cholera. Przeciagam dłonią po czole i włosach, sprawdzając, co tak łupie w mojej głowie, chcąc ją rozwalić na pół.

Dzyń, dzyń...

– To się staje coraz głośniejsze... – Sofia owija się poduszką, jej twarz wygląda jakby była w taco. – Dlaczego to jest coraz głośniejsze?

Macam w poszukiwaniu telefonu po szafce nocnej i sprawdzam godzinę.

To pieprzone piekło.

– Coraz głośniejsze, bo jest niedziela. – Mój własny szept drażni moje uszy. – I dlatego, że jesteśmy w Missisipi.

Opuszcza połowę poduszki, unosi głowę i patrzy na mnie jednym okiem.

– To miało mi coś wyjaśnić?

– Tak. To miało ci wyjaśnić, że idziemy do kościoła.

Opada z powrotem na poduszkę.

Dokładnie wiem, jak się czuje.

Nie wszystkie kościoły baptystów na południu są takie same. Niektóre są współczesne, to nowoczesne, duże budynki, z wielkimi ołtarzami, zaawansowanymi systemami dźwiękowymi i wiernymi, których można czasem liczyć w tysiącach. Są też te tradycyjne – jak kościół baptystów w Sunshine, w stanie Missisipi, wybudowany przed wojną secesyjną, bez klimatyzacji czy ogrzewania, z drewnianymi ławkami i z cichymi wiernymi, którzy przychodzą co tydzień, z organami, na których gra panna Bea, moja nauczycielka z dziewiątej klasy.

Siedzimy w ławce pośrodku kościoła, obok siedzą moi rodzice, moja siostra Mary, która szybko, by nie widziała tego matka, pisze SMS, i zasypiający powoli Marshall. Kiedy tu weszliśmy, Sofia wywołała niewielkie zamieszanie. Nie dlatego, że ubrała się nieodpowiednio do kościoła, ale dlatego, że jest tu nowa – i piękna – jej ciemne włosy są wysoko upięte, ma na sobie elegancką, fioletową sukienkę, która podkreśla jej piwne oczy i sandaalki, które sprawiają, że myślę wyłącznie o ciepłym, wygodnym łóżku.

Będzie fantazją każdego walącego konia chłopaka, który siedzi teraz w tym kościele – a nawet kilku ich ojców.

Tuż przed rozpoczęciem mszy zauważam w pierwszym rzędzie głowy Jenny i Presley... oraz ciemnowłosego mężczyznę siedzącego obok.

Moja. Chciałbym krzyknąć, wypisać na ścianie – wielkimi literami wytatuować na czole Jenny.

Pochyla się do niej, szepcząc, a Jenny zakrywa usta, ponieważ nie może powstrzymać śmiechu. Zaciskam zęby i sapię niczym zięjący ogniem smok – gotów przebiec przez kościół, złapać go za twarz i wyciągnąć na zewnątrz.

Czując zapewne mój wzrok, Presley obraca się i posyła mi uśmiech, który zajmuje ponad połowę jej twarzy. W odpowiedzi posyłam jej buziaka. Pół minuty później, po uzyskaniu zgody Jenny, podchodzi do nas. Siada między nami, szepcze zadowolona z Sofią, co jest idealnym odwróceniem mojej uwagi od faceta, z powodu którego swędzą mnie pięści.

Kiedy pastor Thompson zaczyna mszę, słyszę, jak moja córka informuje Sofię:

– To pastor Thompson – ma sto dwadzieścia lat.

Śmieję się.

– Ma dziewięćdziesiąt dwa.

– Wygląda na dziewięćdziesiąt dwa – mówi Sofia, kiwając głową.

Pastor Thompson przez całe moje życie był tutaj kaznodzieją – i zapewne przez większość życia wszystkich w tym miasteczku. Zna nasze imiona, daty naszych urodzin, pocieszał nas w pełnych bólu, gorzkich dniach i radował się z nami w tych wspaniałych.

I po raz pierwszy od długiego czasu nie irytuje mnie myśl, że wszyscy tutaj znają mnie tak dogłębnie. Czuję się... dobrze, wiedząc, że nigdy nie będę musiał się tłumaczyć, mówić skąd jestem, gdzie byłem, jakie mam plany – to tutaj niepotrzebne.

Jestem jednym z nich. Oni już to wiedzą.

Pewnie dlatego, gdy pastor zaczyna ceremonię, rozgląda się po kościele – i ten stary drań puszcza do mnie oko – po czym otwiera Biblię i czyta wszystkim przypowieść o synu marnotrawnym.

Gdy wychodzimy z kościoła, po drugiej stronie trawnika dostrzegam Jenny i ciemnowłosego. Teraz mogę lepiej mu się przyjrzeć, zauważam, że jest kilka centymetrów niższy ode mnie, szczuplejszy, widać jednak, że jest w formie. Jest pospolitej urody, ma prosty nos, gęste brwi, wysokie czoło i pulchne dziewczęce usta. I dołeczek w brodzie jak John Travolta.

Jego podbródek wygląda jak tyłek.

Od tej pory postanawiam nazywać go Dupobrody.

– To on? – szepcze Sofia, a jej spojrzenie wędruje w tym samym kierunku co moje.

– Tak, on – warczę niczym pies, który dostrzegł swoją ulubioną kość w pysku innego psa.

– Wow – mówi cicho. – Jest boski! Mógłby być modelem u Calvina Kleina albo

Armaniego.

Marszcząc brwi, spoglądam na nią.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Chcesz, żebym kłamała?

– Tak. Chcę.

Znów taksuje spojrzeniem Dupobrodego, po czym mruży oczy.

– Mój Boże, jest ohydny! Nie mogę na niego patrzeć. W porównaniu do niego,

Quasimodo to przystojniak.

Wzdycham.

– Sofia?

– Tak, Stanton? – pyta słodko.

Pochylam się, więc moje usta znajdują się milimetry od jej ucha.

– Kłam trochę lepiej, co?

Kiedy szczęśliwa parka kieruje się w naszą stronę, obracam się do nich twarzą, półgębkiem pytając Sofię:

– Jak powinienem to rozegrać? Wystraszyć go groźbami czy po prostu skopać mu dupę? *Proszę, niech postawi na opcję numer dwa.*

– Powinieneś być uprzejmy. Czarujący, pokazać, że masz klasę.

Szturcham ją łokciem.

– Klasa jest dobra, ale jego przezwisko to Parówka, więc wygląda na to, że mam tu monopol na klasę.

Tym komentarzem wywołuję niewielki chichot Sofii.

– Powinieneś się z nim zaprzyjaźnić i to tak szybko, jak zdołasz. Idź z nim na piwo albo na polowanie, zabijcie coś wspólnie. Przyjaciół trzymaj blisko, wrogów jeszcze bliżej.

Nie po raz pierwszy gratuluję sobie mądrego postępowania i zabrania ze sobą Sofii. Posiadanie bezpośredniego połączenia z kobiecym mózgiem jest najlepszego rodzaju zabezpieczeniem. Bez niej po prostu stłukłbym sukinsyna – co oczywiście wkurzyłoby Jenny zamiast jej zaimponować. Mógłbym w ten sposób przyspieszyć jej ucieczkę z Dupobrodym do Vegas.

Pospiesznie zerkam na Sofię i wyznaję szczerze:

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Patrzy na mnie dziwnie, ściąga razem brwi.

W tej samej chwili para zatrzymuje się przed nami.

Staję obok Jenny, zerkając z ukosa na Parówkę, który wyciąga do mnie rękę.

– Kopę lat, Stanton. Dobrze cię widzieć.

Wpatruję się w wyraz jego twarzy, niepewny, czy on tak na poważnie. Jednak widzę

jedynie przyjacielski uśmiech i szczerze spojrzenie brązowych oczu.

I coś sobie uświadamiam: Jenny mu nic nie powiedziała. Nie mówiła mu o naszej wczorajszej wycieczce nad rzekę ani o tym, jak dowiedziałem się o jego istnieniu w jej życiu.

Ściskam mu rękę.

Mocno.

– JD.

Krzywi się, a jaskiniowiec w moim wnętrzu uśmiecha się gnijącymi zębami.

Wtedy on obejmuje Jenn ramieniem.

– Cieszymy się, że udało ci się wziąć wolne i przyjechać na nasz ślub. Bez ciebie nie byłoby tak samo.

Patrzę w oczy Jenny, w których dostrzegam zdenerwowanie, i się uśmiecham, właściwie nieco chichoczę.

– Możesz to powtórzyć? Definitywnie nie będzie tak samo.

Przedstawiam Sofię, a uśmiech Jenny blednie. Kobiety mentalnie się oceniają, jak robią to obchodzące się w koło koty, zastanawiając się, czy niedługo będą potrzebowały wyciągnąć pazury.

– Po południu w domu Jenny urządzamy grilla. Przyjdziecie, prawda? – pyta JD.

Jenny otwiera usta, jednak nim może cokolwiek powiedzieć, odpowiadam:

– Nie moglibyśmy tego przegapić. Przyniosę mój sos. Zawsze uwielbiałaś mój sos, pamiętasz, Jenny? Nie miałaś go dosyć.

Patrzy na mnie wilkiem.

Puszczam do niej oko.

– Mamusiu. – Podbiega Presley i bierze mnie za rękę. – Mogę jechać do babci i dziadka z tatą i panią Sofią?

Jenny uśmiecha się łagodnie.

– Oczywiście, że możesz. Tylko nie pobrudź sukienki. – Jenny wzdycha i mówi do mnie:

– Widzimy się więc później.

– Z pewnością.

Wracamy do moich rodziców. Stoję w kuchni, starając się zabić większość wolnego czasu, mieszając sos worcestershire z octem i brązowym cukrem – chociaż nazwa melasa byłaby lepsza. Dla ludzi z południa sos do grilla jest ważny – to sprawa honorowa. Mój ma legendarną reputację, więc nie chcę zawieść moich fanów.

Przez okno widzę, jak Presley prowadzi Sofię do zagrody, gdzie trzymamy psy pasterskie.

– To Bo, to Rose, och, a to Lucky. Kiedy był szczeniakiem, nadepnął na niego koń.

Połowa jego główki została zgnieciona, widzisz wgniecenie?

Spoglądam na nie i widzę, jak Sofia głaszcze psa, po czym przykłada do jego głowy rubinowe usta i całuje go mocno.

Lucky z pewnością ma szczęście.

– Dziadek powiedział, że powinniśmy go uśpić, ale tata stwierdził, że musimy dać mu szansę, bo wyglądał na twardego. No i mu się udało.

Piętnaście minut później na kuchence w garnku gotuje się mój eksperyment chemiczny. Presley bawi się na huśtawce, Sofia wraca do domu.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że nie umiesz gotować.

Wskazuję na garnki i patelnię.

– To? To nie gotowanie. To grillowanie. Zupełnie coś innego.

Uśmiecha się i podchodzi bliżej.

– Uwodzisz przysięgłych, ratujesz szczeniaki, a teraz.... Grillujesz. Jest coś, czego nie potrafisz?

Uśmiecham się, patrząc w jej oczy. Nagle czuję przemożną chęć pocałowania jej.

Głęboko.

Otrząsam się z tego pragnienia – całowanie w kuchni, to do nas niepodobne. Zamiast tego zapewniam ją o moich nieograniczonych talentach.

– Nie ma.

– Dlaczego nigdy nie grillowałeś w Waszyngtonie?

– Nie wiem. Chyba nie miałem czasu. Zapomniałem też, jakie to fajne. – Mieszam w garnku jeszcze kilka razy, po czym nabieram nieco mikstury na łyżkę. Kiedy na nią dmucham, Sofia patrzy na moje usta.

– Spróbuj.

Najpierw niepewnie sprawdza językiem, po czym obejmuje wargami całą łyżkę. Jęczy:

– Chryste...

Dźwięk ten trafia bezpośrednio w moje dolne rejony i przypominam sobie o zupełnie innych jękach.

– Mmm... Z chęcią zliziałabym ten sos z każdego miejsca, na które byś go wylał.

Niebezpieczne słowa. Chwytam się blatu, by się powstrzymać od rozłożenia jej na nim. Może powinniśmy spróbować całowania w kuchni.

– To nie jest dobry pomysł – mówię. – Dodałem do niego pikantną paprykę. Może piec.

Uśmiechając się szatańsko, oddaje mi łyżkę.

– Więc chyba zostaną przy sosie czekoladowym. – Odwraca się i wychodzi, kołysząc biodrami.

Hmm... niewielkie pieczenie byłoby jednak tego warte.

Stanton

Docieramy do domu Jenny, gdzie jest już chyba z pół miasta. Po niedzielnej mszy, większość ludzi zbiera się u kogoś, przynosząc jedzenie na grill, by porozmawiać i się napić. Na zewnątrz stoją grupki ludzi, rozmawiają i się śmieją, dzieciaki biegają i krzyczą. Presley dołącza do nich, gdy tylko wchodzimy na podwórkę. Bunia obserwuje wszystkich ze swojego miejsca na ganku niczym czujny, uzbrojony w broń gargulec. Typowa niedziela.

Podaję miskę sosu June, która oddaje ją mężowi stojącemu przy naładowanym mięsem grillu w oparach tak gęstego dymu, że Alice Cooper nie powstydziliby się go na koncercie. Ruby – siostra Jenny – ściska mnie i podaje mi piwo. Podobnie jak dom rodziców, Ruby również przez lata się nie zmienia. Ma te same żywoczerwone włosy, ten sam dziki śmiech, ten sam gówniany gust co do mężczyzn – zmieniają się jedynie imiona jej chłopaków. Ten ma na imię Duke czy Dick, to naprawdę nieistotne – jak poprzednicy, nie pozostanie zbyt długo u jej boku, ale może tak jest lepiej.

Przedstawiam jej Sofię i od razu widzę, że Ruby jej nie lubi – za samo to, że jest tutaj ze mną. Nawet jeśli całe miasto wydaje się szczęśliwe z powodu ślubu, Ruby najwyraźniej myśli, że istnieje szansa, by Jenn zmieniła zdanie. Oczywiście jest więc fakt, że nie będzie przyjazna w stosunku do kobiety, która stanowi potencjalną konkurencję dla jej siostry.

Rozglądam się w poszukiwaniu Jenny, ale jej nie widzę.

Idziemy po coś do picia dla Sofii, przy czym przedstawiam ją za każdym razem, gdy się zatrzymujemy – co znaczy dość często. Przystajemy przy opalanej blondynce, pani Mosley. Chodziłem do szkoły z jej córkami, ale to matką interesowali się wszyscy chłopcy. Walczyli o to, który skosi jej trawnik – by tylko mieć szansę zobaczyć, jak opala się w bikini na tyłach domu. Następny jest Gabe Swanson, miejscowy historyk i właściciel księgarni – jeden z najmiłszych i najnudniejszych facetów, jakich znam. Przy stole z kraciastym obrusem przygotowuję Sofii drinka mint julep, po czym obracamy się i widzimy uśmiechniętą twarz pastora Thompsona.

– Dobrze cię widzieć, Stanton.

– Wzajemnie, pastorze. – Upijam łyk piwa. – Znakomitą mszę pastor dzisiaj odprawił.

– Pomyślałem, że ci się spodoba. – Klepie mnie po ramieniu drżącą dłonią. – Jak długo nie byłeś w domu?

Drapię się po karku, próbując sobie przypomnieć. Dźwięczny głos, który rozpoznałbym wszędzie, mówi za mną:

– Czternaście miesięcy i dwanaście dni.

Obracam się do stojącej za mną Jenny. Ma na sobie białą sukienkę, włosy ściągnięte żółtą wstążką i wygląda jak anioł... z diabelskim ciałem. Mój ulubiony typ.

Dupobrody też tu jest. Niestety.

– To nie może być prawda – poprawiam. – Spędziłem święta z Presley.

Jenny uśmiecha się łagodnie, wcale nie urażona.

– Kupiłeś jej bilet i poleciała do ciebie. Mówiłeś, że nie możesz wrócić do domu. Znowu.

Jestem szokowany, kiedy uzmysławiam sobie, że ma rację – minęło aż tak wiele czasu.

Rozmawiałem z Jenny praktycznie codziennie, widywałem ją na Skypie, a dni mijały...

rozmywały się... a ja tego nie zauważyłem.

Sofia kładzie rękę na moim ramieniu.

– W grudniu pracowałeś nad sprawą Kripleya, pamiętasz? – Po czym, jakby stając w mojej obronie, wyjaśnia: – To była wielka sprawa, napad z bronią w rękę, przestępstwo zagrożone minimalną karą dwunastu lat pozbawienia wolności. Pan Kripley błędnie zidentyfikował sprawcę. Stanton wskazał ławie przysięgłych, jak zwodnicze mogą być opinie świadków, i nasz klient został uniewinniony. Kilka tygodni później, złapano właściwego przestępcę, który próbował sprzedać zrabowane dobra. – Sofia patrzy na mnie z dumą w oczach, ale kiedy obraca się w kierunku Jenny, jej spojrzenie staje się zimne. – Uratował życie temu człowiekowi i znalazł czas, by spędzić z córką święta, to dosyć imponujące, nie sądzisz?

Jenny patrzy na trzymany kubek.

– Oczywiście. Wszyscy wiemy, jak ważna jest praca Stanton.

Pastor Thompson unosi szklankę.

– Walcz w słusznych sprawach, synu.

– Dziękuję, tak zrobię.

Kiedy kaznodzieja odchodzi, widzę swoją szansę – Dupobrody będzie skończony.

– Jenny jest kilka spraw, które musimy omówić. Może się przejdziemy...

Między nami pojawia się mój brat, podtykając mi piłkę pod nos.

– Hej, Bubba, chcesz porzucić?

– Dobry pomysł, Marshall. – JD się uśmiecha. – Mogę dołączyć?

– Jasne, trenerze Deanie.

„Trenerze Deanie”? To jakiś pieprzony żart. Jednak to świetna okazja, by pokazać mu gdzie jego miejsce. Podaje piwo Sofii.

– Pobiegnijcie sobie i pograjcie – droczy się Jenny – a my się z Sofią lepiej poznamy. –

Coś w jej głosie każe mi się zatrzymać i sprawdzić, czy Sofia nie ma nic przeciwko. Jej uśmiech podpowiada mi, że nie.

Biorę piłkę od Marshalla i rzucam prosto w brzuch JD, stojącego kilka kroków ode mnie. Chwyta ją z głośnym i bolesnym jękiem.

O tak – to będzie zabawne.

Po kilku minutach rzucania piłki, postanawiam wykorzystać szansę na zadanie JD kilku pytań – może uda mi się wyciągnąć z niego coś przydatnego.

– Jesteś – zaczynam zwyczajnie – nowym trenerem w ogólniaku. Jak tam jest po tylu latach?

Ostatnio dużo mówi się o niewłaściwych relacjach między uczniami a nauczycielami, mam nadzieję, że JD rozwinie jakoś temat.

Wzrusza tylko ramionami.

– Wiesz, jak to mówią, ci którzy nie potrafią robić, uczą, a ci, którzy nie umieją grać, trenują. Zawsze byłem dobry w strategii gry, ale fizyczne rzeczy były dla mnie trudniejsze. Nie mam dobrej koordynacji.

Jak gdyby udowadniając, że ma rację, rzuca piłką jakiś metr nad moją głową – więc muszę skoczyć, by ją złapać. Jednak mi się udaje.

– Jenny mówiła, że mieszkałeś w Kalifornii.

Już to wiem – sprawdziłem.

– Tak, w San Diego.

Przechwytyuję podanie Marshalla i szybko rzucam w twarz JD. Łapie lepiej, niż robił to w szkole. *Cholera.*

– Musiało być ciężko wrócić tu po tak długim czasie. Zostawić pracę, przyjaciół... może dziewczynę.

JD uśmiecha się irytująco szczerze.

– Przyjaciele co jakiś czas mnie odwiedzają, doświadczają uroków małego miasteczka. Dziewczyny nie miałem, a ponieważ z tatą nie było najlepiej... Nie było mi ciężko wrócić. W Sunshine nadal czuję się jak w domu.

Przez trawnik zerkam na własnego ojca, który popija piwo z Waynem Monroe i obejmuje przy tym moją mamę.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. Naprawdę.

Trzymając piłkę, patrzy na mnie z powagą.

– Dziękuję. Cieszę się, że wróciłem i spędziłem z nim końcowe chwile. W ostatnim czasie widział, jak układają się sprawy między mną a Jenny, i stwierdził, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Ona jest moim powodem. Sprawiała, że cały ten smutek był czegoś wart.

Chciałbym się wkurzyć. Jenny była moim powodem, nim ten gówniarz poznał jej imię. Ale jest teraz tak do bólu szczerzy.

Poniewieranie nim byłoby jak skopanie małego, brązowego szczeniaczka, a tylko kompletny duppek mógłby zrobić coś takiego.

Rzuca piłkę Marshallowi i mówi:

– Możemy przez chwilę porozmawiać, Stanton?

– Myślałem, że to właśnie robimy.

– Na osobności.

To powinno być ciekawe.

– Jasne.

Marshall biegnie, by znaleźć sobie inne towarzystwo do gry, kiedy my z JD przechodzimy przez podwórko.

Przez całą drogę widzę dokazującą z kuzynostwem Presley. Dzieciaki biegają po trawie i krzyczą niczym upiory. Wkładam palce do ust i gwiżdżę głośno.

– Hej, uspokójcie się!

Natychmiast zamierają. Presley wygląda na najbardziej wystraszoną z powodu nagany. Uważam, że dobrze, kiedy dziecko czuje zdrowy strach przed rodzicem. Zwłaszcza przed ojcem.

Ja bałem się ojca, a nigdy mnie nie uderzył. Nie musiał – wystarczała świadomość, że może to zrobić.

Puszczam do córki oko, by nieco złagodzić cios.

– Jeśli będziecie się zachowywać jak zwierzęta, zamknę was w stodole.

Presley uśmiecha się i wracają do zabawy, jednak robią to nieco ciszej.

Stajemy z JD pod dębem, z dala od reszty ludzi.

– Chciałeś mi coś powiedzieć? – pytam.

Prostuje się i patrzy mi prosto w oczy.

– Wiem, że ten ślub cię zaskoczył. W okrutny sposób dowiedziałem się, że życie jest krótkie, dlatego nie chcę czekać. Wiem też, że jesteście z Jenny blisko, że istnieje między wami więź. Ufam Jenny i nigdy nie miałem nic przeciwko jej przyjaźni z tobą. A jeśli chodzi o Presley...

Natychmiast się spinam. Jeśli powie coś złego o małej, skopię tego szczeniaka i to bez wyrzutów sumienia.

– ...jest wspaniała i zależy mi na niej, jednak to ty jesteś jej ojcem. Nie chcę tego podważać ani cię zastępować. Nie potrafiłbym nawet, gdybym się starał. Chcę być jedynie jej przyjacielem. – Urywa, bierze głęboki wdech i ciągnie dalej: – Wiem, że nawet po ślubie będziesz o nich myślał jak o swoich dziewczynkach. Chcę jednak, byś wiedział, że wszystko co planuję do końca życia, to zapewnić im szczęście. – Wyciąga do mnie rękę. – A myślę, że byłyby szczęśliwe, gdybyśmy zostali przyjaciółmi. Co ty na to?

Sukinsyn.

Nie mogę zdecydować, czy Jimmy Dean jest idiotą czy maniakalnym pieprzonym geniuszem. Wiem jedynie, że naprawdę chciałbym go nienawidzić. A on... sprawia, że to właściwie niemożliwe.

Ściskam mu dłoń i wracamy do Sofii i Jenny. Ciemne włosy Sofii lśnią w słońcu, kiedy odchyła głowę w tył i śmieje się głośno i nieskrępowanie. Uśmiecham się na ten widok.

Jesteśmy w połowie drogi, kiedy dostrzegamy jakieś zamieszanie po drugiej stronie podwórza. One też są powszechne. Dajcie alkohol grupie ludzi, którzy żyją obok siebie niemal przez całe życie, a zawsze wyjdzie, że ktoś kogoś nie lubi.

Tym razem chodzi o Ruby i jej chłopaka.

– Po prostu się wynoś!

Facet chwyta ją za ramię, wbija palce w ciało.

– Za kogo ty się uważasz, głupia dzdziro?

Nie pierwszy raz jestem świadkiem tego typu jazdy. Wiem, jak to się skończy.

Najwyraźniej JD również.

– Aua...

– Do diabła...

Chwyta Jenny, która się odwraca – zawsze gotowa bronić swej siostry.

– Jenny, poczekaj! – nalega. – Cały czas mieszasz się...

– To moja siostra! Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami, gdy ten gnojek traktuje ją jak śmiecia!

Mijam ich, zmierzając prosto do źródła problemu.

Mawiają, że istnieją dwa typy mężczyzn. Jeden, któremu nawet nie przysłoby do głowy podnieść rękę na kobietę, i drugi, który obwinia ją o frustrację i niedowartościowanie, używając do tego pięści. Nie zgadzam się jednak z tym stwierdzeniem, ponieważ mężczyzna, który używa przemocy wobec kobiet, nie jest w ogóle mężczyzną – jest śmieciem podszywającym się pod istotę ludzką.

– Hej, ZZ Top! – To przykuwa jego uwagę. – Czas, byś sobie poszedł.

Ruby wzdryga się, gdy mocniej chwyta ją za rękę. Ślina pryska na jego brodę, gdy prychna:

– Kim ty, do cholery, jesteś?

Uśmiecham się.

– Nie jesteś stąd, co?

– Nie twoja sprawa. Odwal się.

Obraca się do Ruby, ale podchodzi bliżej – staje z nim twarzą w twarz. Mówię cichym, śmiertelnie spokojnym głosem:

– Widzisz, i tu się mylisz. Ponieważ jest tutaj moja córka i właśnie nam się przygląda, zatem to moja sprawa. Zabierz więc ręce z dala od jej ciotki i to w tej pieprzonej chwili. Albo wybije ci zęby i wbije ci je tak głęboko do gardła, że je zaraz wysrasz.

Stoimy tak, patrząc na siebie i nie mrugając przez kilka sekund. Widzę trybiki poruszające się w głowie tego palanta – rozmyślającego, czy będzie mnie w stanie pokonać. Gnojek jednak musi mieć trochę oleju w głowie, ponieważ puszcza Ruby i, zataczając się, opuszcza podwórko.

– I nie wracaj! – woła za nim Ruby.

Kręcę głową.

– Na miłość boską, kobieto.

Wyrzuca ręce w górę.

– Wiem, wiem, z moim pechem do facetów powinnam zostać lesbijką.

To mnie rozśmiesza.

Ruby szturcha mnie łokciem.

– Chodźmy się napić.

Obejmuję ją mocno ramieniem i kieruję się w stronę stołu.

Podchodząc, widzę Sofię trzymającą dwa talerze z jedzeniem – jeden dla siebie, a drugi dla mnie – są na nich nałożone ziemniaki, kurczak i żeberka.

– Dzięki.

Znajdujemy miejsce przy piknikowym stole i zabieramy się do jedzenia.

– To było ciekawe – mówi.

– To nic takiego, normalka na południu. Naprawdę ciekawie robi się po zmroku.

– Wszyscy staną się błyszczącymi wampirami?

Kręcę głową.

– Wieśniakami. – Biorę kęs żeberka, które rozplývają mi się w ustach. – Poznałyście się z Jenny?

– O tak. Wymiana uwag na temat twojej sprawności seksualnej dała nam temat do plotek. Od obydwu dostałeś dobrą ocenę.

– Tylko dobrą? – Uśmiecham się. – Muszę nieco bardziej popracować.

– A jak tam twoja pogadanka z JD? Zaprzyjaźniłeś się z nim, jak sugerowałam?

Wycieram usta serwetką.

– Później ci powiem. Na razie mam zamiar znaleźć Jenn i spędzić z nią trochę czasu.

Sofia odkłada talerz – najwyraźniej skończyła jeść.

– Ee... wydaje mi się, że weszła do domu.

Śmiech i okrzyki rozchodzące się po podwórku przykuwają naszą uwagę.

– Cofam to, co powiedziałem o zmroku – mówię. – Już teraz robi się interesująco.

Mój starszy brat Carter wchodzi, zataczając się, ma na sobie obcisłe, wytarte jeansy i białą koszulkę z Bobem Marleyem. Na jego szyi wisi ciężki, złoty łańcuch, na którego końcu kołysz się dziwny medalion. Carter z wyglądu jest do mnie podobny, odrobinę wyższy, szczuplejszy i ma gęste, starannie przystrzyżone wąsy jak jakiś pieprzony detektyw.

Wstaję i ściskam go, a on niemal unosi mnie z ziemi.

– Braciszku!

Wychowywałem się z Carterem, który jest niemal cztery lata starszy ode mnie i był moim idolem. Jedynie jego chciałem naśladować. On również grał w liceum w futbol, to do niego nadal należy rekord. Dostał stypendium sportowe w Ole Miss, ale rzucił tę szkołę zaraz po pierwszym semestrze. Wrócił do domu... odmieniony. Odrodzony. Ale nie w chrześcijański sposób. Teraz jest tym kolesiem – trzydziestodwulatkiem, który nadal chodzi na licealne imprezy. Który dostaje piwo – i inne używki – od lokalnych gówniarzy. Jest imprezowiczem i wszyscy wielbią ziemię, po której stąpa.

– Dobrze cię widzieć, Carter – mówię z uśmiechem. Naprawdę tak uważam.

Przygląda mi się i klepie mnie z dumą w ramię, po czym zwraca uwagę na Sofię, która podaje mu rękę.

– Cześć, jestem...

– Jesteś Sofia – mówi zadowolony, po czym ją ściska, jak dla mnie zbyt mocno i zbyt długo. W końcu się odsuwa, przytrzymuje ręce na jej ramionach i spojrzeniem taksuje sylwetkę.

– Wróbelki wywierkały mi twoje imię.

Sofia zerka na mnie, ale kręcę głową.

– Wróbelki? – pyta.

– Tak. Każdego ranka kontaktuję się z naturą. Zdziwiłabyś się, co potrafi powiedzieć, jeśli tylko masz czas, by słuchać. – Znów taksuje ją wzrokiem. – I jesteś tak ładna, jak mówiły. Te biodra, te policzki, te...

– Tak, tak, jest piękna. – Klepię go w pierś, odsuwając go od niej. – Co tu robisz? Myślałem, że nie interesują cię pokościelne imprezki.

Wzrusza ramionami.

– Nawet poganie nie pogardzą dobrym grillem.

Dwie dziewczyny stojące za nim przysuwają się. Blondynki z warkoczami, drobne, ubrane w hipisowskie bluzki z frędzlami, kamizelki i mokasyny z koralikami. Z pewnością są siostrami, może nawet bliźniaczkami.

– Pozwólcie panie, że was przedstawię – mówi Carter. – To Sal, a to Sadie.

Ta po jego lewej stawia krok w przód.

– Ja jestem Sal, a ona to Sadie. – Żartobliwie szczypie brata w policzek. – Zawsze nas mylisz.

– O tak! – woła Sadie, chichocząc.

– Idziemy po jakieś żarcie – mówi Sal. – Mam ci przynieść talerz, skarbie? – pyta mojego brata.

Posyła jej buziaka.

– Jesteś dla mnie za dobra. – Kiedy obracają się, by odejść, Carter klepie Sadie w tyłek. – Przynieście trochę kurczaka mojej matki.

Dziewczyna piszczy i spoglądając na niego, trzepocze rzęsami.

Kiedy już odchodzą, pytam:

– Są pełnoletnie?

Mruży oczy.

– Zależy od definicji.

– Widzisz... – Unoszę palec. – ...to właśnie urok prawa. Albo są, albo nie są. To nie jest subiektywne.

– Za bardzo się martwisz, Stanton.

– A ty za mało.

Klepie mnie w ramię.

– Mówisz jak ojciec.

Prycham.

– Skąd wiesz? Rozmawiałeś z nim ostatnio?

Kiedy Carter rzucił studia i wrócił do domu, postanowił, że nie będzie dłużej mieszkał pod dachem stosującego surowe zasady ojca. Kupił zniszczoną dużą przyczepę, postawił ją na obrzeżach miasta, sam zreperował i spróbował swoich sił w... rolnictwie.

Wyspecjalizował się w hodowli unikalnych roślin, obecnie legalnych w Colorado.

W tym samym czasie mój brat opracował skuteczny i wydajny płyn nawożący rośliny, który zapewnia im składniki odżywcze zaledwie w kilku kroplach, podczas gdy normalnie potrzebowałyby tygodnia, by samodzielnie je pobrać. Opatentował go, sprzedał prawa państwu, przez co stał się bogaty. Nie widać tego po nim – lubuje się w prostocie. Nadal mieszka w swojej przyczepie, choć kupił okoliczne hektary ziemi, by uprawiać swoje... rośliny. Założył tam jakby komunę – jest tam swobodne życie, swobodna miłość. Woodstock każdego dnia. Lokalne dzieciaki czasami szukają schronienia u Cartera. W zeszłym roku kolega ze szkoły Marshalla wjechał po pijanemu w inną furgonetkę i uciekł – pojawił się u Cartera. Mój brat go przyjął, porozmawiał z nim i przekonał chłopaka, by zgłosił się na policję. Nawet go tam zawiózł.

Jednak alternatywny styl życia mojego brata jest gorzką pigułką w gardle ojca. Nie wyrzucił syna z domu – Carter nadal pojawia się w nim podczas świąt i uroczystości rodzinnych, ponieważ nalega na to matka – jednak tata stosuje politykę uników i po prostu udaje, że syna tam nie ma.

Carter wzrusza ramionami.

– Tata potrzebuje więcej czasu. W końcu przywyknie.

Biorę łyk piwa i rozglądam się w poszukiwaniu burbona.

– W tygodniu urządzam imprezkę – informuje mnie brat, unosząc ręce – i chciałem zaprosić ciebie i uroczą Sofię. U mnie, we wtorek wieczorem.

– Urządzasz imprezę we wtorek? – pyta Sofia.

– Wierzę, że wtorek jest najbardziej zaniedbanym dniem tygodnia. Wszyscy narzekają na poniedziałek, środa jest przełomowa, czwartek to niemal piątek, a piątek jest ulubionym dniem wszystkich. Nikt nie pamięta o wtorku, jest jak czarna owca w rodzinie. – Mruga jednym okiem.

– Trochę jak ja.

Mam zbyt wiele do zrobienia, by marnować noc na imprezowanie z licealistami u brata i na palenie zioła z drugiej ręki.

– Nie wiem, czy damy radę przyjść.

Uśmiecha się znacząco.

– Jenny i JD przyjdą. – Chwyta mnie za ramię. – Zmiany są trudne, bracie, zwłaszcza dla takiego pewniaka jak ty. Zgłaszam się na ochotnika, by złagodzić stres przejścia. – Łączy palce. – By związać nasze rodziny w jedną, wiesz o czym mówię, prawda?

Wzdycham na dźwięk tych mentorskich, kliwanych bzdur, przez których pryzmat spoglądam na życie. Jednak... jeśli będzie tam Jenny, będę miał szansę z nią porozmawiać. Dorwać ją na osobności. Uwieść ją, wyzwolić w niej jakieś uczucia, wspomnienia, jak za starych, dobrych czasów. To może mi pomóc.

– Tak, wiem, Carter.

Przytakuje.

– Dobrze. Idę do mamy. – Całuje Sofię w oba policzki. – Miło mi było cię poznać. Nie mogę się doczekać, by cię zobaczyć we wtorek – mówi do niej, po czym odchodzi spacerkiem.

– Był naćpany, prawda? – pyta Sofia, uśmiechając się szeroko.

– U Cartera ciężko to stwierdzić... ale zdziwiłbym się, gdyby nie był.

Godziny mijają nam na picciu zimnego piwka i pogaduszkach. Zostajemy z Sofią mistrzami w turnieju rzucania podkową. Tłum się przerzedza. Ludzie wracają do domów, by przygotować się na nadchodzący tydzień. Kilka osób siedzi na składanych krzesłach wokół ogniska, kiedy niebo robi się szaro-różowe od zachodzącego słońca. Jest też Jenny, siedzi obok Dupobrodego. Sofia obok mnie, a Presley usadowiła się na moich kolanach. Głaszczę ją po włosach, całuję w czubek głowy i cieszę się, mogąc trzymać ją w ramionach. Niedługo będzie za duża, by tak siedzieć, i zamiast być jej bohaterem, będę jedynie źródłem niekończącego się wstydu.

Mary siedzi na trawie po turecku, w rękę trzyma gitarę.

– Zaśpiewaj, Stanton.

Kręcę głową.

– Nie, nie teraz.

– O, no proszę – nalega Mary. – Nie śpiewałeś od wieków. Możemy zacząć *Stealing Cinderella*, uwielbiam tę piosenkę.

Sofia siedzi na podkurczonych nogach i opiera głowę na dłoni.

– Nie wiedziałam, że śpiewasz.

– Stanton ma cudowny głos – mówi mama. – Kiedyś co niedzielę śpiewał w kościele.

Sofia się śmieje.

– Śpiewałeś na żywo w chórze? Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Miałem siedem lat – przyznaję oschle.

Jednak Presley wytacza ostateczny argument.

– Zgódź się tato. Lubię słuchać, jak śpiewasz.

To takie proste.

Kiwam głową do Mary, która zaczyna szarpać struny. To powolna, niemal smutna melodia. Piosenka o ojcach i córkach, o nowym życiu i starym charakterze.

– „Grała Kopciuszka, jeździła na rowerku...”

Ponownie głaszczę Presley, kiedy tekst piosenki nabiera większego, bardziej dosadnego znaczenia. Czuję żar spojrzenia Sofii, która przygląda mi się zafascynowana – tą nową wersją mnie, której nigdy wcześniej nie widziała. Dostrzegam, że JD spogląda tylko na Jenny, pragnąc, by odwróciła ku niemu głowę. Ale ona na niego nie patrzy. Przez ognisko, poprzez dym i buchające płomienie spojrzenie jej niebieskich oczu utkwione jest we mnie. I kiedy śpiewam o cennych wspomnieniach – starych i nowych miłościach – ja również na nią patrzę.

– „W jej oczach jestem księciem z bajki, ale dla niego jakimś kolesiem, przyjeżdżającym, by ukraść Kopciuszka”.

Lubię wyjadać resztki – jestem jednym z tych facetów, który sprawdza, co zostało na stole, kiedy inni rozchodzą się do domów. Przy stoliku w blasku ogniska spotykam JD, który też wydaje się być takim facetem. Układam na talerzu ostatni kawałek kurczaka, a JD bierze ostatnią wołową poładwiczkę. Nakładam sobie łyżkę własnego sosu, kiedy on pyta:

– To twoje dzieło?

– Tak.

– Słyszałem, że jest dobry.

Podaję mu łyżkę.

– Dobrze słyszałeś.

Nakłada sobie na talerz, oblizuje palce, po czym macza w nim mięso i wkłada do ust. Przeżuwając, pokazuje mi uniesiony kciuk.

– Brat wspominał o wtorkowej imprezie. Wybierasz się, czy będziesz zajęty?

Naprawdę mam nadzieję, że będzie robił co innego, bym miał Jenny tylko dla siebie.
W duchu już zacieram ręce – nakręcony tą perspektywą.

Kiwa głową.

– Tak, przyjdę. Nie mam za bardzo napiętego planu zajęć w tym tygodniu.

Marszczę czoło, coraz mniej go rozumiejąc. Przysuwam się bliżej... bo coś mi się nie podoba.

– Moja tfas punie, Tanton? Cy moja tfas punie?

– Najświętsza Panienko! – Wzdrygam się i dosłownie odskakuję, ponieważ Jimmy Dean nie ma już twarzy modela Calvina Kleina.

Teraz przypomina ucharakteryzowanego aktora grającego w filmie *Człowiek Słoń*.

– Jes w tum tatyka? – pyta.

Tatyka?

Aaa, papryka.

Oho.

– Ty gnoju!

– To był wypadek.

– Wypadek, akurat!

– Nie wiedziałem...

– Bunia twierdzi, że mówiła ci o jego uczuleniu na paprykę! – krzyczy Jenny, stojąc przy furgonetce, kiedy już udało jej się zapakować do samochodu nafaszerowanego środkami antyalergicznymi JD.

– Wrzuciłem tam suszone płatki paprykowe, Jenn, myślałem, że jest uczulony na świeżą paprykę! Nie wiedziałem o jego uczuleniu na cholerne suche płatki!

Największa ironia? Mówię prawdę. Po tym wydarzeniu będę musiał na nowo ustawić swój wewnętrzny wykrywacz kłamstw, jeśli chodzi o skandaliczne zeznania w sprawie niewinności moich klientów. Najwyraźniej czasami najgorsze gówno wcale nie jest kłamstwem – bez względu na to, jak beznadziejnie brzmi.

– Nienawidzę cię!

– Trochę przesadzasz, nie uważasz?

– Przesadzam?! – wrzeszczy, a ja się cofam. – Chciałeś go otruć!

Kopię oponę furgonetki.

– Gdybym chciał go otruć, już by nie żył! – Przecieram dłonią twarz. – Ale może powinnaś pomyśleć o przesunięciu ślubu, przynajmniej póki JD nie będzie wyglądał – wskazuję na okno pasażera – tak jak teraz.

Widzę ogień w jej oczach. Płatki jej nosa poruszają się gwałtownie.

– Dlatego to zrobiłeś? Myślisz, że uda ci się sabotażem uniemożliwić mój ślub, ty parszywy sukinsynie?

– Co? Nie!

Cóż, to wierutne kłamstwo.

– Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać – syczy przez zęby. – W sobotę wychodzę za mąż i nie obchodzi mnie, czy narzeczonego będę musiała przywieźć na wpół żywego na wózku do ołtarza i podeprzeć go o pieprzone organy, by mógł powiedzieć sakramentalne tak! Do tego czasu trzymaj się od nas z daleka! Nie chcę cię widzieć, nie chcę cię słuchać i nie chcę wiedzieć o twoim istnieniu!

– Kiedy zrobiłaś się taka cholernie uparta?! – również krzyczę.

Obchodzi furgonetkę dookoła i odpowiada:

– Wtedy, kiedy ty stałeś się tak kurewsko samolubny!

– Jenny! Czekaj...

Jednak nie czeka. Robi coś dokładnie przeciwnego – wskakuje za kierownicę i odjeżdża.

By zabrać JD do domu i zaopiekować się nim.

Sofia staje obok mnie na podjeździe, obserwując, jak nikną tylne światła samochodu.

– Nie poszło zgodnie z planem – mamroczę.

– Czekaj, to naprawdę był wypadek? – pyta, unosząc brwi.

– Tak! Naprawdę. – Urywam i zmieniam oświadczenie: – Wspaniały, nieoczekiwany wypadek.

Uśmiecha się i daje mi sójkę w bok.

Następnie wstrzymuje oddech:

– Jasna dupa!

– Co? Co się stało?

Pstryka palcami, wskazuje na niebo i uśmiecha się szeroko z powodu swojego odkrycia.

– Reakcja alergiczna!

– Tak? – pytam.

– Morderstwo doskonałe. Wywołanie reakcji alergicznej. – Krzyżuje ręce na piersi, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Serio? – pytam z kamienną twarzą. – Moje życie właśnie się rozpada, a ty nadal bawisz się w wymyślanie morderstwa doskonałego?

Wzrusza ramionami.

– Cóż... to dobry sposób. Brent i Jake powinni być pod wrażeniem.

Stanton

– Nigdy nie widziałam takiego dużego. Jest za duży.

– Wcale nie jest taki duży.

– Jest monstrualny! Zabije mnie.

– Obiecuję, że ci się spodoba, skarbie. Dotknij.

Wciąga gwałtownie powietrze.

– Nie mogę.

Biorę rękę Sofii i przyciskam ją do ciepłego ciała, zmuszając, by rozsunęła palce.

– Widzisz? Lubi cię. Teraz musisz na nim pojeździć. Dopiero wtedy cię polubi.

W poniedziałkowy poranek w końcu pojechaliśmy z Sofią do sklepu, by kupić jej przyzwoite buty. Wybrała ciemnobrązowe, z różowym szwem, przeznaczone do jazdy konnej i pasujący do nich kapelusz. I muszę przyznać – ta kobieta wie jak nikt, jak nosić pieprzony kapelusz.

Kiedy wróciliśmy do domu, wydawało mi się, że dobrym pomysłem będzie wypróbować jej nowy nabytek.

Zabrałem ją więc na konną przejażdżkę.

Opiera rękę na czarnym płaszczu i wzdycha.

– Zatem tak właśnie umrę?

Przewracam oczami.

– Od kiedy lubisz dramatyzować? Tchórz cię obleciał? Przecież masz psa wielkości krowy.

Znajdujemy się przed stajnią, próbujemy osiodłać Blackjacka, spokojnego, statecznego ogiera – pierwszego konia, na którym samodzielnie jeździła Presley.

Sofia przygląda mu się nieufnie.

– Ale z grzbietu psa nie spadnę i nie skrucę karku. Pies mnie też nie kopnie. Ani nie stratuje.

Zarzucam siodło na grzbiet Blackjacka.

– Nie, on ci tylko rozerwie gardło, gdy za bardzo go wkurzysz.

Nie zgadza się z moim zarzutem.

– To podły stereotyp na temat rottweilerów. Sherman nigdy by mi tego nie zrobił! Jest moim słodkim syneczkiem.

– Nigdy nie widziałem dziecka z takimi zębiskami. – Mocuję popręg i zapinam ostatnią sprzączkę. Klepię konia w bok, w sposób, w jaki lubię klepać Sofię po tyłku. – Wskakuj.

Sofia patrzy na ogromne zwierzę. Jej oczy są wielkie jak spodki, a na jej twarzy maluje się niepewność i strach. Po części muszę być chorym zwyrodnialcem, bo niesamowicie mnie to kręci.

Stawia krok w przód, unosi rękę, ugina kolano... i natychmiast się wycofuje.

– Nie mogę! Nie mogę, nie mogę, nie mogę. Po prostu nie mogę!

Śmieję się i klepię ją w ramię.

– W porządku, nie zejdź mi tu na zawał, to nie byłoby zabawne.

Wskakuję na koński grzbiet, patrzę w dół i wyciągam rękę.

Sofia marszczy brwi.

– Nie jestem pewna, czy ludzie stworzeni są do dosiadanania czegoś tak wielkiego.

Uśmiecham się.

– Chodź, Soph, zaufaj mi. Będę cię trzymał.

Sofia bierze głęboki wdech, chwyta moją dłoń i wkłada lewą nogę w strzemień. Blackjack stoi nieruchomo, kiedy kobieta przerzuca przez niego nogę i siada tuż przede mną.

Jej odziany w jeans tyłek mości się tuż przed moim fiutem. Przyciska plecy do mojej piersi, jej włosy łaskoczą mnie w twarz i czuję w nich zapach gardenii. Ta przejażdżka będzie najlepszą z tortur. Będę ją czuł, trzymał mocno, ale nie będę mógł zrobić nic więcej – przepyszna udręka.

Obejmuję ją w talii, przesuwam w tył, nadal trzymając w rękach wodze.

– Odpreż się – mówię cicho. – Nie pozwolę, by coś ci się stało.

Tuli się do mnie, obraca głowę i uśmiecha się.

– Dobrze.

Zaczynamy przejażdżkę.

– Wow! – piszczy, ściskając moje uda. – Pomału! Pamiętaj, wygrać wyścig można jedynie wolnym, równym tempem.

– Ale szybko i ostro jest o wiele zabawniej.

Kłusujemy pod górkę, w miejsce, które chcę jej pokazać. To najwyższy punkt na ziemi moich rodziców, skąd można zobaczyć morze trawy wyglądające niczym szmaragdowy ocean.

– Wiesz co – droczę się – jedyną rzeczą lepszą od ujeżdżania konia jest ujeżdżanie kogoś innego.

Sofia się śmieje.

– Mówisz z doświadczenia?

Odchylam kapelusz w tył.

– To tylko moje żywe i niestety niespełnione fantazje. Mam taką jedną wizję, jak trzymasz się we właściwym miejscu, obejmujesz mnie nogami w pasie lub w ramionach...

– Próbujesz mnie rozproszyć, bym się nie bała?

Oblizuję wargi i się uśmiecham.

– Może... a może nie. Działa?

Przestaje ściskać moje uda, zaczyna je pocierać.

– Właściwie jeśli o to chodzi, to tak. Opowiedz więcej...

– Boże... jak tu pięknie.

Widziałem ten widok tysiące razy, jednak będąc tu z Sofią, obserwując zachwyt na jej twarzy, szczere uwielbienie – zaczynam czuć to samo. Czuję się wdzięczny za to, skąd pochodzę, błogosławię miejsce, w którym dorastałem. Sofia wzdycha, kiedy w ciszy rozkoszujemy się nieskończenie zielonymi pastwiskami i doliną usianą brązowo-czarnym bydłem.

– Hmm...

Zerka na mnie przez ramię.

– Co?

Wskazuję na krowy.

– Widzisz, jak są ściśle skupione w stado?

Sofia przytakuje.

Patrzę w niebo, szukając jakiegoś znaku, ale dostrzegam jedynie błękit.

– Kiedy zbijają się ciasno w grupę, oznacza to, że nadchodzi burza.

Teraz ona patrzy w górę.

– Mówisz, że są w stanie ją wyczuć?

– Tak.

– To niesamowite.

Wzruszam ramionami.

– To fajne. – Podaję jej wodze. – Chcesz spróbować?

Wyciąga ręce, chichocząc przy tym, co sprawia, że również się uśmiecham.

– Myślisz, że jestem gotowa?

– Oczywiście.

Klepie Blackjacka w szyję i bierze wodze.

– Dobra, koniku, nie zawieź mnie.

Następne dwadzieścia minut spędzam na tłumaczeniu, jak jeździć konno – jak sprawić, by koń skręcił, zatrzymał się, przyspieszył. Potem Sofia radzi sobie sama – i to całkiem dobrze.

Rozmawiamy o wszystkim i o niczym – tajemnicach hodowli bydła, firmie jej ojca i o tym, jak bez nas idą sprawy w kancelarii. Sofia opowiada, jak rodzice pierwszy raz pozwolili jej samotnie pojechać metrem w Chicago, a ja mówię, jak jeździliśmy tymi szlakami po szkole z Jenny.

Śmieję się, gdy to wspominam.

– Kiedy byliśmy młodzi, szukaliśmy odpowiedniego drzewa do wspinaczki. A kiedy byliśmy starsi, szukaliśmy idealnego, byśmy się mogli pod nim pieprzyć.

Sofia chichocze, po czym poważnieje. Prowadzi Blackjacka wolnymi krokami i pyta:

– Naprawdę ją kochasz, prawda?

Bez namysłu odpowiadam:

– Tak.

Przez chwilę panuje między nami cisza, Sofia patrzy w ziemię, po czym znów pyta:

– Myślałeś o tym, co zrobisz, jeśli nie przekonasz jej, by nie wychodziła za mąż?

Kręcę głową.

– Porażka nie wchodzi w rachubę. Nie mam zapasowego planu.

Sofia obraca się, by spojrzeć mi w twarz. Jest coś dziwnego w jej ciepłych, piwnych oczach, czego nie potrafię odczytać.

– Stanton... wiele dla mnie znaczysz. I... ostatnio... czuję...

Odsuwam jej włosy na bok.

– Ty również wiele dla mnie znaczysz, Soph.

– No wiesz... Jeśli namówisz ją, by nie wychodziła za JD, jest duża szansa, że będzie cię chciała na wyłączność. A jeśli o to chodzi... Nie chcę, by sprawy między nami były... dziwne czy krępujące. Nie chcę stracić... naszej przyjaźni.

Przysuwam się i całuję ją w czoło. I przyrzekam jej:

– Nie stracisz mnie, nie dopuszczę do tego.

Wracamy późnym popołudniem, po czym próbuję się dodzwonić do Jenny. Natychmiast jednak zostaję przekierowany na pocztę głosową. Piszę do niej wielokrotnie, ale mijają godziny i nie otrzymuję odpowiedzi. Próbuję zadzwonić ponownie podczas kolacji. Znów poczta.

Pieprzyć to.

Jest już ciemno, kiedy parkuję furgonetkę pod domem Jenny, pukam do drzwi i pytam, czy ją zastałem.

– Nie zejdzie do ciebie, Stanton – mówi Wayne, wychodząc na ganek i przezuwając kolację. – Mówi, że jest na ciebie zła.

– Nie odejdę, póki się z nią nie zobaczę. Będę spał na tych pieprzonych schodach.

– Kula między oczy sprawi, że zniknie – krzyczy Bunia z domu. – Podaj strzelbę, Wayne!

Kilka minut po tym, jak Wayne wraca do domu, by przekonać Jenny, dziewczyna w końcu schodzi na dół – ma rozpuszczone włosy, owinięta jest lawendowym szlafrokiem i wygląda na wkurzoną.

– Cały dzień opiekowałam się JD, a rano muszę iść do pracy! Nie mam ochoty się teraz z tobą kłócić, Stanton.

– Więc powinnaś odebrać cholerny telefon, kiedy wcześniej dzwoniłem. Musimy porozmawiać.

Krzyżuje ramiona na piersi i z nachmurzoną miną przysuwa się, i stwierdza:

– Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać.

Zaciskam zęby i podchodzę o krok. Jenny się cofa.

– Powiedz mi coś, Jenn, naprawdę jesteś na mnie zła? – Patrzę na jej twarz, po czym na zaciśnięte w pięści dłonie, jej wąską talię przewiązaną paskiem szlafroka. Następnie wracam do jej oczu i pytam cicho: – A może boisz się być ze mną sam na sam? Boisz się mnie wysłuchać? Bo wiesz, że robisz źle. Wiesz, że popełniasz błąd, bo nadal mnie kochasz.

Zaciska usta i unosi głowę.

– Idź do domu i spędź trochę czasu z córką. Musisz zawieźć ją do szkoły na ósmą.

Jej brak odpowiedzi jest jedyną odpowiedzią, której mi trzeba.

– Wiem, o której zaczyna szkołę.

– W takim razie dobranoc, Stanton. – Spieszy do drzwi, jakby chciała jak najszybciej ode mnie uciec.

Obracam w palcach kluczyki samochodu.

– Słodkich snów, Jenny.

Dwadzieścia minut później wchodzę schodami do sypialni, starając się wymyślić coś nowego... zaskakującego... co przywróci Jenny zdrowy rozsądek.

Kiedy chwytam za klamkę do starego pokoju Cartera, słyszę dochodzące odgłosy zza drugich drzwi – chichoty i dziewczęce głosy. Uśmiechając się, otwieram drzwi i widzę, że na moim łóżku, ubrane w piżamy i puchate kapcie, siedzą moja córka, moja siostra i moja... Sofia.

– Cześć tatuś! – wita mnie Presley z szerokim uśmiechem. Wyciąga w górę ręce z niebieskimi paznokciami ozdobionymi kropeczkami. – Pani Sofia zrobiła nam manicure!

Mary pokazuje mi swoje dłonie i stopy – z paznokciami pomalowanymi na czerwono w pomarańczowe kwiatki – po czym przenosi się na fotel w rogu pokoju, robiąc mi miejsce na łóżku.

– Piękne. Macie najładniejsze paznokcie w mieście.

– I oglądamy film – mówi Presley, przysuwając się do Sofii. – *Króla Lwa*.

– *Króla Lwa*, co? Chyba go jeszcze nie widziałem.

Wskakuję na łóżko, gdy na ekranie dwa lwy idą na randkę.

– Jak poszło? – pyta cicho Sofia, podając mi miskę z popcornem.

Przekazuję jej spojrzeniem wszystko, czego nie mogę powiedzieć na głos.

– Jakoś.

Presley opiera głowę na mojej piersi, a ja się układam i całuję ją w czubek głowy, ciesząc się, że mam ją tak blisko. Zerkam na Sofię, widzę, jak wkłada do ust popcorn, po czym zlizuje masło z palców. Jest w tym obrazku coś niesamowitego – ona w moim łóżku, moja siostra, moja córka – czuję się dobrze i miło, a Sofia wydaje mi się jeszcze piękniejsza, niż zawsze uważałem.

– Pewnego dnia chciałabym mieć swojego Simbę – mówi moja siostra i wzdycha. – Silnego, owłosionego faceta, który tarzałby się ze mną po podłodze.

Owłosionego?

Ściągam razem brwi, patrząc na Mary.

– Nawet nie wiem, jak, u diabła, miałbym to skomentować.

– A ja nie – mówi Presley z niesmakiem. – Wszyscy chłopcy, których znam są niżsi.

I brzydcy.

Klepię ją po główce.

– Właśnie tak, wszyscy chłopcy są mali i brzydcy. Jak trolle.

Sofia śmieje się z mojej miny naśladującej twarz trolla.

Presley przytakuje.

– Ale lubię tę piosenkę.

Sofia niemal piszczy, kiedy to słyszy.

– O Boże, to Elton John, najlepszy na świecie wokalista! Jeśli tata pozwoli, ściągnę dla ciebie cały jego album.

Córka patrzy na mnie wielkimi, niebieskimi oczami, bym się zgodził.

– Tata mówi, że tak.

W zamian dostaję mocny uścisk.

Opieram się plecami o poduszki i układam się tuż przy Sofii – wystarczająco blisko, bym dotykał jej głowy, co natychmiast robię, drapiąc ją po skórze, bawiąc się jej miękkimi, ciemnymi pasmami i rozkoszując się ich dotykiem na dłoni.

Kobieta wzdycha i przysuwa się do mnie lekko. Tak oglądamy resztę filmu.

Stanton

Następnego wieczora około dziesiątej docieramy do przyczepy brata, przy której stoi już morze furgonetek. To jak ferie świąteczne na wsi – wszędzie są nastolatki. Mary i Marshall znikają w tłumie rozmawiających młodych ludzi, trzymających czerwone, plastikowe kubeczki. Kiedy idziemy ścieżką do drzwi, Sofia przystaje, by się rozejrzeć – migoczące światełka rozświetlają drzewa, księżyc w pełni wisi na niebie, Led Zeppelin gra gdzieś w tle.

– Fajnie tu – mówi. – Spokojnie.

Kiedy rozgląda się po otoczeniu, ja przyglądam się jej – znów. Wygląda powalająco, ma na sobie ciemne jeansy rurki, czarne kozaczki na szpilce i biały top bez rękawków z głębokim dekoltem, który przylega we wszystkich właściwych miejscach. Jej gęste, sprężyste włosy, zakręcone na końcach są rozpuszczone, na szyję założyła długi sznur pereł. Moja babcia lubiła nosić perły – ale nigdy nie wyglądała w nich tak dobrze jak Sofia Santos.

Wyciągam rękę, by otworzyć drzwi do przyczepy, ale te same się przed nami otwierają i wychodzi jedna z blond wyznawczyń mojego brata – Sadie albo Sal. Patrzy na nas wesołymi, przeschklonymi oczami.

– Czeeeść! – Ściska nas, przy czym wyczuwamy zapach marihuany. – Witajcie w raj! Mamy zamiar poślizgać się na macie wodnej ze wzgórza, idziecie?

Sofia uśmiecha się pobłaźliwie.

– Może później.

Kiedy hipiska odchodzi chwiejnym krokiem, Sofia mówi:

– Czuję się jak na studiach.

Prycham.

– W Columbii tak nie było, mieszkałem w cholernym domu bractwa.

W tym samym momencie typ, który wygląda, jakby był mniej więcej w moim wieku, przechodzi obok nas – kompletnie nagi. Zakrywam Sofii oczy.

– Dobra, jest jak na studiach.

Wchodzimy do środka przez wiszącą w drzwiach kurtynę wykonaną z turkusowych koralików. Kadzidelko dopala się na jednej z półek, wypełniając pomieszczenie ostrą wonią. Carter uśmiecha się szeroko, gdy dostrzega nas w morzu ciał wypełniających salon przyczepy. Ściska mnie ubrany jedynie w paciorki i skórzaną kamizelkę, którą nałożył na nagą pierś.

– Witam. Cieszę się, że przyszliście. – Ściska również Sofię, odrobinę za długo. – Chodźcie, znajdziemy wam coś do picia.

Carter oprowadza Sofię po przyczepie, a ja czuję ulgę, widząc, że nie tylko młodzież została zaproszona na tę imprezę. To właściwie jak spotkanie po latach. Są tu wszyscy z mojego ogólniaka, którzy nie wyjechali z miasta – jest ich nawet dość sporo. Witam się z nimi i z dumą przedstawiam Sofię. Jakąś godzinę później mówi mi do ucha:

– Idę na zewnątrz, muszę się przewietrzyć.

Kolorowe, chińskie lampiony wiszą rzędem ponad krzewami białych róż posadzonych wokół kamiennego patio. W oddali widać ognisko, oświetlające niemal całe podwórze. Rozglądam się wśród ludzi znajdujących się na trawniku i w końcu dostrzegam Jenny. Rozmawia z niewysoką brunetką, Jessicą Taylor, była członkinią drużyny cheerleaderek. Jednak, co najważniejsze, nigdzie nie widzę JD.

Czas odpalić swój urok osobisty.

Podaję Sofii kubek z whiskey.

– Możesz potrzymać?

Patrzy tam gdzie ja.

– Jasne.

Urywam jedną z pięknych, białych róż i pokazuję jej.

– Co myślisz?

Mocniej ściska kubek.

– Myślę, że jej się spodoba.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będzie mnie przez jakiś czas. Jeśli będziesz chciała wyjść wcześniej, Marshall odwiezie cię do domu, dobrze?

Sofia patrzy pod nogi.

– Dobrze.

Mrugam do niej jednym okiem.

– Jesteś najlepsza, Sofia. Życz mi szczęścia.

Jednak nie robi tego, kiedy odchodzę...

Jessica Taylor wita mnie uściskiem. Jenny patrzy nieufnie. Podaję jej różę.

– Pokój?

Jej poważna mina nieco topnieje, kąćki różowych ust unoszą się niechętnie.

– Dziękuję.

Jessica się śmieje.

– Boże, chciałabym się tak przyjaźnić ze swoim byłym. On nie może się zdobyć nawet na to, by dać mi trutkę na szczury. – Kręci głową. – Ale wy zawsze byliście cudną parą. Pamiętacie mecz w trzeciej klasie, kiedy Stanton wykonał zwycięskie przyłożenie? I przebiegł całe boisko prosto do ciebie, Jenn? Wziął cię w ramiona i pocałował na oczach całej szkoły, to była scena jakby żywcem wyjęta z komedii romantycznych.

W oczach Jenny pojawia się ciepło, więc wiem, że to sobie przypomina, podobnie jak ja.

Spóźniłem się, przyjeżdżając po nią i się pokłóciliśmy. Od słowa do słowa i do czasu, kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zarzekała się, że już nigdy się do mnie nie odezwie. Moje romantyczne zachowanie stopiło jej upór, przez co noc spędziła ze mną na tylnej kanapie furgonetki, mówiąc jedynie: „tak”, „jeszcze”, „szybciej”.

Jessica idzie napełnić kubek, a ja nie przestaję patrzeć Jenny w oczy.

– JD wyzdrowiał?

Prycha.

– Jakby cię to obchodziło, ale tak, wyzdrowiał. Carter przywiózł mu do domu jakieś ziołowe okłady, które wyciągnęły resztę opuchlizny. Jest teraz w przyczepie, z opatrunkiem na twarzy.

Mój uśmiech staje się nerwowy.

– Podziękuję Carterowi. – Przysuwam się do niej. – Może moglibyśmy...

Urywam w pół zdania.

Za nami, na patio, słyszę gwizdy, pokrzykiwania i awanturę. Obracam się, by zobaczyć,

co się dzieje – i widzę, że ktoś zaczepia Sofię. To czterech gnojków, których nigdy wcześniej nie widziałem i nie znam ich nazwisk, ale z chęcią zobaczyłbym je wyryte na nagrobkach.

Jeden z nich łapie ją za tyłek.

Mówi się, że kiedy człowieka zalewa złość, czerwona mgła zasłania mu oczy. Nigdy nie sądziłem, że to prawda – ale właśnie się to dzieje. Mrużę oczy i czerwień zasnuwa mi obraz. Nie pamiętam, jak odchodzę od Jenny, nie kojarzę przemierzenia ogródka. Następną rzeczą, którą rejestruję, jest moja dłoń ściskająca szyję tego fiuta i uderzanie jego głową o ścianę przyczepy brata.

– Dotknij jej jeszcze raz, a wyrwę ci tę pieprzoną rękę i wsadzę głęboko w dupę.

Gnojek chwytą za moją dłoń, starając się rozewrzeć palce – ale jeszcze bardziej je zaciskam.

Obok mnie pojawia się Carter.

– Spokojnie Stanton, jesteście pacyfistami. Musisz się uspokoić, bracie.

Kiedy twarz tego śmiecia przybiera ładny, siny kolor, uwalniam go. Trzyma się za szyję, kaszle i dyszy. Warczę do brata:

– Nie mów mi, że mam się uspokoić. Lepiej powiedz swojemu koleźce, by uważał, gdzie wkłada swoje pieprzone łapy.

Opieram dłoń na piersi gnoja i dla przypomnienia uderzeniem przyciskam go do ściany.

Puszczam, obejmuję Sofię i odprowadzam ją z dala od tego miejsca. Jej oczy błyszczą, kiedy na mnie patrzy.

– Wiesz, że mogłam sama sobie poradzić?

– Wiem. Jednak nie powinnaś.

Przez resztę wieczoru nie odchodzę od niej nawet na krok.

O pierwszej w nocy impreza nadal trwa. Sofia, wesoło podpita, siedzi obok mnie na krześle ogrodowym, uczy Sadie portugalskich przekleństw. Po jakichś sześciu czy siedmiu drinkach Jacka z colą sam jestem nieźle wstawiony. Carter pojawia się z boku przyczepy i woła mnie, bym się pospieszył. Wyciągam rękę do Sofii i idziemy za nim. Brat przyciska palec do ust i ruchem głowy wskazuje na moją furgonetkę.

Furgonetkę, której szyby są zaparowane jak okna samochodu na *Titanicu*.

Carter idzie z jednej strony, a ja z drugiej. Uderzamy w szyby, krzycząc:

– Policja! Otwierać!

Carter pociąga za klamkę w drzwiach, po czym wzdycha i woła:

– Widzę steka, widzę zupę i Marshalla gołą dupę!

Zanosimy się śmiechem niczym hieny, kiedy nasz młodszy brat wyskakuje z samochodu w rozpiętych jeansach i kapeluszu, przeklinając dzień, w którym się urodziliśmy. Czerwona na twarzy blondynka drepcze mu po piętach, po czym, ku rozczarowaniu Marshalla, znika w grupce koleżanek.

– Jesteście beznadziejni! – krzywi się Marshall.

Nieco później siedzimy przy ognisku – ja, Carter, Marshall, Jenny i JD. Carter zaciąga się jointem, po czym podaje go mnie. Kręcę głową. Sofia również odmawia. Jednak Jenny bierze go w palce i pali niczym profesjonalistka.

– Wydawało mi się, czy mówiłaś, że nie jesteś już taka fajna jak kiedyś? – droczę się.

Wydmuchuje chmurkę dymu.

– W wieku dwudziestu ośmiu lat pałę z zupełnie innych powodów, niż kiedy miałam szesnaście.

JD również bierze kilka buchów.

– Dobra, słuchajcie dzieciaki, mam coś do powiedzenia – ogłasza Carter, więc wszyscy na niego spoglądają. – Kiedy Jenny i JD pobiorą się w sobotę, zostaniemy rodziną.

Nie, to się nie stanie.

Otwieram już usta, ale brat ciągnie dalej:

– Jak pszczoły w ulu i my musimy żyć w harmonii w naszej kwitnącej kolonii. A ja wyczuwam napięcie między Stantonem a JD.

JD zerka na mnie przeskłonymi oczami.

– Nie ma napięcia. Świetnie się dogadujemy ze Stantonem.

Jasne. Na moje dogadamy się jeszcze lepiej, gdy przeprowadzi się do Chin i próbując zdobyć Mount Everest... wykituje.

Jenny unosi rękę jak uczennica.

– Zgadzam się, Carter. Jest napięcie. – Klepie JD w nogę. – Kochanie, jesteś zbyt słodki, by to zauważyć.

– Musimy oczyścić się z negatywnej energii – wyjaśnia Carter. – Mam niezawodny plan przywrócenia naturalnego porządku i wzmocnienia funkcjonowania hierarchii, który szczęśliwie możemy wykorzystać.

JD drapie się po głowie.

– To sporo słów, stary. Zechcesz wytłumaczyć?

Naturalny porządek.

Hierarchia.

Może to tylko whiskey... ale brzmi jak cholernie dobry pomysł.

To na pewno była whiskey.

– Ten pomysł jest popieprzony!

Życie jest zabawne. Jednego dnia ubrani w garnitur, który kosztuje więcej, niż większość ludzi zarabia w miesiąc, imponujecie szefowi umiejętnościami i wiedzą, by tydzień później, o drugiej w nocy, pośrodku pastwiska, zbyt pijani, by stać prosto, szykujecie się do wyścigu na traktorach.

Tak, na traktorach.

To właśnie świetny pomysł Cartera. Zdrowe współzawodnictwo, niech zwycięży najlepszy i inne bzdety. Ciągniki mojego ojca kopcą chmurą przepalanej ropy, pracujące silniki dudnią niczym grom – na jednym siedzę ja, na drugim JD. Z głośników samochodu Cartera ryczy *Holding Out for a Hero* , a między nami stoi Jenny.

– Na miejsca, gotowi, jazda!

Jenny rzuca kapelusz JD w górę i startujemy. To wyścig na ćwierć mili do drzewa, następnie musimy zawrócić i dojechać z powrotem. Wciskam gaz do dechy, jednocześnie zmieniając bieg.

Słyszę, jak Jenny krzyczy:

– Skop mu tyłek, JD!

I Carter:

– Tak jest, chłopcy! Poczujcie, jak wraca równowaga, zawsze chodzi o równowagę!

Sofia zwiija dłonie w trąbkę i woła:

– Dawaj, Stanton! Zapieprzaj tym traktorem!

Śmieję się głośno i szeroko. Zerkam na JD, który również zanosi się śmiechem. To takie komiczne... ale w najlepszy sposób. Kiedy zawracam przy drzewie, postanawiam wygrać ten

wyścig. Będzie to dobry sposób na zakończenie udanego wieczoru. Zwycięstwo.

Istnieje jednak powód, dla którego nie powinno się prowadzić ciężkiego sprzętu rolniczego pod wpływem znacznej ilości alkoholu. Ten powód staje się jasny, kiedy z JD nie zostawiamy zbyt wiele miejsca na jednoczesny nawrót i zderzamy się czołowo. Przesuwam nogę w ostatniej chwili, ratując ją przed zgnieceniem, kiedy ciągniki zderzając się, szepią się razem.

– Cofnij! – krzyczę do niego, kręcąc kierownicą.

– Ty cofnij! – odpowiada.

I właśnie kiedy rozważam walnięcie go pięścią, rozlega się wystrzał z broni i niesie się echem po polu.

Instynktownie się kulę. W uszach nadal mi brzęczy, kiedy rozglądam się... i widzę ojca, ubranego w szlafrok i gumiak, trzymającego dubeltówkę.

To definitywny koniec imprezy.

– Co wyście sobie, u licha ciężkiego, myśleli?!

Cała nasza szóstka, ze spuszczoneymi głowami i zamkniętymi ustami, siedzi przy kuchennym stole.

– Sami macie dziecko i nie zachowaliście się tak, nawet kiedy byliście w ogólniaku!

Lepiej pozwolić mu się wykrzyczeć. Gdybym się odezwał, jedynie bym go wkurzył.

– Mój syn, prawnik, niszczy trawę na zimę, jak jakiś idiota, a mój drugi syn, diler narkotykowy, mu w tym pomaga! – wrzeszczy z czerwonymi od gniewu policzkami, wyglądając jak wkurzony Święty Mikołaj.

Carter postanawia się wtrącić:

– To było zadanie dla zacieśnienia więzi. Jestem uzdrowicielem, tato.

– Jesteś kretynem!

To słowa, które po raz pierwszy od dwóch lat ojciec kieruje bezpośrednio do brata.

Carter wstaje.

– Musisz się uspokoić. Stres jest cichym zabójcą. Mam zioła, które mogą ci pomóc.

– Możesz mi pomóc, wsadzając sobie mojego kalosza w dupę! – krzyczy ojciec jeszcze głośniej.

Jednak Cartera to nie zniechęca. Obejmuje ojca za szyję.

– Kocham cię, tatku. Cieszę się, że znów rozmawiamy.

Przez chwilę tata klepie syna po plecach, patrząc na niego z czułością. I wiem, że też się cieszy, mogąc znów z nim rozmawiać. Nawet w ten sposób.

Jednak po chwili odsuwa go i wraca do piorunowania nas wzrokiem.

– O świcie każdy z was dostanie grabki i nasiona, by doprowadzić moje pole do ładu, inaczej nogi wam z tyłków powyrywam!

– Tak, proszę pana – odpowiada JD.

– Tak, proszę pana – odpowiada Jenny.

– Zdecydowanie nie chcę mieć nic powyrywanego z tyłka – zgadzam się.

A ponieważ Sofia jest mądra, mówi:

– Tym bardziej nóg.

Zakrywam usta, by ojciec nie zaczął wrzeszczeć od nowa. Marshall śmieje się, stojąc za mną.

Kiedy nadarza się okazja, by odejść, otwierają się drzwi i wchodzi do środka Mary, mając na sobie to samo co wcześniej – jeansowe spodenki, czerwony top, białą kurtkę i niebieskie trampki. Oczywiście, że to ten sam strój – bo nie była w domu, by się przebrać.

Zatrzymuje się tuż za drzwiami, patrzy na naszą grupę niczym spłoszony jeleń złapany w przednie światła ciągnika.

– Co się dzieje? Ktoś umarł?

Nie, ale noc jest jeszcze młoda.

– Wróciłaś właśnie do domu? – pyta ojciec, a jego głos z każdą wypowiedaną sylabą staje się ostrzejszy.

Jej twarz jest bez wyrazu. To twarz kłamcy – kogoś, kto próbuje nie okazywać emocji ani tego, że blefuje.

– Oczywiście, że nie! – wypala. – Miałam wrócić przed północą, a jest już po. Gdybym wróciła dopiero teraz, byłoby to złe.

Jednak moja siostra nie jest dobrą aktorką i w sądzie byłaby beznadziejnym świadkiem, chociaż tata, jak każdy ojciec w stosunku do najmłodszego dziecka, w dodatku do jedynej córki – jest ślepy. A może jest już za stary, by się użerać.

– To gdzie, u diabła, byłaś? – pyta, odchylając się na krześle.

Mary przez chwilę patrzy na mnie wilkiem, po czym wyznaje bez zająknięcia:

– Nie mogłam spać. Ubrałam się i... poszłam na spacer.

Czule całuje ojca w policzek.

– Powinieneś się już położyć, tatku. Jesteś trochę rozpalony.

Ojciec klepie ją po głowie, po czym wstaje i wchodzi schodami na górę, mamrocząc pod nosem, że kiedyś przyczynimy się do jego śmierci.

Jestem gotów, by nie komentować tematu – cholera, sam nie jestem święty, jeśli chodzi o punktualne powroty do domu – ale w tej samej chwili moja siostrzyczka wyjmuje z lodówki sok i zdejmuje kurtkę – ujawniając kilka soczystych malinek na szyi i dekolcie.

Marshall wyjmuje mi słowa z ust:

– Co to, do cholery, jest?

Mary niemal upuszcza szklankę.

– Co? Co jest co?

Stajemy obok niej we trzech, Carter, Marshall i ja.

– To! – Wskazuję ślady. – Odkurzacz się na ciebie rzucił czy co?

Patrzy w dół.

– O. – I znów kłamie, chociaż nie potrafi: – Podrapałam się w krzakach.

Carter przysuwa się i przygląda się jej szyi.

– To są malinki, dziewczusko. Świeże. Kto śmiał się przyssać do szyi mojej siostry?

– Wolę nie mówić – odpowiada, po czym zaciska usta.

– W dupie mam, co wolisz – mówię. – Powiesz i to natychmiast.

Sofia wstaje.

– Czekaście.

Unoszę rękę.

– Usiądź, Sofia. To męska sprawa, nie zrozumiesz.

Kiedy tylko te słowa opuszczają moje usta, uświadamiam sobie, że nie były najważniejsze.

Sofia wytrzeszcza oczy, po czym je mruży. Krzyżuje ręce na piersi i podchodzi do nas. Wygląda, jakby była w sądzie, uruchamia tryb adwokata – i jest seksowna jak cholera.

– Przepraszam – mówi, ale nie brzmi, jakby było jej przykro. – Czy ty właśnie powiedziałeś, że to męska sprawa?

– Nie zaciągam tak.

– Cóż, dla mnie tak brzmi neandertalczyk. Czekam, aż zaczniesz powarkiwać, uderzysz

się w pierś i będziesz pocierać o siebie patyki. A może odkryłeś już ogień?

– Soph...

Teraz to ona unosi dłoń.

– Nie sofioj mi tutaj. Jakoś Marshalla nie pytacie o imię dziewczyny, z którą zabawiał się dzisiaj w twojej furgonetce, ze spodniami przy kostkach!

Mary wciąga gwałtownie powietrze.

– Z kim byłeś, Marshall?

Chłopak odsuwa się o krok.

– Wolę nie mówić.

Mary patrzy na Jenny, która informuje:

– Z Normą-Jean Forrester.

– Wiedziałam! – piszczy Mary, po czym uderza Marshalla w ramię. – Ona jest puszczalska!

– Jest! – zgadza się Jenny. – Cała jej rodzina taka jest.

Unoszę ręce.

– Proszę, skupmy się. – Patrzę na Sofię. – Powodem, dla którego nie przesłuchujemy Marshalla, jest to, że panna Norma-Jean Puszczalska nie zostawiła mu żadnych malinek.

Sofia kiwa głową.

– To z malinkami masz problem?

Nie bardzo, ale to brzmi lepiej, niż to, że jestem wściekły na myśl o siostrze robiącej dokładnie to, co mój brat, a co w jego przypadku mnie nie obchodzi.

– Tak.

Nie bez powodu Sofia jest cenioną adwokatką. Potrafi przejrzeć ściemę.

– Jesteś pewien? – Uśmiecha się.

– Tak, wysoki sędzie, taka jest moja ostateczna odpowiedź.

– Rozumiem. – Łapie się za kołnierzyk i ciągnie materiał w dół. – Zatem domyślam się, że z tymi też masz poważny problem, co?

Cztery – nie pięć – blednących malinek i dwa ślady po zębach znaczą nieskazitelną skórę Sofii. Ich widok sprawia, że krew natychmiast odpływa mi do krocza.

– Rany! – jęczy siostra. – W tym Waszyngtonie zmieniłeś się w wampira?

Jenny dodaje swoje trzy grosze, śmiejąc się:

– Na miłość boską, Stanton!

Powinno mi przeszkadzać, że Jenny nie jest zmartwiona widokiem dowodu obciążającego moje sumienie. Jednak... tak nie jest.

Wskazuję palcem na malinki Sofii.

– To co innego!

– Dlaczego? – pyta Sofia, a w jej wspaniałych oczach błyszczy ekscytacja zwycięstwa.

– Bo ty nie jesteś moją siostrą.

– Ale jest czyjaś siostrą – zauważa Mary.

Nie odrywając ode mnie wzroku, Sofia unosi trzy palce.

– Widzisz, ma troje rodzeństwa – ciągnie Mary. – Jest trzykrotnie czyjaś siostrą!

– A mój starszy brat mógłby ci skopać tyłek i nawet by się nie spocił. – Krzyżuje ręce i chodzi, jakby podsumowywała sprawę. – Tak więc, panie Shaw, wydaje się, że jesteśmy w impasie. Może pan pozwolić siostrze wrócić do swojego pokoju bez dalszego naciskania na ujawnienie imienia albo... wraz z obecnymi tu kobietami przejdziemy do sąsiedniego pomieszczenia, by wykonać zdjęcie moich malinek i wysłać je moim braciom. Zobaczymy, czy zgodzą się z pana twierdzeniem, że to męska rzecz.

Przez chwilę zapominam, że nie jesteśmy z Sofią sami.

– Uwielbiam, kiedy bawisz się ze mną w prawnika.

Sofia odwzajemnia mój uśmiech.

Wzdycham i przewracam oczami.

– Idź spać, Mary.

– Tak! – Siostra przybija z Sofią piątkę, kiedy ją mija. – Rządzisz, dziewczyno!

Marshall mówi, że też idzie do łóżka, po czym znika za Mary na schodach.

Carter ziewa.

– Jestem skonany. Kanapa mnie wzywa. – Przechodzi przez kuchnię, zdejmując przy tym ubranie. Nim wychodzi z pokoju, widzimy jego blady tyłek.

Przecieram oczy, by wymazać ten obraz, ponieważ sam jestem wyczerpany.

– Hej, Stanton? – pyta JD. – Ponieważ wszyscy mamy wstać za... – Sprawdza zegarek. – ...dwie godziny, by grabić pole, nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zostaniemy tu z Jenny?

Bez namysłu wzruszam ramionami.

– Nie.

We czwórkę idziemy do stodoły. Jenny i JD zostają w starym pokoju Cartera, ja z Sofią łądujemy pod moją kołdrą.

Kobieta szepcze:

– To dziwne, prawda? Nie przeszkadza ci, że oni tam są... razem? – Wskazuje na drzwi łazienki łączącej nasze pokoje.

I znowu – pewnie powinno. Powinienem chcieć urwać Parówce łeb. Udusić go poduszką. Wyrzucić go przez okno i przyglądać się, jak spada dwie kondygnacje, modląc się, by wylądował na głowie.

Ale tylko przytulam się do Sofii.

– Jestem zbyt zmęczony, by mnie to obchodziło.

Stanton

Marshall wykręcił się z grabienia pola, bo musiał iść do szkoły. Reszta z nas, to znaczy Sofia, ja, Carter, Jenny i JD nie miała tyle szczęścia. Zjedliśmy wspólnie śniadanie, po czym rano spędziliśmy na babraniu się w błocie i sianiu nowej trawy, by ojciec nie musiał wrywać nam nóg z tyłków. Później jednak, po długim prysznicu, zaczęło budować się napięcie. Pod wieczór czułem się, jakby naciskał na mnie ogromny ciężar, ponieważ tak niewiele czasu pozostało do soboty.

Zatem musiałem wziąć sprawy w swoje ręce.

– Aua! – Gałąź uderza mnie w czoło, drapiąc do krwi. – Cholera! – Cienka, pokryta brązowymi liśćmi gałązka smaga mnie w twarz. – Niech to jasny szlag trafi! – Znow uderzam głową o gruby konar.

Dlaczego to było łatwiejsze, kiedy miałem siedemnaście lat? Może hormony sprawiły, że byłem odporny na ból. W końcu udaje mi się dotrzeć na górę – sięgnąć po złoto, wygrać puchar.

Jestem pod oknem sypialni Jenny.

Jest uchylone, jak zawsze. Odsuwam je szerzej i układam ręce na jego krawędzi, by się przez nie przecisnąć.

– Cholera jasna i wszyscy święci! – piszczy Jenny siedząca w fotelu, ubrana jedynie w różową, satynową koszulkę nocną. – Śmiertelnie mnie wystraszyłeś.

– Tymi samymi ustami całujesz Bunię? – mruczę. – To wiele wyjaśnia. – Kiedy nadal siedzi z założonymi rękami, marszczę brwi. – Nie pomożesz mi nawet? Dość chłodne przywitanie, Jenn.

Przewraca oczami i wzdycha głęboko, ale wstaje i pomaga mi wejść.

Potykam się i chwytam ją za biodra, by złapać równowagę i byśmy nie upadli – zamieramy, kiedy uświadamiamy sobie, że nasze twarze dzielą milimetry, a nasze oddechy się mieszają.

Jenny jednak mruga i się odsuwa.

– Nie możesz tu być, Stanton.

Ignoruję ją i zerkam na jej łóżko.

– Gdzie Presley?

– Zasnęła na dole na kanapie. Miałam ją właśnie przynieść.

I wtedy mój wzrok pada na ścianę za plecami Jenny, gdzie wisi biała sukienka. Wszystkie kości w moim ciele stają się galaretką, trzymaną w kupie jedynie przez ścięgna.

– To ona? – szepczę.

– Tak – odpowiada Jenny bardzo cicho. – To moja sukienka ślubna. Ładna?

Wyobrażam ją sobie, ubraną w tę suknię. Delikatna koronka, haftowane kwiaty owinięte

wokół ciała, które tak dobrze znam. Ładna nie jest odpowiednim słowem.

– Piękna.

Przypominam sobie jednak, że ubierze się w nią dla kogoś innego – i serce ściska mi się tak mocno, jakby miało pęknąć.

– Nie chcę cię krzywdzić, Stanton.

Obracam się do niej – zdesperowany.

– Więc tego nie rób. Porozmawiaj ze mną, wysłuchaj mnie.

– Rozmawialiśmy już! To ty nie chciałeś słuchać! – mówi ze smutkiem. – Jesteś uparty, zatrzymałeś się na tym, co według ciebie słuszne, i nie widzisz tego, co masz przed oczami.

Siadam na skraju łóżka, sfrustrowany, palcami przeczesuję włosy.

– Mówisz jak Carter.

Zauważam pudełka ułożone obok moich stóp, opakowane wstążkami.

– Co to?

– Prezenty od dziewczyn z klubu.

Dostrzegam kawałek materiału wystający z najbliższego pudełka. Jest czarny... to skóra?

Wyciągam tę rzecz, która okazuje się być czarnymi skórzanymi kajdankami ze srebrnymi klamerkami. W zestawie jest również skórzany pejcz.

Co u licha?

– Stanton, nie...

Ale nadal patrzę. Opaska na oczy, gumowa zatyczka do ust, szpicruta z pewnością nieprzeznaczona do jazdy konnej, pierścień na penisa i szeroki wachlarz sztucznych członków – fioletowe, niebieskie, szklane i największy z nich, wibrator na baterie.

Kiedy odzyskuję mowę, pytam:

– Do jakiego pieprzonego klubu ty należysz?

Ze szkarłatnymi policzkami, wyjmuję z moich rąk ogromny wibrator i wzdycha.

– Mówiłam ci, że są aspekty, w których JD zna mnie lepiej niż ty.

– Jego też kręcą te rzeczy?

Przytakuje.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

Nie patrzy mi w oczy.

– Nie wiem. Ty powiedziałaś mi o wszystkim, co ostatnio cię kręci?

Seks, który uprawialiśmy z Jenn zawsze był wspaniały, jednak jest znajomy, praktyczny.

Pytanie, czy chciałyby się kochać ostro, sprawianie, by błagała o orgazm, posuwanie jej na biurku bez ściągania wszystkich ciuchów tylko dlatego, że tak jest zabawniej, nigdy nie przyszło mi do głowy.

– Nie, chyba nie. Sądziłem, że dostanę w twarz, gdybym to zrobił.

– Co byś zrobił, gdybym ci o tym powiedziała?

Biorę od niej wibrator i z uznaniem obracam w dłoniach.

– Zapytałbym... czy masz już do niego baterie.

Ze śmiechem odkłada sztucznego fiuta do pudełka i opiera głowę na mojej piersi.

– Kocham cię.

Jej słowa sprawiają, że poważnieję.

– Więc tego nie rób.

Uśmiecha się smutno.

– Jest wiele rodzajów miłości, Stanton. Nasza jest najlepszą z więzi, taką, która będzie trwała całe życie. Ale to nie jest rodzaj miłości dobrej do małżeństwa.

– To nieprawda. – Obejmuję jej twarz. – Jestem w tobie zakochany, Jenny.

Jej oczy są suche, jednak łyzy słyhać w jej głosie.

– Nie, nie jesteś. To tylko echo. Tego, kim byłeś, złożonych obietnic, wielkiej pasji, która istniała między nami. Jednak echo nie jest prawdziwe, nie można budować na nim życia. To tylko wspomnienie dźwięku.

Gładzę kciukiem jej policzek, słysząc te słowa, lecz nie rozumiejąc ich sensu.

– Żałuję... żałuję, że kiedy ostatnio cię całowałem, nie wiedziałem, że był to ostatni raz. – Przesuwam opuszką palca po jej wargach. – Staralby się lepiej zapamiętać. Pozwól mi się pocałować, Jenn. Daj nam tę możliwość. Później, jeśli nadal będziesz chciała za niego wyjść, przysięgam, że odsunę się w cień.

Widzę to w jej oczach. Pożądanie. Może również żałuje, że nie zapamiętała tego ostatniego pocałunku. Patrzy na moje usta i kładzie dłoń na mojej twarzy. Przysuwam się – dając jej czas na odmowę.

Jednak nie odmawia.

Nasze usta się stykają, ocierają o siebie i pieszczą. Jenny wymyka się cichy jęk, więc przyciągam ją do siebie. Poruszam wargami, czując, że smakuje dokładnie tak samo – jak zapamiętałem – słodkimi, letnimi czereśniami.

Czekam na uczucie, które zawsze nadchodzi – to niezaprzeczalne przyciąganie, przez które chcę ją wszędzie dotykać, najlepiej jednocześnie. Czekam na to uczucie nieskazitelnej perfekcji, ponieważ jestem dokładnie tu, gdzie powinienem być, a kobieta w moich ramionach jest wszystkim, o co mógłbym prosić.

Problemem jest jednak to... że to uczucie nie nadchodzi.

Serce nie łomocze mi w piersi, ręce nie drżą z chęci pieszczot. Jest tylko... Właściwie nie ma nic. To znaczy, znajduję się w ciemnym pokoju, całując piękną kobietę – więc coś jednak jest. Ale to nie to, co być powinno – nie ma czułości, ekscytacji, nie ma w tym mocy lub uniesienia.

To nic w porównaniu do całowania...

O cholera.

Przypominam sobie bajkę, którą czytałem Presley, gdy była mała. Tę, w której pocałunek przełamywał zaklęcie. Znosił klątwę.

Otwieram oczy.

Powoli odsuwamy się od siebie i patrzymy sobie w oczy.

– Też to czujesz, prawda? – pyta.

– Co czuję?

– Jakbyś próbował wcisnąć kawałek układanki w niepasujące miejsce... jakby czegoś brakowało. Czujesz to, prawda?

Zszokowany, w końcu przyznaję szeptem – sobie i jej:

– Tak. Dokładnie tak. – Kładę rękę na jej ramieniu. – Jenny...

Nagle zatyka usta dłonią, na jej twarzy pojawia się żal i wyrzuty sumienia.

– O Boże! Co ja zrobiłam?

– Jenn...

Wstaje i zaczyna chodzić po pokoju, przerażona wyrzuca z siebie słowa:

– O mój Boże! Pocałowałam cię! Na trzy dni przed ślubem! Na trzy dni przed tym, jak stanę przed Bogiem i rodziną, i przyrzeknę wierność innemu mężczyźnie! Mężczyźnie, który mnie kocha i szanuje! O mój Boże!

– Uspokój się! Wszystko w porządku. My nie...

Odwraca się do mnie niczym żmija.

– Nie każ mi się uspokajać! JD zawsze cię podziwiał. Byłeś dla niego legendą. Zawsze

martwił się, czy zdołam go pokochać tak, jak kochałam ciebie. Nigdy nie sądził, że mógłby się z tobą mierzyć...

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu satysfakcji rozciągającego mi usta.

– Serio?

Wskazuje na mnie palcem i podnosi głos:

– Wymaż ten uśmiech z twarzy, bo ci go zetrę!

Mój uśmiech natychmiast blednie w popłochu.

– Jak mam mu o tym powiedzieć? Jak mam mu wyjaśnić, by nie czuł się...

Wstaję i blokuję jej drogę.

– Zostawmy to między nami. Nie musisz mu nic mówić.

– Tak, muszę! – jęczy. – Sekrety są trucizną. Pożrą duszę naszego związku.

– Do licha ciężkiego, Jenn, naprawdę musisz przestać spędzać czas z moim bratem.

Ponownie wskazuje na mnie palcem, odsyłając mnie z powrotem pod okno.

– To wszystko twoja wina! Użyłeś podstępu!

– Nie używałem żadnego podstępu!

– Bunia ma co do ciebie rację, jesteś diabłem! – Chwyta pierwszą rzecz, którą ma pod ręką, a która okazuje się gumową zatyczką do ust, i rzuca nią we mnie. – Precz stąd, szatanie! – Niebieski, sztuczny członek jest następnym. I kajdanki.

Zasłaniam się dłońmi, kiedy cały arsenał seks zabawek ląduje na mnie po kolei. Wielkim wibratorem dostaję jednak prosto w czoło.

Na pewno zostanie ślad.

– Na ciebie trzeba wody święconej!

Odwracam się i gramolę przez okno. Spieszę się, jak tylko mogę, by zejść z drzewa, jednak gdzieś w połowie ześlizguje mi się stopa – i spadam na ziemię.

– Auaaa!

Ląduje na plecach – z pewnością odbijając sobie nerki.

Dysząc z bólu, słyszę, jak Jenny zatrzaskuje za mną okno, więc gapię się w niebo. Czarne jak atrament, usiane jest jasnymi gwiazdkami mrugającymi na mnie z góry – niczym miliony drwiących oczu.

Nakrywam twarz ramieniem. Nie poszło, jak planowałem. Często się to ostatnio zdarza.

Uświadamiam sobie jednak coś istotnego. Zmieniającego życie.

Jestem zakochany. Jednak nie w Jenny Monroe.

Moja pierwsza myśl, kiedy to do mnie dociera to: *Ja pierdolę!*

Druga: *Drew Evans będzie miał ze mnie niezły ubaw.*

Nie spiesząc się, wracam do domu moich rodziców, starając się to wszystko przemyśleć. Brat powiedziałby mi, że powinienem pomedytować, i po raz pierwszy odkąd się zmienił, rozważam, czy przypadkiem nie miałby racji. Emocje niczym gałęzie płynące strumieniem przepływają przeze mnie zbyt szybko, by je powstrzymać.

Powoli otwieram drzwi do pokoju Sofii i w słabym świetle księżycy przyglądam się jej postaci. Leży na boku, naga skóra jej pleców aż błyszczy.

Serce wypełnia mi czułość, słodycz ulgi – czuję się, jakbym wrócił do domu. Zmuszam umysł, by się uspokoił, odpycham od siebie ten szalony zamęt i rozbieram się do naga. Wchodzę do łóżka, zdeterminowany, by skupić się na tej chwili. Tym prostym fakcie przebywania tu i teraz. Z nią.

Zanim jednak mogę jej dotknąć, zaskakuje mnie, obracając się do mnie.

- Jak poszło z Jenny? – pyta.
- Odsuwam jej ciemne włosy z twarzy.
- To było... pouczające doświadczenie.
- Co masz na myśli?

Szczerze? Nie mam pojęcia. Tak długo myślałem, że Jenny Monroe jest moim przeznaczeniem. Byłem tego pewien tak, jak tego, że słońce wschodzi na wschodzie. Jednak zdałem sobie sprawę, że nic nie jest pewne i że tak właściwie jest mi z tym dobrze, bo mam kogoś innego na oku.

Zastanawiam się, czy tak właśnie czuli się ludzie, odkrywając, że ziemia nie jest płaska. To całkowita zmiana postrzegania – jakbym widział zupełnie nowy świat – i swoje w nim miejsce.

Moje myśli o Sofii wskoczyły na zupełnie nowy poziom. To, co do niej czuję, wykracza daleko poza podziw dla jej cudownych cycków i wysokiej inteligencji. To coś głębszego. Wiem to teraz – nie wiem jedynie, co powinienem z tym zrobić. *Uwierz mi, jeśli jej powiem? Istnieje jakakolwiek szansa, że czuje to samo?*

Nie zamierzam jednak nic robić, bo przecież jadąc samochodem i próbując zbyt szybko zmieniać biegi, można spowodować zgrzyt i ewentualną awarię auta.

Kiedy ma się wątpliwości, lepiej poczekać.

- Nie chcę o tym mówić.

Spina się, jakby zmagająca się z jakimś problemem, ale po chwili odwraca się na plecy i zaczyna narzekać:

- Cholernie tu gorąco, dosłownie się roztopiam. – Ociera pot z czoła.

Uśmiecham się.

– Babcia zwykła mawiać, że Missisipi jest blisko Boga. Minusem jest to, że jest również blisko słońca, więc dlatego jest tu tak cholernie gorąco.

Sofia chichocze. Wygina plecy i obraca głowę, próbując poczuć komfort.

- Nigdy tu nie zasnę.

Wtedy wpadam na najbardziej genialny pomysł w życiu.

- Chodź, chcę ci coś pokazać.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne?

– Całkowicie. – Testuję linę, sprawdzając, czy wytrzyma. Skrzypi jak stary dom, ale trzyma. – Widzisz?

Jesteśmy przy wodospadzie Sunshine – kilka kilometrów od miejsca, które było moje i Jenny – gdzie wszyscy pływają. Tak naprawdę nie jest to wodospad, raczej metrowej wysokości ustęp skalny, z którego spływa chłodna, jasna woda. Jednak... nazywany jest wodospadem. Najlepszą częścią są grube, stare drzewa rosnące przy brzegu, których gałęzie zwisają nisko nad wodą, przez co przywiązana do nich lina tworzy najlepszą na świecie huśtawkę. Do tej konkretnej, zamiast węzła na końcu przywiązana została stara kierownica od roweru, która pomaga zacisnąć dłonie.

- Musisz jedynie pamiętać, by się puścić.

Kiwa głową, wyężając wzrok.

- Puścić, rozumiem.

– Musisz to zrobić nad wodą. Jeśli tego nie zrobisz, wrócisz w tył i uderzysz w pień... Co będzie cholernie zabawne i nigdy ci tego nie odpuszczę. Ale też będzie bolało jak sukinsyn. Nie denerwuj się.

- Nie denerwuję się, to ty mnie denerwujesz. – Sofia przestępuje z nogi na nogę, a jej

wspaniałe piersi podskakują pod niewielkim czerwonym staniczkiem bikini.

Oblizuję wargi. Tak łatwo byłoby pochylić się i zassać jej sterczące, kuszące sutki przez materiał biustonosza. A to, co mógłbym z nią robić przy pomocy tej liny i kierownicy...

Zamykam oczy, jęcząc, kiedy mi staje i naciska na materiał kąpielówek, wywołując lekki ból. Jednak ignoruję to, ponieważ czas popływać. Sofia jest seksowna. *Tak bardzo seksowna.*

Pływanie, pływanie, pieprzone pływanie.

– Pójdę pierwszy. – Chwytam kierownicę i swobodnie huśtam się nad wodą. Kiedy lina się napręża, sekundę przed tym, zanim zaczniesz się cofać, puszczam kierownicę i ląduję z pluskiem w wodzie, wykonując przy tym doskonale salto w tył. Wynurzam się i wzdycham z ulgą. Chłodna woda jest cudowna na mojej rozgrzanej skórze.

Mrużąc w mroku oczy, widzę Sofię stojącą na brzegu.

– Chodź! Jest super.

Sofia chwyta kierownicę i huśta się w moją stronę. Krzyczę:

– Puszczaj!

Więc rozkłada ręce i na bombę wpada do rzeki.

Wynurza się ze śmiechem, lekko się krztusząc. Jej skóra jest śliska i lśniąca, jej mokre włosy długie i ciężkie.

– Nadal mam na sobie stanik? – Sprawdza sznurki wokół szyi.

– Niestety tak.

Na jej twarzy maluje się ekstaza, wygląda niczym mała dziewczynka, która pierwszy raz w życiu widzi ocean.

– Chcę jeszcze raz!

Jakiś czas później Sofia leży na brzegu na plecach, pluskając stopą w wodzie.

– To jeden z twoich najlepszych pomysłów – mówi i wzdycha.

Przeglądam się jej, stojąc na płyciźnie, woda opływa mi biodra. Mój głos jest ochryply – niemal nie do poznania:

– Myślę, że mam kilka lepszych.

Przesuwa głowę i patrzy mi w oczy. I tak po prostu jej oddech przyspiesza. Jej pierś unosi się i opada nieco gwałtowniej. Na szyi widać szybszy puls.

– Chodź tu do mnie.

Patrząc mi w twarz, wślizguje się do wody i podchodzi. Kiedy jest ode mnie na wyciągnięcie ręki, biorę głęboki wdech.

– Mówiłaś żadnego seksu, kiedy będziemy tutaj, ale tak bardzo cię pragnę, tak bardzo chcę posmakować.

Rozmyślając nad tym, patrzy na moje usta. Mimowolnie się uśmiecham.

Najwyraźniej mój uśmiech ją przekonuje, ponieważ chwilę później przyciąga mnie do siebie i mruczy:

– Pieprzyć to.

– Och, złotko, taki mam zamiar.

W momencie, w którym nasze wargi się stykają, a nasze języki zaczynają się poruszać, jęczę. Czuję się, jakbym nie robił tego przez wieczność. Sofia chwyta mnie za ramię, wbija paznokcie w biceps, jednocześnie językiem penetrując moje usta.

Ciągnę za sznureczki jej bikini, uwalniając spod niego miękkie, piękne ciało. Jednym płynnym ruchem kieruję jej nogi tak, by objęły mnie w pasie, unoszę jej ciało i pochylam głowę. Moje wargi natychmiast są na jej skórze, zasysam jej napięty sutek, głaszczę go językiem, smakując jej pierś wraz z kropelkami wody. Chryste, mógłbym to robić godzinami.

Uderza we mnie uczucie, oślepiające i sprzeczne.

Nie czułem się tak, gdy wcześniej całowałem Jenny. Istnieje we mnie wewnętrzne pragnienie, niewytłumaczalna potrzeba, by spędzić godziny, a nawet dni z kobietą, którą trzymam w ramionach, nie chcąc, by ta chwila kiedykolwiek się skończyła. Tak bardzo potrzebuję wspiać się z nią na szczyt, że mój fiut pulsuje bólem, ponieważ chciałby być w niej przez całą noc.

Mam całkowicie przepieprzone. Jednak w tej scenie nie ma nic, co chciałbym zmienić.

Sofia wije się w moich ramionach i jęczy. Porusza biodrami, pocierając łonem o mój brzuch, wplata palce w moje włosy i ciągnie je.

Niespiesznie zajmuję się jej cyckami. Jedną ręką podtrzymuję ją za plecy, drugą masuję jej pierś, szczypię sutek, aż zaczyna dyszeć.

Nie jest tak cierpliwa jak ja.

– Stanton, proszę – nalega, pocierając podbródkiem o czubek mojej głowy. – O rany, potrzebuję, byś mnie pieprzył.

Językiem muskam malinki na jej dekolcie, po czym ssę skórę, odnawiając ślady.

– Jeszcze nie.

Prostuje nogi i zsuwa się po mnie. Penis odczuwa to boleśnie, przez co biodra mimowolnie wypychają się w przód, w poszukiwaniu tego tarcia.

Sofia bierze sprawy w swoje ręce.

Dosłownie.

Całuję ją w usta, skubię dolną wargę zębami, jednocześnie obserwując, jak wkłada rękę pod wodę, w majteczki swojego stroju kąpielowego.

O, kurwa.

Jej jęk staje się głębszy, bardziej dziki. Wolną ręką przesuwam po moich plecach, po czym wkłada mi ją w spodenki i chwytam za tyłek. Przyciąga mnie do siebie tam, gdzie najbardziej mnie potrzebuje.

Unoszę ją i suniemy na brzeg. Kładę ją i sam układam się na niej, nasze nagie piersi ocierają się o siebie. Ściąga swoje majteczki, pomagam je zdjąć, po czym uwalniam się z krępujących spodenek. Rozszerza nogi, gdy układam się między nimi. Biorę członek do ręki i pocieram jego główką o jej fałdki, czując żar, pragnąc wejść i posuwać ją, aż oboje stracimy oddech.

Jezu, nigdy się tak nie czułem. Mam tak wielką potrzebę. Jestem tak zdesperowany.

Wchodzę w nią – samą żołądź – a jej mięśnie zaciskają się wokół mnie chciwie. Jest taka ciepła... śliska, miękka. Za ciepła.

Patrzę jej w oczy.

– Nie mam nic na sobie, Sofia.

Całe pudełko gotowych do użycia gumek leży sobie wesoło w domu. Cholera.

Kręci głową, po czym mówi niemal bez tchu:

– Nieważne.

Robię się twardszy na samą myśl o zaliczeniu jej bez ochrony. Sprośne, dekadenskie obrazy migają mi przed oczami, podpowiadając, że to nieistotne. Wzywają mnie do wepchnięcia się w nią i pieprzenia.

Przeciągam lekko paznokciami po jej udzie.

– Wyciągnę – dyszę, obiecując. – Chcę widzieć na tobie moje nasienie. – Przesuwam dłonią po jej brzuchu i piersiach. – Tutaj. Błyszczące na twojej doskonałej skórze.

Jęczy, przytakując, przyciągając mnie do siebie. Unoszę jej nogi, co pozwala mi wejść głębiej.

Mocno się w nią wpycham – i zamieram. Rozkoszuję się uczuciem jej zaciśniętej wokół mnie, kiedy całkowicie ją wypełniam, gdy nie ma pomiędzy nami żadnej bariery. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem w kobiecie bez gumki – ale nie to czyni różnicę.

To piękne. Intensywne.

Ale tylko dlatego, że to ona.

Powoli wychodzę. Wygina plecy, pocierając o mnie wzgórkami. Więc znów w nią wchodzę, jęcząc przy tym i dysząc. Odpuszczam kontrolę, pieprzę ją bez powściągliwości, przez co zapadamy się w piasku, a jej piersi kołyszą się z każdym moim pchnięciem.

Przytrzymuję ją za ramiona, a ona ściska mi głowę, kiedy językiem plądruje mi usta. Przesuwa wargami po mojej szczęce, skubie zębami, po czym kończy, tłumiąc krzyk, z ustami tuż przy mojej skórze. Czuję jej orgazm, jak ściska mnie mocno, niemal boleśnie. To najlepszy rodzaj bólu.

Kiedy jej mięśnie się rozluźniają, znów się w niej poruszam, czując budujące się w brzuchu napięcie. Elektryczne iskry zaczynają skakać po moich udach, więc w ostatniej chwili wychodzę i klękam. Przesuwam dłoń po całej długości członka, Sofia przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek. Nakrywa moją dłoń swoimi, pomagając mi osiągnąć spełnienie.

Szum krwi wypełnia mi uszy, kiedy wylewam się na nią gorącą, lepką stróżką. Sofia jęczy wraz ze mną, kiedy mój orgazm znaczy jej piersi błyszczącymi plamami.

Opadam na nią i oboje dyszymy, walcząc o oddech. Tuli mnie do siebie, wciskam twarz w zagłębienie jej szyi i obejmuję rękami, przyciągając ją jeszcze bliżej. Pozostajemy w tej pozycji, aż słońce wygląda zza horyzontu na wschodzie.

Kiedy rodzi się całkiem nowy dzień.

Stanton

W czwartek po południu w domu rodziców siostra Jenny urządza imprezę, dla niej i JD. Jest bardziej wyszukana niż niedzielny grill, ale też nie tak ekstrawagancka jak prośzone przyjęcie. Państwo młodzi, ku niezadowoleniu Ruby, nie chcieli mieć typowych wieczorów panieńskich i kawalerskich. Ruby chyba nie mogła się doczekać, by przygotować młodszej siostrze odpowiednie pożegnanie ze stanem wolnym, wliczając w to striptizera w stroju strażaka i jazdę na mechanicznym byku. Najwyraźniej nie jest świadoma preferencji siostry – oraz tego, że ta już posiada kolekcję kajdanek, więc striptizer prawdopodobnie nie sprostaby jej oczekiwaniom.

Ponieważ jesteśmy sobie bliscy, cała moja rodzina zostaje zaproszona. Wchodzenie do domu ozdobionego ślubnymi serpentynami i balonikami powoduje niewielki zamęt w mojej głowie. Nadal nie jestem zachwycony z powodu tego, że Jenny wychodzi za mąż, ale ten pomysł nie wywołuje już we mnie zazdrości ani ataku paniki. Teraz to rozumiem – po wczorajszym wieczorze i nic nie znaczącym pocałunku widzę, że Jenny ma rację. Ze wszystkim.

Właśnie dlatego pomysł, by cokolwiek z tego wyznawała JD, nie jest dobry. Spowoduje tylko problemy. Chcę coś poradzić Jenny – jeśli tylko wysiedzi w spokoju kilka chwil, by mnie wysłuchać.

– Nie teraz, Stanton. – Wychodzi z kuchni, a ja spieszę za nią. Ma zaciśnięte usta, jej oczy są zmęczone i matowe z powodu wyrzutów sumienia. Wygląda na zestresowaną i co gorsza, na winną.

– Jenny, poświęć mi chwilę. – Jednak jest już w salonie, przedziera się przez tłum ludzi, każdy kiwa jej głową z uśmiechem, stara się nawiązać rozmowę. Niebo na zewnątrz ma kolor szarego dymu, który szybko zmienia barwę na grafitową, wszyscy są więc w domu. Kiedy Jenny wchodzi do salonu, oczy JD się rozjaśniają. Dziewczyna zatrzymuje się na chwilę, patrzy na niego z nieczytelnym dla mnie wyrazem twarzy.

– Nie mów nic, Jenn. Jeszcze nie – mówię tuż za nią.

Ruby chodzi po domu z mikrofonem, prowadząc ślubne bingo.

– Dobra, znacie datę pierwszej randki Jenny i JD? Zapiszcie na swoich kartach. – Pochyla się do drobnej, siwej pani Fletcher, która jest głucha jak pień, i wrzeszczy do mikrofonu: – Pierwsza randka, pani Fletcher!

Pani Fletcher kiwa głową, po czym zapisuje datę.

– Mam zamiar być szczerą – mówi Jenny do siebie. – Prawda cię wyzwoli.

Nie, z doświadczenia zawodowego wiem, że prawda raczej skieruje cię za kratki. To, w jaki sposób ją przedstawiś, stanowi ogromną różnicę.

Rusza w przód, nim mam szansę złapać ją za rękę.

– Tu jest moja dziewczyna – mówi JD z krzesła.

Obserwuję ją, jak z trudem przełyka ślinę, kiedy zajmuje puste miejsce obok niego. Wygląda, jakby było jej niedobrze, kiedy mówi:

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– Hej, JD – wtrącam się, próbując zapobiec katastrofie – chcesz wyjść, by porzucić?

Unosi palec, ale zmrużonymi oczami patrzy na Jenny, na jego twarzy maluje się mieszanina niepokoju i ciekawości.

– Co się stało, piękna?

– Dobra, przygotujcie się wszyscy na kolejne pytanie! – mówi Ruby do mikrofonu. Staje między krzesłami Jenny i JD. – Jenny ma zamiar coś powiedzieć.

I tak po prostu wpada pod pociąg. Wolno jadący, lecz nieuchronnie zmierzający ku katastrofie.

Ruby podaje jej mikrofon, do którego Jenny wyznaje:

– Całowałam się wczoraj ze Stantonem.

Bum!

Wszyscy zamierają – gapią się – nikt się nie rusza. Nawet stara pani Fletcher wyraźnie to słyszała.

– Ha! – szepcze z zachwytem do równie starej towarzyszki. – Wiedziałam, że ten chłopak tak łatwo nie odpuści.

Jednak moją uwagę przykuwa inny głos – sprawiający, że szpony głęboko wbijają się w moje wnętrze i skręcają je.

– Całowałaś ją wczoraj?

Te słowa wyszeptane są ze wstrętem... i niedowierzaniem. Jednak to spojrzenie Sofii niemal powala mnie z nóg. To udręka. Czysty skoncentrowany ból, którego nawet nie stara się ukryć.

Jakbym słyszał jej umysł, widział jej myśli. Przypomina sobie nasz czas spędzony nad rzeką – łączy kropki. Zakłada, że ją wykorzystałem. Skończyłem z nią to, co zacząłem z Jenn. Ma to dokładnie wypisane na twarzy.

– Soph... – Podchodzę do niej, by wyjaśnić, by zmienić jej postrzeżenie, ale odwraca się ode mnie i wychodzi z pokoju.

Kiedy publiczność nadal milczy, Ruby odchrząkuje i mówi do mikrofonu:

– Ciasto... napoje... będą serwowane na ganku, jeśli za mną pójdziecie. – Macha ręką w kierunku wyjścia.

Dom powoli pustoszeje, pozostajemy tylko ja, Jenny, JD, nasi rodzice i mój starszy brat. JD patrzy na nią brązowymi oczami, jakby nie był pewny, czy chce, by rozwinęła myśl. Nie wygląda, jakby był zły. Raczej zszokowany. Rozbity.

Jak... szczeniak, który właśnie dostał kopa.

Bierze głęboki wdech i mówi:

– Jenny... wiem, że nie jestem doskonały. Nie mam dobrej pracy, nie jestem gwiazdą na boisku, jestem zwykłym facetem. Lubię... proste rzeczy. Spokojne... jak trzymanie cię za rękę, oglądanie telewizji z tobą przy boku. Jestem tylko człowiekiem, który kocha cię mocniej, niż kochał cokolwiek innego na świecie. – Wstaje. – Ale nie będę o ciebie walczył. To nie szkoła średnia albo jakiś film... jesteśmy dorośli. Musimy zdecydować, czego chcemy. Kogo chcemy. I musi to nastąpić teraz.

Jenny wykręca sobie palce.

– Już zdecydowałam. Chce być z tobą, JD. Kocham cię.

Jej słowa wydają się go tylko denerwować. Przeczesa jej dłonią ciemne włosy, prostuje ramiona, dłonie zaciska w pięści.

– Jesteś pewna? Jakoś mi się jednak nie wydaje.
Wnioskuje, że czas się wtrącić.
– Słuchaj, JD...
– Och, zamknij się! – warczy.
– Przepraszam?
– Mam cię powyżej uszu! – Wskazuje na czubek swojej głowy. – Wszystko było dobrze, póki się nie zjawiłeś. Byłeś dupkiem w ogólniaku i jesteś nim teraz!

Chwytam się za serce.
– Jenny mówiła, że uważałaś mnie za legendę!
– Chyba za legendarnego dupka! Zawsze zachowujesz się, jakbyś był lepszy od nas, za dobrego na to miasto. Pieprzę cię!

Czuję się obrażony.
– Cóż, załóżę się, że od ciebie lepsze byłoby nawet gówno, pieprzony chłopaku od podawania wody.

JD nagle zmienia się ze szczeniaka w rottweilera. Takiego, który gryzie.
– Byłem asystentem! – Nadyma się, po czym rzuca się obok stołu w moim kierunku, chwyta mnie w pasie i obaj padamy na podłogę.

– Och, do diabła – jęczy Jenny.
Trafiam nogą w stół, stojąca na nim lampka spada i rozbija się na podłodze.
W tym momencie Carter mówi:

– W końcu! Właśnie o tym mówiłem. Oczyszczanie z negatywnej energii! Wyrzucicie ją z siebie całą, chłopcy.

Prostuję ręce, trzymając JD za pierś, próbując uzyskać przewagę.
– Myślałem, że nie chciałaś walczyć – mówię.
– Zmieniłem zdanie! – warczy, po czym wali mnie w oko.
Moja głowa odskakuje w bok. Jednak natychmiast odwracam ją ponownie i uderzam solidnym prawym sierpowym w szczękę JD, od ciosu aż bolą mnie knykcie. Kotłujemy się, chrząkamy, kopujemy i uderzamy. Kilka chwil później Wayne i mój ojciec decydują, że już wystarczy. Chwytając nas za kołnierze, ciągną w tył i rozdzielają.

Dyszając, JD strząsa uchwyt Wayne'a, ale nie rzuca się na mnie ponownie.
Patrzy na Jenny i rzuca:
– Skończyłem.
I trzaska za sobą drzwiami.

Po wyjściu JD Ruby ogłasza koniec imprezy i wysyła wszystkich do domu. Zarzeka się przy tym, że wyśle nas do Jerry'ego Springera. Dwadzieścia minut później siedzę przy kuchennym stole, trzymając paczkę mrożonego groszku przy swoim puchnącym oku. Jenny siedzi na krześle obok, podczas gdy nasza córka chodzi w kółko.

Presley zatrzymuje się tuż przede mną.
– Do rozwiązywania problemów używamy tutaj słów, a nie pięści. – Znów zaczyna chodzić, po czym patrzy na Jenny. – A ty zraniłaś uczucia JD. Musisz przeprosić.

Kiwamy jednocześnie głowami.
Bura od jedenastolatki wcale nie jest fajna.
Presley kręci głową i macha na nas palcem.
– Jestem wami rozczarowana. Macie tu siedzieć i przemyśleć swoje zachowanie. Mam nadzieję, że następnym razem podejmiecie mądrzejsze decyzje. – Odchodzi, parszkając i zostawia nas, byśmy udusili się poczuciem winy.

W ciszy Jenny przygląda się swoim paznokciom. Zawsze tak robi, kiedy się martwi, i nie trzeba być geniuszem, by domyślić się, co teraz jest tego powodem.

– Przepraszam, Jenn. Nie chciałem... – Urywam, ponieważ storpedowanie ślubu Jenny i JD jest dokładnie tym, czego chciałem. Myślałem, że będę czuł się jak zwycięzca, kiedy już do tego dojdzie.

Ale czuję się okropnie.

Kładzie dłoń na mojej nodze.

– W porządku Stanton. To nie tylko twoja wina.

Patrzę na nią i czekam.

– Dobra, to całkowicie twoja wina. Ale też miałam w tym swój udział. Gdybym powiedziała ci to już na samym początku, pozwoliła ci przyzwyczaić się do tej myśli, może nie bylibyśmy...

Frontowe drzwi stają otworem i do domu wpada powiew wiatru, niosąc ze sobą liście, kurz i Jimmy'ego Dupobrodego Deana.

Jenny wstaje, gdy mężczyzna z twardym wyrazem twarzy i zmarszczonymi brwiami wchodzi do pomieszczenia. Jednak w jego oczach gości teraz zupełnie coś innego.

Strach.

– Wróciłeś – dyszy Jenny.

– Musiałem wrócić. By upewnić się, że tobie i Presley nic nie jest. – Porywa ją w ramiona, a rottweiler zostaje zamknięty do klatki. – Nadciąga burza. – Patrzy na mnie. – Byłem blisko miasta, kiedy usłyszałem ostrzeżenia przed tornadem. Postanowiłem zawrócić, a wtedy padło radio i wygląda, jakby wiatr kierował chmury w tę stronę.

Cholera.

Tornada są dość powszechne w Missisipi. Walczymy z nimi tak jak wschodnie wybrzeże ze śnieżycami – jesteśmy do nich przygotowani, spodziewamy się ich – jednak nikt tak naprawdę nie oczekuje armagedonu, jaki pokazują w filmach.

Ostrzeżenia wskazują jednak na to, że trąba powietrzna dotknęła ziemi. Jeśli znajdziecie się na jej drodze, będziecie mieć przepieprzone po królewsku.

Nagle wszyscy podrywają się z miejsca – wnoszą meble ogrodowe do środka, zamykają okna. Nie każda farma ma schron, ale ta go posiada. Ojciec Jenny wyjmuję apteczkę spod zlewu i wszyscy zbieramy się w kuchni, by wyjść tylnymi drzwiami. Jednak kiedy się rozglądam, serce podchodzi mi do gardła i nie mogę złapać tchu.

– Gdzie jest Sofia?

Szukając jej, przechodzę przez salon. Otwieram frontowe drzwi i sprawdzam przed domem – muszę usztywnić nogi pod naporem wiatru, który wydaje się podmuchem samego Boga, próbującego mnie powalić.

– Poszła się przejść – mówi blada Ruby.

– Kiedy?! – krzyczę.

– Chwilę temu, przed walką. Wyszła tylnymi drzwiami i poszła przed siebie.

Czysta, zimna panika ścina mnie z nóg – jakbym tonął w ruchomych piaskach. Tysiąc okropnych scenariuszy przelatuje mi przez głowę. Sofia uderzona przez latające szczątki, krwawiąca, zapłakana. Sofia przygnieciona przez powalone drzewo, jej spojrzenie pozbawione życia. Sofia biegnąca, niemal docierająca do domu... po czym porwana przez wielką, szarą masę. Znikająca, jakby nigdy jej nie było.

Jej imię kołacze mi się w piersi i zaciskam zęby, by nie krzyknąć.

Muszę ją znaleźć.

Wpadam do kuchni i mówię:

– Idźcie do schronu, ja idę po Sofię.

– Tatusiu! – Presley obejmuje mnie w pasie, czuję jak drży. – Tatusiu, proszę, chodź z nami. Nie idź tam!

Jej przerażenie, jej troska o mnie tną niczym maczeta, rozdzielając na dwoje. Klękam, patrzę jej prosto w oczy i dotykam małej twarzy. Wkładam całą swoją siłę w słowa, by ją pocieszyć.

– Wróć. Przysięgam, Presley, że wróć.

Jej dolna warga drży.

Głaszczę ją po włosach, starając się uśmiechać.

– Nie możemy zostawić tam Sofii, kochanie. Pójdę po nią i razem do ciebie wrócimy. – Spoglądam na stojącą za małą Jenny, która trzyma JD za rękę. Wiem, co muszę zrobić.

Zgarniam Presley w ramiona i całuję w policzek.

– Zostaniesz z mamą i z JD. Będziesz z nimi bezpieczna.

Ściska mnie po raz ostatni, po czym odsuwam ją od siebie.

I podaję ją JD.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mógłbym oddać córkę w opiekę innemu mężczyźnie. Nigdy nie sądziłem, że taki scenariusz będzie w porządku. Jednak nie ma we mnie zazdrości, nie mam ochoty go znokautować i odebrać ją z powrotem. Jestem... wdzięczny, że nie są z Jenny same.

Matka szepcze do córki i kiwa mi głową z wdzięcznością w oczach. Niczym omen, na zewnątrz zaczyna się totalna zagłada, wytrącając nas z tej chwili. Moja mama szybko popędza wszystkich do drzwi. Kiedy JD idzie za nimi, chwytam go mocno za ramię, przekazując spojrzeniem, by zaopiekował się cenną kruszynką utrzymaną w ramionach.

– Dopilnuj, by zamknąć za sobą drzwi. Rozumiesz, co mówię?

Nie czekajcie na mnie, to właśnie mówię. Zamknijcie te cholerne drzwi i nie otwierajcie ich nawet, jeśli nadal będą na zewnątrz – niech nikt ich nie dotyka.

Kiwa głową z poważną miną.

– Tak, rozumiem, Stanton.

Obracam się i przechodzę przez salon.

– Hej, czekaj! – woła. Zerkam za siebie, a JD rzuca mi kluczyki. – Twój brat założył główniane opony w furgonetce, zakopiesz się w błocie. Weź mój wóz.

Spoglądam na kluczyki w ręce, po czym znów na niego. Kiwa głową. Więc i ja kiwam. Nie trzeba więcej.

Sofia miała rację, mówiąc, że mężczyźni są prości. W tej łatwej wymianie gestów, zgadzam się nie stawać na drodze jemu i Jenny, a on zgadza się nie dawać mi powodów, bym musiał go zabić. *Krótko i na temat.*

Spieszę do drzwi, po czym biegnę do samochodu. Dopada mnie rzeczywistość, ponieważ nie mam pojęcia, dokąd Sofia mogła pójść – i to mnie przeraża, pożera myśli i łamie serce. Posiadłość rodziny Monroe znam jak swoją własną. Jeśli wyszła tylnym wyjściem, jest spora szansa, że poszła w stronę pola kukurydzy.

No chyba że zawróciła.

– Szlag by to trafił! – wrzeszczę, uderzam dłońmi o kierownicę, starając się jechać szybko, by sprawdzić jak najwięcej terenu, nadal rozglądam się wokół, zastanawiając się, gdzie mogła się podziać. Furgonetka trzęsie się od siły wiatru, grad wielkości grochu uderza w przednią szybę. Myślę o Sofii, że jest tam sama w taką pogodę – i nie ma ochrony. Zmarzła? Jest przestraszona? Każdy mięsień w moim ciele spina się na tę myśl.

– No dalej, skarbie – syczę przez zaciśnięte zęby. – Gdzie jesteś?

Mawiają, że kiedy się umiera, życie przelatuje człowiekowi przed oczami. Nie wiem, czy to prawda, ale jestem pewien, że dzieje się tak, kiedy martwicie się o kogoś, na kim wam zależy... kogo kochacie... strach staje się tak intensywny, paraliżujący, aż wszystko inne przestaje się liczyć. A umysł zalewają wspomnienia, jak śmieje się ta osoba, jak pachnie, jak brzmi jej głos. Każda chwila dzielona z Sofią staje mi przed oczami, każda scena układa się w niemy film. Sofia stojąca obok mnie na sali sądowej, pode mną w łóżku, dni kiedy się droczyliśmy i rozmawialiśmy, noce kiedy jęczyliśmy i wdychaliśmy. Każdy obrazek sprawia, że chcę więcej. Więcej czasu. Więcej wspomnień. Wszystkich tych chwil, których jeszcze nie dzieliliśmy, wszystkich doświadczeń, których nie mieliśmy, słów, których nie powiedziałem. Potrzebuję ich. Potrzebuję jej.

Bardziej, niż kogokolwiek w życiu potrzebowałem.

Zamykam oczy i modłę się w duchu, prosząc, wręcz błagając. O kolejną szansę, bym zrobił to dobrze. Bym mógł przeżyć z nią każdą sekundę, bym mógł traktować ją z szacunkiem, na jaki zawsze zasługiwała.

By się o nią troszczyć i ją wielbić.

Błagam, Boże.

A kiedy otwieram oczy, wierzę, że Bóg mnie wysłuchał. Widzę ją w oddali – jej włosy płaczą się na wietrze, kiedy zatacza się na tych swoich cholernych dziesięciocentymetrowych szpilkach. Moją pierwszą myślą jest: *Dzięki Bogu, jest bezpieczna.* Moja druga myśl, to: *Uduszę ją.*

Podjeżdżam szybko, furgonetka skrzypi, gdy naciskam hamulec kilka metrów od Sofii. Wiatr mnie popycha, a grad uderza we mnie, gdy wysiadam z samochodu i próbuję do niej dotrzeć. Lodowe kulki uderzają w karoserię, w moją twarz i ramiona.

Przekrzykuję wiatr:

– Której części o bydle zbijającym się w ciasne stado nie zrozumiałaś?

– Co?

W końcu ją mam. Jest w moich ramionach, tuż przy mojej piersi, ciepła i żywa, być może ściśnięta tak mocno, że nie może oddychać. Ale nie chcę jej puścić.

– Nigdy więcej tego nie rób – szepczę surowo do jej ucha.

Patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami, ale jest tak piękna, że aż drzę.

– Czego mam nie robić?

Odsuwam jej włosy z twarzy i mówię łamiącym się głosem:

– Nie odchodź.

Tulę ją do siebie, przyciskając mocno, ochraniając własnym ciałem. Wreszcie wdycham, rozluźniam się z ulgi, że jest tu cała i zdrowa.

Bezpieczeństwo jednak, podobnie jak każda inna rzecz, którą wydaje nam się, że możemy kontrolować, jest tylko złudzeniem. Ponieważ kiedy się obracam, by otworzyć drzwi furgonetki, i osłaniając sobą Sofię, pomagam jej wsiąść, czuję ostry ból przeszywający moją skroń...

Po czym świat ciemnieje i robi się cichy.

Sofia

To zabawne, jak pamięta się niektóre rzeczy. Chwile, które ukryte są w naszych umysłach, minuty, o których tak naprawdę chcielibyśmy zapomnieć. Nie pamiętam, żebym była przerażona, kiedy jako dziecko uległam katastrofie lotniczej, choć jestem pewna, że się bałam. Nie pamiętam bólu, kiedy zostałam zraniona. Zapewne szok i adrenalina sprawiły, że byłam otepiała.

To, co nadal słyszę po tych wszystkich latach, to dźwięk. Uderzenie. Ryk, kiedy ślizgaliśmy się po pasie. Huk i nieuniknione. Pamiętam, że wyciągnęłam ręce, by zatkać uszy, kiedy powinnam się trzymać, by nie umrzeć.

A ten dźwięk – teraz – jest niemal taki sam. Przerażliwy ryk wiatru.

Szum.

Głośny, ogłuszający.

Jednak nie to wyróżnia się najbardziej. Obraz, który będzie mnie prześladował do końca moich dni, to Stanton osuwający się na ziemię i przestający się ruszać. Z zamkniętymi oczami, bezwładnym ciałem, zwiotczały.

– Nie! Stanton!

To zabawne jak szybko i jasno się myśli, kiedy stawką jest życie lub śmierć. Kiedy wokół was latają niebezpieczne rzeczy, bo wiatr gnie drzewa i zabiera ze sobą ich gałęzie i skrawki metalu. I nagle zdajecie sobie sprawę – nagle jesteście pewni – jak głębokie życie do kogoś uczucia, uświadamiacie sobie, ile ta osoba dla was znaczy, kiedy staje się twarzą w twarz z możliwością jej straty.

– Stanton, obudź się!

Byłam tak wściekła, kiedy wychodziłam z domu, jeszcze nie tak dawno temu.

– Słyszysz mnie? Kochanie, proszę, obudź się!

Nie, to głupota. Czas być odpowiedzialną.

Nie byłam wściekła – byłam zraniona.

– O Boże, zostań ze mną, Stanton. Nawet się nie waż mnie zostawiać!

Kiedy usłyszałam o imprezie w domu Jenny, poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. Ponieważ to, co stało się między mną i Stantonem w nocy nad rzeką – sposób w jaki na mnie patrzył, jak mnie dotykał, jak pieścił – wydawało się być czymś więcej niż wszystkie inne chwile, które razem dzieliliśmy. I podświadomie liczyłam na to, że Stanton czuł to samo.

Najwyraźniej, mimo wszystko, byłam głupia.

Wszystkie te wymówki, które robiłam sobie w ciągu kilku ostatnich dni – wyjaśnienia, uzasadnienia, obrona – były zwyczajnymi kłamstwami, które sobie wmawiałam, a to, co naprawdę czułam, odpychałam i ignorowałam.

Ponieważ nie chciałam się do tego przyznać. Nie chciałam zmierzyć się ze

skomplikowaną prawdą.

– Kocham cię – szepczę.

To przerażające. To bałagan. A co najważniejsze, najprawdziwsza rzecz, jaką w życiu czułam.

– Kocham cię ty wielki, głupi kretynie!

Gdybym myślała jasno, przypomniałabym sobie wszystkie powody, dla których nie powinnam tak czuć: jego historię z Rebeccą, piedestał, na którym stawia Jenny, i fakt, że byliśmy jedynie przyjaciółmi do łóżka. Te uczucia są ostatnią rzeczą, z którą facet taki jak on chciałby się mierzyć.

Jednak nic z tego teraz się nie liczy, ponieważ jestem pewna, że oboje zaraz zginiemy.

Widziałam *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Widziałam obie części *Rekinada*.

W każdej chwili dom czy krowa może spaść z nieba i nas zmiażdżyć.

– Proszę, Stanton, kocham cię!

Nie wiedziałam, że płaczę, ale widzę jak krople opadają na jego przystojną twarz. Jego głowa spoczywa na moich udach, siedzę pochylona nad nim, osłaniając nas oboje przed silnym wiatrem, który rozwiewa mi włosy. Całuję go w czoło, nos, w końcu w ciepłe usta.

Czuję, że Stanton zaciska palce przy mojej talii, ściskając materiał mojej koszulki.

Odchylam się tylko na tyle, by spojrzeć mu w oczy, które wreszcie otwiera.

Ma rozszerzone źrenice, jest zdezorientowany, kiedy na mnie patrzy. Jednak w ułamku sekundy zaczyna rozumieć, uświadamia sobie, gdzie jesteśmy.

Jednym płynnym ruchem wciąga mnie pod siebie, przygniata swoim ciałem, osłaniając przed porywistym wiatrem i gruzem latającym wokół.

Chwytam się jego ramion, w moim głosie nadal słysząc łzy. I strach.

– Dobrze się czujesz? Dzięki Bogu nic ci nie jest! Myślałam...

Stanton głaszcząc mnie po włosach i szepcze mi do ucha uspokajające słowa:

– Ciii... Trzymam cię, Sofia. Jestem tutaj. Już wszystko dobrze. Jestem z tobą.

Choć wiem, że nadal grozi nam niebezpieczeństwo, wewnątrz czuję ciepło. Czuję się bezpieczna. Jestem szczęśliwa, bo jestem w ramionach tego mężczyzny i trzymam go w swoich.

– Masz szczęście, że się obudziłeś, bo byłbyś na samym szczycie mojej listy gównianych rzeczy, gdybyś tego nie zrobił.

Jego pierś trzęsie się, kiedy się śmieje, po czym unosi głowę, by na mnie spojrzeć.

Spojrzeniem omiata moją twarz, a jego czuły uśmiech sprawia, że serce mi się ścisza.

– Nie nadaję się do życia na prerii.

Znów się śmieje. Gładzę go po plecach. Tulimy się do siebie, trzymając mocno, nie zważając na burzę. Jesteśmy razem.

Rozglądam się, kiedy wracamy pod dom Jenny. Zniszczenia nie są tak wielkie, jak sobie wyobrażałam. Niektóre drzewa zostały powalone, jest mnóstwo połamanych gałęzi i zniszczone ogrodzenie, jednak dom i stodoła nie ucierpiały. Na tyłach pozostawione po imprezie stoły i krzesła są porzucane po ogrodzie. Obrus powiewa na drzewie, zaplątany w jego konary. Stanton parkuje z przodu, kiedy pan Monroe, ojciec Jenny, spieszy w stronę swojego samochodu. Jego żona już siedzi na miejscu pasażera. Natychmiast odjeżdżają, opony gryzą żwir, kiedy ruszają, jakby im się paliło. Widzę jego twarz, gdy nas mijają – ma poważną, nawet przerażoną minę. Jenny wbiega do swojej furgonetki, JD jest tuż za nią, a Presley i jej ruda ciotka wskakują do tyłu – ona również gna na złamanie karku.

– Co się stało? – zastanawiam się na głos. – Ktoś został ranny?

Stanton zaciąga hamulec ręczny i natychmiast wyskakuje z samochodu. Jestem tuż za

nim, kiedy biegnie do swojej matki, na której twarzy, podobnie jak u reszty członków rodziny, maluje się oszołomienie i zmartwienie.

– Coś się komuś stało, mamó? – pyta Stanton.

Kobieta kładzie rękę na jego ramieniu.

– Chodzi o Bunię.

Stanton

Pamiętam, że kiedy byłem mały, pastor głosił kazanie na temat piekła. Opowiadał, jakby to było wewnątrz czynnego wulkanu, z płonącymi jeziorami, rzekami lawy i pełnymi bólu dolinami. Nie sądzę jednak, że piekło to ogień i siarka.

Myślę, że piekło to szpitalna poczekalnia.

Wszystko tu jest nieskończenie wolne, wskazówka zegara porusza się z każdą sekundą, jakby kończyła mu się bateria. Frustracja, strach – nawet nuda – tętni w każdej z naszych głów.

– Czy Bunia umrze, tato?

Presley siedzi obok na ławeczce, opiera się o mnie, a ja podtrzymuję ją ramieniem. Sofia siedzi po drugiej stronie, trzyma mnie za rękę. Jenny poszła do rejestracji, ale nawet pracując tutaj, jedyną odpowiedzią, jaką uzyskała, było „proszę czekać na wyniki badań”. JD przyniósł jej kawę, powiedział, by spróbowała się uspokoić i usiadła. Rodzice Jenny podobnie jak moi również są w poczekalni, rozmawiają z sąsiadami, których bliscy ucierpieli podczas tornada.

– Nie wiem, córeńko. – Głaszczę spokojnie Presley po włosach. – Bunia jest silna.

Powinnaś być dobrej myśli i zmówić modlitwę.

Wychodzi doktor Brown, więc June, Wayne, Jenny, JD i Ruby podchodzą do niego.

– To był atak serca – mówi, patrząc na matkę Jenny. – Poważny. Jej stan jest już stabilny, ale musi tu zostać na kilka dni. Musimy przeprowadzić jeszcze kilka badań, jednak nie wydaje się, by zawał spowodował jakieś trwałe zaburzenia.

Wszyscy wzdychają z ogromną ulgą. June pyta:

– Możemy ją zobaczyć?

Lekarz odpowiada:

– Tak, może mieć gości, ale proszę wchodzić pojedynczo. Prosiła jednak o obecność Stanton.

Rozchodzi się szum, kiedy wszyscy pod nosem zastanawiają się, co u licha?

Wstaję.

– Mnie? Jest pan pewien?

Jego mina podpowiada mi, że Bunia była w tym względzie dość stanowcza.

– Bardzo na to nalegała.

Patrzę w oczy matce Jenny – oboje jesteśmy zdziwieni. Wzruszam jednak ramionami i idę za doktorem Brownem, zostawiając w poczekalni zszokowaną niczym kura, której właśnie odebrano jajko, June Monroe.

Mężczyzna zostawia mnie pod drzwiami sali Buni. Otwieram je powoli i wchodzę ostrożnie – świadomy faktu, że wchodzę do pokoju staruszki, która przy każdej nadarżającej się okazji groziła, że mnie zastrzeli – jest więc możliwe, że wbije mi igłę lub skalpel w głowę.

Lub gdzieś niżej.

Jednak kiedy jestem w środku, widzę Bunię, w szpitalnym łóżku, przykrytą kołdrą po samą brodę. I po raz pierwszy w moim życiu wydaje się... krucha. Stara.

Słaba.

Kiedy przetykam ślinę, czuję, że ma słony smak łez. Nie sędzę, by mi umniejszało, gdybym się do tego przyznał. To był okropny dzień.

Bohater potrzebuje przeciwnika. Właśnie w tej chwili uświadamiam sobie, jak wspinałbym przeciwnikiem była dla mnie Bunia. Jak byłoby źle – jak bardzo bym tęsknił – gdyby nie mogła już spełniać tej roli.

Jej następne słowa, świszczące i słabe sprowadzają łzy do moich oczu.

– Witaj chłopcze.

Uśmiecham się, mój głos jest nieco spięty.

– Proszę pani.

Wątlą dłonią poklepuje łóżko, więc siadam obok niej na krześle.

Patrzy na mnie zmęczonym, choć nieugiętym wzrokiem – wyraźnie wie, co chce powiedzieć.

– Wiesz, chłopcze, dlaczego nigdy cię nie lubiłam?

Odchrząkuję i odpowiadam:

– Ponieważ zrobiłem dziecko pani wnuczce?

– Ha! – Macha ręką. – Nie. June była w moim brzuchu na dwa miesiące przed tym, zanim złożyłam śluby.

Niekoniecznie musiałem to wiedzieć.

– Ponieważ się z nią nie ożeniłem? – próbuję ponownie.

Kręci głową.

– Nie. – Bierze nierówny wdech. – Dlatego, że kiedy zacząłeś się pierwszy raz kręcić koło mojej wnusi i byłeś tylko dwunastoletnim gówniarzem grającym w piłkę... już wtedy wiedziałam, co z ciebie wyrośnie. Miałeś to w oczach, taką tęsknotę za innym miejscem, jakbyś patrzył na zamkniętą bramę, czekając, aż ktoś ją uchyli, byś mógł czmychnąć. Wziąć nogi za pas i nawiać.

Przytakuję powoli, ponieważ się nie myli.

– I wiedziałam... że jeśli dostaniesz szansę... zabierzesz ją ze sobą. – Patrzy na mnie zamglonym spojrzeniem, widząc przeze mnie na wskroś.

– Ale już nie planujesz jej ze sobą zabierać, prawda, chłopcze?

Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze i opieram się na krześle. Całe zamieszanie, które od kilku dni miałem w głowie, przejaśnia się. Nagle nabiera sensu. To taka prosta odpowiedź.

– Nie, proszę pani. Już nie.

Twarz Buni rozluźnia się nieco, wydaje się odczuwać ulgę z powodu mojego potwierdzenia.

– Niektóre konie lubią być zamykane w zagrodzie. Należć do kogoś, biegać po znanej sobie ziemi, nie mają chęci wychodzić poza ogrodzenie.

Wracam myślami do późnonocnych rozmów, które przeprowadzaliśmy z Jenny na brzegu rzeki, kiedy był w nas ogień i marzenia. Byliśmy inni. I widzę w umyśle to, czego siedemnastolatek nie widział – entuzjizm Jenny zawsze skierowany był na mnie, nie na nas. Ponieważ jej serce było tutaj, w tym małym mieście, z tymi serdecznymi ludźmi. Nie potrzebowała niczego więcej... A mnie już nie było.

– To ważne – mówi Bunia, klepiąc mnie po dłoni – żeby kobieta nie czuła się jak brzydka siostra. Jak ta druga, jak gorsza z możliwości. Taka gorycz, nigdy nie będzie słodka.

Mrugam, patrząc na nią.

– Jak pani...

– To, że robię się ślepa, nie oznacza, że nie widzę.

Zamykam oczy i widzę twarz Sofii. Jej uśmiech, jej śmiech, jej usta, jej ramiona, które potrafią trzymać mocno i czule, w których z chęcią pozostałbym do końca swoich dni.

Nakrywam twarz dłońmi.

Kurwa mać.

– Spieprzyłem, proszę pani. Wszystko. Bardzo.

– To napraw – drwi. – Właśnie to robią mężczyźni, naprawiają.

– Nawet nie wiem, od czego powinienem zacząć. – Zabieram dłonie. – A nim pani powie, że od początku, tam już byłem. Jak niby mam jej pokazać, że to zawsze była ona, kiedy wszystko, co mówiłem, wszystko, co robiłem, temu przeczyło?

Uśmiech rozkwita na ustach Buni.

– Mój Henry, świeć Panie nad jego duszą, nie był zręczny. Raz kupił mi szopę ogrodową, bym miała gdzie trzymać narzędzia. Przyszła w częściach z instrukcją w dziesięciu językach. Henry ją poskładał i była to najkoszmarniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Miała krzywe ściany, drzwi do góry nogami... Rozebrał ją więc i zaczął składać od nowa. Zajęło mu to trochę czasu, ale było warto, ponieważ na końcu, mała szopka... wyszła idealnie. Ty też musisz zacząć od nowa. Od początku.

Myślę o powrocie do Waszyngtonu. O wszystkich rzeczach, które chcę dla niej zrobić, o wszystkich słowach, które chcę powiedzieć... by zacząć od nowa. By jej pokazać. Jednak będę musiał poczekać do ślubu. Zrobię to, kiedy załatwię tu wszystko z Jenn. Sofia musi zobaczyć, że zamknąłem ten rozdział. Że to, co miałem z Jenny, nie umniejsza tego, co czuję do niej. Żeby nie miała wątpliwości – i żeby mi uwierzyła.

Bunia się krzywi.

– A teraz, nie mów nikomu, o czym rozmawialiśmy. To poufne. Muszę dbać o reputację. Śmieję się. Z ostrzeżenia Buni i dlatego, że mam plan.

Wskazuje na drzwi.

– Idź już. Powiedz mojej córce, że może tu przyjść, nim wyważy te drzwi.

Pochyliam się, biorę życie we własne ręce i całuję Bunię w policzek.

– Dziękuję pani.

– Proszę, chłopcze.

Wracam do poczekalni i mówię June, że może wejść, po czym odpowiadam na pytające spojrzenie Jenny:

– Nic jej nie jest. – Ściskam jej ramię. – Nie martw się, ta kobieta ma w sobie zbyt wiele złości, by umrzeć.

Jenny się śmieje, ściska mnie z ulgą. Kiedy się odsuwa, mówię, że zabieram Presley na noc do swoich rodziców. Następnie obejmuję Sofię i we troje wychodzimy ze szpitala.

Sofia

W piątkowy poranek z głębokiego snu spowodowanego emocjonalnym zmęczeniem wyrrywają mnie promienie słoneczne i... łaskotanie w nos. Otwieram oczy... i tuż nad sobą widzę uśmiechającego się szeroko, niczym zły klaun, Brenta Masona.

– Pobudka, pączuszk!

– Och! – krzyczę i odsuwam się, po czym uderzam potylicą w czoło Stanton. Wieczorem przyjechała z nami Presley, więc położyliśmy ją do łóżka w pokoju Cartera. Przyszliśmy tu razem i natychmiast zasnęliśmy.

Co, na Boga, robi tutaj Brent? W sypialni Stanton? W pieprzonym Missisipi? Stanton obejmuje mnie, przyciąga do siebie i zmusza, bym oparła głowę na poduszce.

– To koszmary – mruczy. – Wracaj do spania, to odejdą.

Odejdą?

Siadam. Jake Becker macha do mnie z fotela w kącie.

– Co wy tu robicie? I, co ważniejsze, gdzie jest mój pies?

Brent zerka na futbolowe trofea Stanton.

– Shermanowi nic nie jest. Został z Harrisonem, skumpłowali się.

Harrison jest kamerdynerem Brenta. Jest zaskakująco młodym choć sztywnym, dwudziestojednoletnim kamerdynerem, który pochodzi z długiej linii kamerdynerów. Ojciec Harrisona jest kamerdynerem u rodziców Brenta. Misją życiową Brenta jest sprawienie, by Harrison zachowywał się jak na normalnego dwudziestojednoletka przystało – choć raz.

– Ale dlaczego tutaj jesteście? – pytam nadal ochrypłym głosem.

Brent wzrusza ramionami.

– Byłem w Mediolanie, Paryżu, Rzymie, jednak nigdy na południu Stanów. Pomyślałem, że może być interesująco, kiedy spędzę weekend w mieście, z której pochodzi Stanton. Poszerzę swoje horyzonty. Jake już tu był i znał drogę. No i się za wami stęskniliśmy, w biurze jest bez was pusto. Mówiłaś przez telefon jak tu fajnie, więc wiedziałem, że sam muszę tego doświadczyć.

Jake zdradza prawdziwy powód:

– Rodzice Brenta przylatują do Waszyngtonu na weekend. Spieprzał stamtąd, jakby goniło go stado byków.

Brent obraca się do Jake'a i się krzywi.

– Nie osądzaj mnie. Moja matka to przerażająca kobieta.

– Ma niecałe metr pięćdziesiąt, waży coś koło czterdziestu kilo i mówi prawie szeptem – drwi Jake. – Rzeczywiście, przerażająca.

– Dwie z moich kuzynek ogłosiły zaręczyny, a trzecia wysłała zaproszenie na chrzest pierwszego dziecka. Matka przywiezie listę debiutantek i nie wyjedzie, póki którejś nie wybiorę.

To byłoby brutalne.

Jake wstaje.

– A jeśli już mówimy o matkach, mama Shaw wysłała nas, byśmy zaciągnęli was na śniadanie – mówi i rzuca jeansy w głowę Stanton. – Zapewne chcesz je założyć.

Dzięki Bogu, że mam na sobie bardziej konserwatywną piżamę.

– Jak przebiega operacja „Dywersja Ślubu”? – pyta Brent, kiedy wychodzimy ze Stantonem z łóżka.

Mówię lżejszym tonem, ponieważ tak właśnie się czuję:

– Wczoraj było tornado. Zapewne trochę pokrzyżowało plany.

Stanton przeciera dłońmi twarz.

– Nic nie pokrzyżowało.

Obracam głowę naprawdę zaskoczona.

– Serio tak uważasz?

Wkłada koszulkę przez głowę.

– Jeśli obywatele Sunshine coś potrafią, to z pewnością cieszyć się tym, co mają.

Po drodze do głównego domu opowiadamy Brentowi i Jake’owi o tornadzie. W kuchni matka Stanton nakrywa do stołu, Marshall wkłada do ust łyżkę płatków owsianych, po czym krzyczy na siostrę, by się pospieszyła. Pan Shaw wyszedł wcześniej, by ocenić zniszczenia na włościach. Zamykam oczy, biorąc łyk tak potrzebnej kawy. Brent komentuje piękno farmy i dziękuje pani Shaw za gościnność. Rozmowa schodzi na temat wakacji, kiedy Stanton studiował prawo i w lecie przyjeżdżał tu z Jake’em.

Ku uldze brata, Mary zbiega ze schodów, ubrana do szkoły w beżową spódnicę i różowy top. Wita się ze mną, Stantonem i Jake’em, po czym jej spojrzenie na widok Brenta rozjaśnia się niczym latarnia.

– Dlaczego nikt nie przedstawi mnie temu ciachu? – droczy się. Wyciąga rękę. – Jestem Mary Louise... a ty?

Brent przełyka ciasteczko i ściska jej dłoń.

– Brent Mason, miło mi.

Mary siada obok niego i mruży pod nosem:

– Założę się, że miło.

Chłopak patrzy na mnie pytająco, jednak wzruszam tylko ramionami.

– Pracujesz z moim bratem? – pyta Mary, przysuwając się.

– Zgadza się – odpowiada Brent.

– To takie interesujące. – Wzdycha, opierając podbródek na ręce. – Jesteś stażystą?

Brent odchrząkuje.

– Nie... jestem prawnikiem. Starym, nudnym prawnikiem. – Kiedy Mary wciąż patrzy z uwielbieniem tylko na niego, dodaje: – Bardzo starym.

– Naprawdę chciałabym, żebyście zostali chłopcy – mówi pani Shaw, gdy wreszcie siada, by zjeść śniadanie. – Przecież nie musicie spać w hotelu.

Hotel – podobnie jak sygnalizator świetlny, w mieście jest tylko jeden.

– Brent może spać u mnie – mówi Mary. Nim matka posyła jej karcącą minę, dziewczyna dodaje: – Żartuję.

Po czym obraca się do Brenta i bezgłośnie mówi:

– Wcale nie. – I, niczym Lolita, puszcza do niego oko.

Widząc przerażenie na twarzy Brenta, nakrywam usta dłonią i rozglądam się sprawdzając, czy ktokolwiek również je zauważył. Jednak Jake grzebie w talerzu, a Stanton... Stanton gapi się

w swoją kawę.

– Dziękujemy, pani Shaw, ale hotel naprawdę wystarczy.

Mary odchyła się, jej dłonie nikną pod stołem, po czym sekundę później Brent podskakuje, jakby poraził go prąd.

– Wow!

Wszyscy na niego patrzą, a Mary niewinnie trzepocze rzęsami.

– Co z twoimi nerwami? – pyta Jake.

Brent otwiera usta niczym ryba wyciągnięta z wody.

– Nic, tylko... chciałem tylko zobaczyć resztę posiadłości. Nie ma czasu. Chodźmy!

Wkładam naczynia do zlewu i cała nasza czwórka kieruje się do wyjścia.

– Pa, Brent – woła Mary.

Speszony Brent macha ręką, po czym szepcze do mnie:

– To koniec, zapuszczę tę pieprzoną brodę.

Resztę poranka spędzamy, oprowadzając Jake'a i Brenta po ranczu. Stanton przeważnie milczy, jest wycofany.

Po południu Stanton zabiera Brenta i Jake'a na pastwiska, by pomóc ojcu ze sprzątnięciem. Podczas ich nieobecności, pani Shaw mówi, że wieczorem pojedziemy do lokalnego baru i że powinnam się przygotować. Słońce już zachodzi, kiedy wychodzę z łazienki ubrana w swoją ulubioną, czerwoną sukienkę i widzę przed sobą plecy Stantonona. Czeka na mnie.

Jest sam.

Patrzy, jakby widział mnie po raz pierwszy – wystarczająco długo, by rozniecić podniecenie w moim brzuchu.

– Jesteś piękna – mówi cichym, głębokim głosem z lekkim południowym akcentem.

Dwa słowa.

Taki prosty komplement. Jednak ponieważ to on go powiedział, odczuwam to jako coś najcudowniejszego.

Lokal jest niewielki, ma drewniane podłogi, stary dębowy bar, kilka kwadratowych stolików i dwa stoły bilardowe na tyłach. Siedzimy w piątkę przy jednym ze stolików – Jake prowadzi ożywioną rozmowę z Ruby Monroe, siostrą Jenny, a Brent wydaje się zrelaksowany, bo nie musi unikać nachalnych, wędrujących rączek Mary Shaw.

Przepraszam towarzyszy i wychodzę do toalety. W drodze powrotnej zatrzymuję się w pół kroku. Widzę, że Stanton wstaje i podchodzi do szafy grającej. Wrzuca drobniki wyciągnięte z kieszeni, po czym ponad rozmowami w barze unoszą się dźwięki klawiszy fortepianu. Mężczyzna podchodzi do miejsca, gdzie siedzą Jenny i JD, a jego usta poruszają się, kiedy zadaje pytanie, którego nie jestem w stanie usłyszeć. JD kiwa głową i po chwili ściska wyciągniętą rękę Stantonona. Następnie Jenny wstaje i idzie ze Stantonem na parkiet. Głos Williiego Nelsona dobiega z głośników w piosence *Always on My Mind*.

Obserwuję, jak Stanton bierze Jenny w ramiona – te silne, piękne ręce, które mnie tuliły, sprawiając, że w ich ciepłym objęciu czułam się ceniona. Ręce, które dawały mi więcej przyjemności i pasji, niż mogę zliczyć. Trzyma dziewczynę blisko piersi, na której w nocy opierałam policzek, ukojona do snu równym biciem jego serca.

Kołyszą się razem.

Nie jestem świadoma łez, dopóki nie zasnuwają mi widoku i nie spływają po twarzy. Czuję ucisk w gardle, a czysty ból ściska za serce niczym okrutne imadło.

Nie zniosę tego dłużej.

Teraz to wiem. Nie potrafię stać u jego boku i udawać, że pomogę mu ją odzyskać.

Ponieważ chcę, by walczył o mnie.

Bardzo.

Pragnę, by mnie chciał, nie tylko jako przyjaciółki czy kochanki, ale jako kobiety i to na wieczność.

Tak jak chce jej.

Jenny patrzy mu w oczy. Ich spojrzenia są czułe, gdy rozmawiają, a ja dziękuję Bogu, że nie słyszę ich słów. Stanton w którymś momencie unosi rękę i dotyka jej twarzy... a ja zamykam oczy, blokując obraz tego intymnego gestu.

Chwilę później ruszam do drzwi. Zmusza mnie do tego instynkt. Tekst Williego o miłości i żalu płynie za mną, ale nie odwracam się za siebie.

Na zewnątrz powietrze jest wilgotne i gęste – szlocham żałośnie i obejmuję się ramionami, szukając pocieszenia.

– Sofia?

Brent woła mnie, po czym podchodzi bliżej i ponownie wypowiada moje imię. Nie staram się ukryć mojego... smutku? To niewystarczające słowo. Zniszczenie byłoby lepszym określeniem. Czuję się jak budynek, który zaraz ma się zawalić, ponieważ moje fundamenty jak i cała struktura, która teoretycznie miała mnie utrzymywać, dosłownie wali mi się pod stopami. A Brent to widzi.

W jego oczach błyszczy współczucie, jednak, co uderza mnie najbardziej – nie jest zdziwiony. Ani trochę.

Siada na pobliskiej ławce i klepie się w kolano.

– Wygląda na to, że ktoś tu potrzebuje się przejechać na terapeutycznym koniku.

Wskakuj. Powiedz doktorowi Brentowi o co chodzi.

Nie jestem skrepowana, siadając mu na kolanach.

– On nie tańczy – szepczę.

Brent w ciszy kiwa głową. Czeka, aż rozwinę temat.

– Ale z nią tańczy.

Te słowa wypowiedziane na głos wydają się całkowicie niedorzeczne, ale mam to gdzieś. Tama pęka i moja twarz się wykrzywia.

– Myślałam, że odgradziłam się murem, wiesz? Nie sądziłam, że będę kobietą, która pragnie czegoś więcej. Jestem idiotką, Brent.

Głęboki śmiech wstrząsa jego klatką piersiową.

– Nie jesteś idiotką, skarbie. Ten tytuł należy się ślepcowi z południa, z powodu którego płaczesz.

Unoszę rękę i patrzę w przepastne, niebieskie oczy Brenta. Zawsze przypomina mi brata, Tomása. Dzieli tę samą radosną postawę, która sprawia, że ludzie czują się w ich towarzystwie dobrze, bez względu na rozmiar otaczającej ich katastrofy.

– Jak może nie wiedzieć? – pytam. – Dlaczego nie widzi, jakie to dla mnie trudne?

Brent odsuwa moje długie włosy za ramię.

– Żeby być fair w stosunku do Stanton, muszę przyznać, że jesteś dobrą aktorką. I... facetom czasami ciężko czytać między wierszami. Wyłapać wszystko, co nie jest powiedziane wprost. Niektórym z nas trzeba to przeliterować.

Brent tuli mnie jeszcze kilka minut. Rozkoszuję się jego spokojem, próbując poczuć swój własny. Ocieram oczy, pozbywając się śladów rozmazanego tuszu, przez który zapewne wyglądam jak miś panda.

– Soph? – Zmartwiony głos rozbrzmiewa za moimi plecami. Nawet bez spoglądania za siebie, wiem, kto się zbliża. – Co się stało? Co jest nie tak?

Muszę przyznać, że to miłe uczucie skupiać na sobie uwagę Stantona, czuć jego niepokój i mieć świadomość, że na złamanie karku pognął w deszczu, próbując mnie chronić. Choć trwa ono tylko przez chwilę. To jedynie emocjonalna zawierucha. Taka, która niegdyś mnie zadowalała, ale teraz kończy się, potęgując pustkę. Jestem spragniona wszystkich tych rzeczy, których on do mnie nie czuje.

Zbieram się w sobie, wstaję z kolan Brenta i stoję z nim twarzą w twarz. Stanton wyciąga do mnie rękę, ale się odsuwam.

– Nic mi nie jest.

– Najwyraźniej wręcz przeciwnie. Co się, u licha, stało?

Kręcę głową.

– Nie czuję się za dobrze. – To przynajmniej prawda. – Chcę wracać.

– Dobrze, zawio...

Odsuwam się o kolejny krok, wpadając na ławkę.

– Nie. Nie chcę, byś to ty mnie odwoził.

Myśl o przebywaniu z nim w ciasnej kabinie samochodu jest przerażająca. Potrzebuję więcej czasu, by się pozbierać, i nie mam zamiaru desperacko łapać się jego kolan i błagać, by mnie pokochał.

To nie byłoby zbyt atrakcyjne.

Konsternację w jego spojrzeniu zastępuje troska.

– Ale...

– Ja ją odwożę.

Odwracamy się w stronę baru, gdzie drobna, idealna blondynka, Jenny Monroe stoi obok swojego narzeczonego. Nie zdawałam sobie sprawy, że mamy publiczność. I, choć nie jest moją ulubioną osobą, postanawiam skorzystać z jej propozycji.

– Dziękuję.

Mijam Stantona i idę za Jenny, która wyciąga kluczyki z torebki, zmierzając w kierunku parkingu.

Stanton uparcie depta nam po piętach.

– Hej! Czekać chw...

– Wracaj do baru, Stanton – mówi Jenny. – Wypij piwo z JD i porozmawiajcie, jak powstrzymać twojego brata przed zrzuceniem ubrania.

Konspiracyjnym szeptem mówi do mnie:

– Pijanemu Carterowi zawsze robi się za gorąco i rozbiera się do rosołu. Ten kretyn będzie koło północy świecił gołym tyłkiem.

Klika guzik na pilocie, by otworzyć lśniącego, czarnego forda pickupa, a ja wskakuję do środka niczym nastolatka uciekająca przed szaleńcem z maczetą. Silnik budzi się do życia, po czym Jenny wrzuca bieg, a zapalające się przednie światła ukazują Stantona Shawa, który z uporem trzyma ręce na masce furgonetki, blokując nam wyjazd.

Jenny otwiera szybę.

– Rany, jeśli się nie odsuniesz, to cię przejadę. Nie zabije cię to, ale chodząc po sali sądowej o kulach, nie będziesz już tak przekonujący.

Trzymając dłonie na karoserii, Stanton podchodzi do otwartego okna Jenny. Nie obracam głowy, tylko uparcie patrzę w przód, jednak czuję, że na mnie spogląda.

– Sofia. – Jego głos jednocześnie jest ostry i nalegający. – Sofia, do cholery, spójrz na mnie!

Jenny się przesuwa, zasłaniając mu widok.

– Zostaw ją, Stanton. Czasami kobieta potrzebuje innej kobiety. Daj jej czas.

Kątem oka widzę, że klepie go w ramię, Stanton po chwili zdejmuję dłonie z samochodu. Jenny nie daje mu szans na zmianę zdania. Opony wgrzają się w żwir, kiedy wyjeżdżamy z parkingu.

Poza moim okazjonalnym pociąganiem nosem, w kabinie panuje cisza, kiedy pustą drogą przedzieramy się przez noc. Nie bardzo wiem, jak powinnam się czuć w stosunku do siedzącej obok mnie kobiety. Przede wszystkim stanowi dla mnie konkurencję. Jestem dobrze przygotowana na rywalizację, cały czas mam z nią do czynienia na zawodowym gruncie – z oskarżycielem na rozprawie, z obrońcami w kancelarii. Są chwile, kiedy wiem, że jestem lepsza, niż się o mnie mówi, i momenty, kiedy muszę się starać, by być ponad tymi, którzy są mi równi, jeśli nie bardziej utalentowani.

Różnica tutaj polega jednak na tym, że tak naprawdę lubię Jenny. Gdyby okoliczności były inne, mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Kobieta jest zabawna i inteligentna. A po części, jako przyjaciółka Stanton, która chce jego szczęścia bardziej niż swojego własnego, nie chcę, by Jenny wyszła za JD.

Jednocześnie kocham Stanton i mam ochotę wydrapać Jenny oczy. Chcę, by zniknęła albo, nawet lepiej, nigdy nie istniała.

– Jak długo jesteś w nim zakochana?

Zadaje to pytanie delikatnie, niczym pediatra pytający rodzica chorego dziecka, jak długo już pociecha znajduje się w takim stanie.

– Chyba od początku. Nie... przyznawałam się do tego. Myślałam, że to tylko fizyczny pociąg... przyjaźń... wygoda. Ale teraz... uświadomiłam sobie, że to zawsze było coś więcej.

Kiwa głową.

– Jest coś takiego w facetach z Missisipi. Cholera, południowy urok dziedziczą w genach, nawet nie muszą na niego pracować. – Milknie na chwilę, skręcając w wąską drogę. – A Stanton... jest jeszcze bardziej pociągający. Jest genialny, przystojny, ciężko pracuje i pieprzy jak dzika bestia.

Zszokowana wybucham śmiechem.

Jenny również się śmieje.

– Mama wybiłaby mi zęby, gdyby mnie usłyszała, ale, Boże dopomóż, to prawda.

Nasze chichoty nikną w mroku i Jenny wzdycha.

– Kobieta musiałaby być skończoną idiotką, by nie zakochać się w takim facecie. – Patrzy na mnie wyrozumiale. – A nie wyglądasz mi na głupią.

Obraca głowę, więc teraz ja na nią patrzę.

– Jak to zrobiłaś? Jak przestałaś go kochać?

Kilka ostatnich dni były jak tortura. Widok okazywanych jej uczuć był dla mnie niczym smaganie batem. Tęsknota, którą widziałam w tych wspaniałych, zielonych oczach, czułość, z jaką ją dotykał, paliła niczym prąd i kradła mi oddech.

Seks ze Stantonem jest wspaniały. Praca z nim jest przywilejem. Jednak miłość do niego... jest po prostu udręką.

Zaciska usta, po czym mówi:

– Nie wiem, czy przestałam. Po prostu... zmieniło się to w coś innego. Coś spokojniejszego, mniej zwariowanego. Kiedy jesteś młoda, uwielbiasz fajerwerki, ponieważ są jasne, głośne i piękne. Ale dorastasz i zauważasz, że może świeczka nie jest tak wybuchowa, ale i tak sprawia, że wszystko jest lepsze. Uzmysławiasz sobie, że blask kominka może być równie ekscytujący co fajerwerki, ponieważ ogień jest blisko, oświetla twój dom i ogrzewa go przez całą noc. Stanton był moimi fajerwerkami... ale to JD jest moim kominkiem.

– Ale Stanton cię kocha.
Patrzy na mnie z ukosa.
– Serio w to wierzysz?
– Nie ma znaczenia w co wierzę. Tylko to, w co on wierzy.
Kręci głową.
– Powinnaś z nim porozmawiać, wyznać mu, jak się czujesz.
Łatwo jej mówić – żyje po drugiej stronie kraju. Ja widuję go każdego dnia w pracy, a także w weekendy. W tym momencie mam jego przyjaźń i jego podziw. Jego szacunek.
Nie wiem, czy dałabym radę żyć z jego współczuciem.
Jenny parkuje za domem rodziców Stantonów, tuż przy wejściu do stodoły. Nim wysiadam, obracam się do niej i mówię:
– Naprawdę miło było mi cię poznać, Jenny. Masz wspaniałą córkę i mam nadzieję... naprawdę mam nadzieję, że będziesz miała piękny ślub.
Przechyla głowę na bok.
– Nie będzie cię na nim jutro, prawda?
Potakuję, potwierdzając jej przypuszczenia.
Kiwa głową ze zrozumieniem.
– A ja mam nadzieję... Cóż, mam nadzieję, że wrócisz tu któregoś dnia, a kiedy to zrobisz, Sofio, mam nadzieję, że będziesz się uśmiechała.
Wyciąga do mnie ręce, więc daję się uściskać. To miły i ciepły, a przede wszystkim szczerzy gest.

Pakowanie zajmuje mi więcej czasu, niż sądziłam. Dlaczego zabrałam aż tyle rzeczy? Zapakowałam już trzy torby, a jeszcze czekają mnie dwie. Wyciągam ostatnią koszulkę z szuflady i obracam się, by włożyć ją do otwartej torby czekającej na łóżku. Jednak zamieram w bezruchu, kiedy w drzwiach słyszę ochryply, głęboki głos:

– Wyjeżdżasz?
Naprawdę sądziłam, że uda mi się spakować i uciec, bez konieczności konfrontacji z nim? Bez przeprowadzenia tej rozmowy? *Głupia Sofia*.
Nie patrzę na niego – rozsypałabym się, gdybym to zrobiła. Potrzebuję czasu i przestrzeni.
– Muszę wracać do domu. Mam spore zaległości, wiele pracy do nadrobienia...
Staje tuż przede mną. Patrzę na jego pierś, jak pod bawełnianą koszulką unosi się i opada. Stanton zabiera koszulkę z moich dłoni.
– Nigdzie nie pojedziesz, póki ze mną nie porozmawiasz.
Zamykam oczy, czując, że mocno przyspiesza mi puls.
– Co się stało, Sofio?
Mimowolnie unoszę wzrok i patrzę mu w oczy. Jego spojrzenie jest pełne obaw i zmieszania... jednocześnie jest tam też uwielbienie i troska.
Jednak to nie wystarcza.
– Co się stało? Zakochałam się w tobie, to się stało. – Słowa te wypowiadam szeptem, choć wszystko, co czuję, jest ostre i kłuje mnie w gardło. A ból z powodu tego, że on nie odwzajemnia moich uczuć sprawia, że pętla zaciska się jeszcze bardziej. – Kocham wszystko, co ciebie dotyczy. Kocham obserwować cię w sądzie, to jak mówisz, jak się ruszasz. Jak przygryzasz wargę, zastanawiając się, co powiedzieć. Kocham twój głos, kocham twoje ręce i sposób, w jaki mnie dotykasz. Kocham... to, jak patrzysz na córkę, kocham to, jak wypowiadasz moje imię. – Głos mi się rwie, więc zamykam oczy, by powstrzymać powódź.

– Nie, skarbie, nie płacz – prosi.

Unosi ręce do mojej twarzy, ale się odsuwam, obawiając się, że przez ten kontakt całkowicie się załamie. Wyrzucam z siebie słowa:

– Wiem, że tego nie chcesz. Próbowałam to ignorować, odepchnąć, ale za bardzo boli, kiedy widzę cię z...

Pochyla głowę z powodu bólu w moim głosie.

– Sofia, przepraszam... pozwól mi...

Kręcę głową i ponownie zamykam oczy.

– Nie przepraszaj, to nie twoja wina. Muszę to po prostu... przetrwać. Przywyknąć. Nie mogę... Nie mogę jednak dłużej tego ciągnąć, Stanton. Wiem, że będziesz cierpieć przez Jenny... ale...

– Nie o to mi chodziło! Uspokój się, proszę. Wysłuchaj mnie.

Jednak jeśli go wysłucham, nigdy stąd nie wyjdę. On nigdy nie zrozumie. A mówiłam poważnie, nie chcę go stracić.

– Znów będziemy przyjaciółmi. To nie stanie między nami. Możemy wrócić...

Nie jest dane mi dokończyć. Całuje mnie w usta, przerywając wywód. Obejmuje moją twarz i przyciąga mnie do siebie, dotykając jak nigdy wcześniej. Z rozpaczą, jakby miał umrzeć, jeśli mnie puści.

Jego pragnienie jest wyczuwalne, pulsuje boleśnie między nami – zatracam się, chcę zagłuszyć myśli. Jego palce są gorące na mojej skórze, wrzące, pozostawiają blizny. Mam nadzieję, że tak właśnie będzie. Będą wspomnieniem. Dowodem, że tu byłam, że czułam to wszystko. Że było to prawdziwe... choć jedynie przez chwilę.

Obraca nas i opadamy na łóżko, odczuwam jego siłę, jego erekcję naciskającą na mnie, jego ciężar. Wiję się pod nim, a Stanton rozrywa moje ubranie niczym napastnik.

Nie jest mądrze uprawiać z nim seks. Rano będzie bolało. Jednak nie potrafię odmówić. To... tylko to mi pozostało.

Ciepło jego oddechu, zgrzyt jego zębów, dźwięk jego jęków, nacisk jego idealnych, mokrych pocałunków. To są te chwile – wspomnienia – których będę się trzymać, które będę pielęgnować.

Ponieważ będą ostatnimi.

Stanton

Wszyscy zawsze mówią, jak cicha i spokojna jest wieś. Jednak to nie do końca prawda. Kakofonia dźwięków zaczyna się o świcie – świerszcze, komary, koniki polne i każde inne robactwo zaczyna swoje melodie, a potem robi się coraz głośniejsze. O wschodzie słońca słychać już cykadę, tętent kopyt, ptasie trele.

To właśnie ptaki wyrywają mnie ze snu – z głębokiego snu człowieka, który jest zadowolony z dokonanego wyboru.

Jeszcze nim otwieram oczy, wiem, że jej nie ma.

Czuję obok siebie pustkę, brak mi zapachu jej szamponu, brak mi gardenii, brak Sofii. Natychmiast się podrywam, siadając na łóżku, mrużę oczy i się rozglądam.

Torby? Nie ma.

Jeansy na krzesle? Brak.

Czerwona sukienka na podłodze? Zniknęła.

Cholera.

Jak mogłem zasnąć i z nią nie porozmawiać? Nie powiedzieć jej...

– Kurwa mać!

Wskakuję w spodnie i bez koszulki, na bosaka zbiegam ze schodów. Pędzę do domu – z nadzieją.

Jednak kiedy tam docieram, w kuchni zastaję tylko Brenta, który popija kawę i zażera się jagodową babeczką mojej matki.

– Gdzie ona jest? – warczę wkurzony na siebie, ale gotowy wyżyć się na nim.

Przełyka kęs babeczki i patrzy na mnie z dystansu z pogardą w oczach.

– Około czwartej zadzwoniła do nas do hotelu. Poprosiła o podwiezienie na lotnisko. Jake nie chciał jej puścić samej, więc przebukował bilet i poleciał z nią.

Ściska mi się pierś. Tak bardzo spieprzyłem.

Jednak przypominam sobie o czymś...

– Sofia nie lata!

Spojrzenie Brenta łagodnieje nieco pod wpływem współczucia.

– Wnioskuje zatem, że naprawdę chciała stąd uciec, ponieważ poleciała rannym rejsem.

Opadam na krzesło, trybiki w moim umyśle już się obracają, próbując wymyślić, jak ją dogonić i związać, jeśli będzie trzeba.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Prosiła, byśmy tego nie robili. Powiedziała, że musi się pozbierać. Obiecała, że do czasu naszego powrotu, wszystko będzie jak dawniej. – Milknie, po czym dodaje: – Przykro mi, Stanton.

Uderzam w stół.

– Nie chcę, by wszystko było jak dawniej, do cholery! Kocham ją, Brent!

Przyjacieli drapie się po świeżym zarostu na podbródku.

– Nie jestem terapeutą czy doradcą, ale wydaje mi się, że powinieneś jej o tym wspomnieć.

W życiu każdego mężczyzny przychodzi czas, kiedy musi przyjrzeć się sobie i przyznać, że jest kretynem. Egocentrycznym fiutem.

Nie wiem, czy tak samo jest w przypadku kobiet, ale jeśli macie penisy, to nieuniknione. Ponieważ wszyscy dobrzy mężczyźni, odważni faceci, światowi liderzy, renomowani naukowcy, teologowie i filozofowie mają w sobie chciwość i egocentryzm. Dziecinną, zachłanną czarną dziurę, która nigdy nie zostanie zapełniona. Krzyczy: „Spójrzcie na mnie”, „Posłuchajcie mnie”. Chcę tego, czego mieć nie mogę, podobnie jak tego, co mogę otrzymać. Chcę zjeść cały tort. Wiem, że świat nie kręci się wokół mnie, jednak świadomość ta nie powstrzymuje mnie przed próbami zaprzeczenia prawom fizyki, by tak właśnie było.

To właśnie ten moment. Zostałem opuszczony przez kobietę, którą kocham. Irytująco piękną dziewczynę, bez której nie mam zamiaru żyć.

Najgorsze jest to, że teraz wiem, co poszło nie tak. Dostrzegam każdy błąd. Każdą okropną decyzję.

Gdybym miał możliwość postawienia kroku wstecz i ocenienia sytuacji z zewnątrz, nic z tego nie miałoby miejsca. Jednak siedziałem głęboko w czarnej dziurze – byłem tam tylko ja i miałem jedynie siebie do towarzystwa.

Mama powiedziałaby, że trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło. Pasująca metafora, bo kiedy nawet wypije się to piwo, chce się sikać.

A mocz śmierdzi.

Brent ociera usta serwetką i wstaje.

– Tak czy siak, jest wpół do dziesiątej. Ślub rozpoczyna się za dwie godziny. Muszę wrócić do hotelu, by się przebrać. Wczoraj zaprosił mnie JD. W sumie spoko koleś.

Prycham.

– Tak, pieprzony święty JD.

Klepie mnie w ramię.

– Nie martw się, nadal to ty jesteś najfajniejszym wieśniakiem, jakiego znam.

Dopiero wtedy zauważam, jak pusty jest dom. Nigdy tu nie było tak cicho.

– Gdzie są wszyscy?

Podchodzący do drzwi Brent pstryka palcami.

– Twoja mama jest u fryzjera, tata śpi, co podobno rzadko mu się zdarza, Carter chrapie nagi na kanapie w salonie, a młodszy jeszcze nie wrócił do domu. – Wskazuje na mnie. – Twoja siostra Mary mnie przeraża. Jeśli gdzieś dzisiaj zniknę, obiecaj, że zaczniesz poszukiwania od jej szafy.

Śmieję się. Zmuszam się do pogrzebienia swoich uczuć – paniki i tęsknoty za Sofią. Przełykam je, oddalam, ponieważ dzisiaj... moja dziewczyna wychodzi za mąż.

Kościół wypełniony jest po brzegi. Panna Bea na starych organach wygrywa marsz weselny. Presley rozrzuca płatki róż w drodze do ołtarza. A Jenny... Jenny jest przepiękna, tak jak przypuszczałem. Obserwuję twarz JD, kiedy wchodzi do kościoła – jest pełna podziwu, wdzięczności i wielkiej miłości.

Ale nie mam ochoty przez to go uderzyć – nawet najmniejszej. Nie jest mi też smutno.

Czuję jedynie... że tak właśnie miało być.

Wesele odbywa się za kościołem w białym namiocie z elegancko udekorowanymi stołami

i wyściełanymi, składanymi krzesłami. Trawa jest zielona jak pastwisko taty, a niebo jest niemal tak niebieskie, jak oczy mojej córki. Jest tu całe miasto – ludzie znający nas jeszcze zanim się narodziliśmy. Brent rozmawia z pastorem Thompsonem. Marshall opiera się o drzewo, stara się wyglądać na wyluzowanego, rozmawiając z dziewczyną. Mary stoi w otoczeniu chichoczących koleżanek, wszystkie z rozszerzonymi w ekscytacji oczami szepczą coś do siebie. Carter siedzi na kocu na trawie otoczony wielbiącymi go niczym Jezusa dziećmi. Moi rodzice tańczą przy dźwiękach orkiestry.

Brakuje tylko... jej.

Próbowałem kilkakrotnie zadzwonić, ale odzywała się poczta głosowa. Wmawiałem sobie, że Sofia zapomniała włączyć telefon po locie, ale moja siła perswazji mocniej działała na ławę przysięgłych niż na moją własną, pieprzoną głowę.

– Zarezerwowałam dla ciebie taniec. Chcesz z niego skorzystać?

Jenny staje obok mnie, wyciąga ręce i się uśmiecha. Idziemy na drewniany, specjalnie przygotowany parkiet. Kiedy powoli zaczynamy się kołysać, mówię:

– Wyglądasz olśniewająco.

Trzepocze rzęsami.

– Wiem. – Śmieje się, po czym pyta ostrożnie: – Sofia wróciła do Waszyngtonu?

Milcząc, kiwam głową.

– Lubię ją, Stanton. Mam nadzieję, że nie zamierzasz pozwolić jej odejść.

– Nie mam takiego zamiaru. Tylko ona jeszcze o tym nie wie.

Patrzę w błękitne oczy Jenny, trzymając w ramionach moją słodką, piękną przyjaciółkę.

– Cieszę się, że nie dałaś odejść JD. Zaslugujesz na kogoś, kto patrzy na ciebie jak on.

Odsuwa mi włosy z czoła.

– Ty też na to zaslugujesz. – Przez chwilę patrzy ponad moim ramieniem, po czym znów kieruje spojrzenie do moich oczu. – Pamiętasz, kiedy byliśmy nad rzeką? Kiedy powiedziałeś, że ja i Presley jesteśmy twoją rodziną?

– Tak.

Oczy Jenn błyszczą z emocji.

– Zawsze będziemy twoją rodziną, Stanton.

Ciepło rozprzestrzenia się w moim brzuchu – to pocieszający, kojący rodzaj czułości. Do naszych uszu dobiega głos Presley, więc jednocześnie obracamy się, by popatrzeć na naszą piękną, roześmianą córkę.

– Dobrze zrobiliśmy, prawda, Stanton? Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

Mój głos jest ochryply ze wzruszenia.

– Och, Jenn, tak. Po prostu spójrz na nią.

I patrzymy, przez dłuższą chwilę. Łączy nas dozgonna miłość do tej niewielkiej osobki.

– Gdybym mogła cofnąć czas i przeżyć to wszystko z tobą raz jeszcze, zrobiłabym to – szepcze Jenny. – Niczego bym nie zmieniła.

Patrzę jej w oczy i całuję lekko w czoło.

– Ja też. Ani jednej rzeczy bym nie zmienił.

Tak właśnie wygląda nasze pożegnanie.

Tego samego dnia, tylko później, siedzę na dwumiejscowej huśtawce obok Presley, przyglądając się przebiegowi wesela.

– Kiedy skończy się szkoła, przylecisz na wakacje do Waszyngtonu.

– Na całe wakacje, tak? Obiecujesz?

– Na całe. – Przytakuję. – Masz moje słowo.

- Pani Sofia też tam będzie?
- Tak, będzie.
- Córka patrzy na mnie z ukosa.
- Coś spieprzyłeś między wami, prawda tato?
- Trochę tak, ale naprawię to.
- Szybkim skinieniem głowy wyraża swoją aprobatę.
- To dobrze.

Blondyn w zapinanej koszuli i krawacie na gumce woła do niej, stojąc kilka kroków w oddali:

- Hej, Presley! Idziemy nad rzekę, idziesz?
- Zaraz przyjdę – odpowiada.
- Marszczę czoło.
- To Ethan Fortenbury, prawda?
- Tak, to on.
- Myślałem, że jest końskim zadem.
- Cóż. – Wzdycha. – Powiedział, że przeprasza za stwierdzenie, że mam męskie ręce.

Mówi, że zrobił to tylko dlatego, że starszy brat go prowokował.

Brzmi to niepokojąco znajomo.

- Ten brat to z pewnością łobuziak.

Uśmiecha się nieśmiało.

- Ethan uważa, że jestem ładna. I podoba mu się, jak rzucam piłkę.

O cholera.

- Ma zatem dobry wzrok.

– Tak.

Wstaje, wygładza niebieską, satynową sukienkę. Zanim odbiega, wołam:

- Córeczko, możesz mi coś obiecać?

– Pewnie.

- Daj mi jeszcze kilka lat, zanim sprawisz, że zacznę siwieć, dobrze?

Śmieje się i całuje mnie w policzek.

- Dobrze, tatusiu, obiecuję.

I ucieka.

Kręcę głową.

- Pieprzony Ethan Fortenbury. Sukinsyn!

Stanton

W rekordowym tempie docieramy do Waszyngtonu – wciskam gaz do dechy, a porsche mnie nie zawodzi. Odmawiam zatrzymywania się na noc, więc jeden z nas śpi na miejscu pasażera, podczas gdy drugi prowadzi. Dla dwóch facetów mierzących ponad metr osiemdziesiąt spanie w porsche nie jest szczytem marzeń, ale Brent nie narzeka. Wie, że zabija mnie ta odległość, więc by rozjaśnić nastrój ustawił *Ride of the Valkyries* na tryb powtarzania.

Parkuję przed jego kamienicą i spieszę ulicą pod dom Sofii. Kiedy się zbliżam, na chodniku widzę pudła tuż obok poustawianych mebli. Serce zaczyna walić mi jak młotem. Wyprowadza się?

Mocno i natrętnie pukam do jej drzwi, które od razu się uchylają i... spogląda na mnie wielkolud. Dosłownie. Ma prawie ze dwa metry, szeroką klatę, ramiona jak profesjonalny zapaśnik, a na twarzy groźny grymas.

– Czego chcesz?

Czuję się jak dziesięcioletni gówniarz.

– Zastąłem Sofię?

– A kto pyta? – Taksuje mnie wzrokiem. Jego piwne oczy prześlizgują się po mnie od butów po czubek głowy. Oczy, które wyglądają znajomo.

Wskazuję na niego palcem.

– Jesteś jej bratem, tym, który według jej słów mógłby mi skopać tyłek. Lekarzem. – Nie potwierdza, ale też nie zaprzecza. – Jestem... Twoja siostra i ja... – Nie chcę nazywać jej przyjaciółką, bo jest kimś więcej. Pierwszy raz w życiu się jąkam, jak jakiś kretyn: – Jestem jej... My... Mówiła mi o tobie.

Krzyżuje ramiona na piersi, przez co jego mięśnie robią się jeszcze większe.

– O tobie nie mówiła ani słowa.

Nim mam szansę odpowiedzieć, w drzwiach staje drugi gość – ten jest raczej normalnej wielkości, może nawet jest nieco ode mnie niższy. Ma gęste, krótkie, brązowe włosy i przyjazny uśmiech oraz badawcze spojrzenie brązowych oczu – dokładnie jak opisywała Sofia.

– Victor, no chodź. Kanapa sama się nie przeniesie – mówi do Wielkoluda, po czym mnie zauważa. – O, cześć.

Wyciągam rękę, przedstawiając się bratu Sofii.

– Stanton Shaw. A ty jesteś Tomás?

Ściska moją rękę, a jego uśmiech się poszerza.

– Tak. Co tam słyhać, Stanton? Wejdz. Sofia mówiła mi o tobie.

Wielkolud przesuwa się na bok, gdy wchodzę, po czym mówi:

– Dlaczego mi nic o nim nie wspominała? – Tomás posyła mu spojrzenie, które widywałem na twarzach moich braci.

– Bo nie potrafisz dochować tajemnicy. Nikt z nas nic ci nie mówi. – Klepie mnie w plecy i pyta: – Przyszedłeś się płaszczyć?

Chichoczę, może trochę zbyt nerwowo.

– Tak. Skąd wiesz?

– Znam moją siostrę.

– Dlaczego ma się płaszczyć? – pyta Wielkolud.

– Nieważne – odpowiada Tomás. – Przynajmniej póki tu jest.

Wchodzimy do salonu – omijając meble i pudła, które wyglądają jak po przejściu tornada, jakby uderzyło tutaj zamiast w Missisipi.

– Sofia poczuła, że musi coś zmienić – wyjaśnia Tomás. – Robi tak, kiedy się denerwuje. Zwołała drużynę, więc oto jesteśmy.

W kuchni zauważam kolejnego bruneta w okularach lenonkach – zgaduję, że to brat numer dwa, Lucas. Przy kanapie natomiast stoi starszy, choć nadal solidnej budowy mężczyzna, o szpakowatych włosach.

Ojciec Sofii.

Podchodzę do niego i wyciągam rękę.

– Witam, panie Santos. Jestem Stanton Shaw. Miło mi pana poznać. – Urywam, szukając właściwych słów. – Uważam, że pana córka to wspaniała kobieta.

Przez chwilę mężczyzna mierzy mnie wzrokiem. W końcu uśmiecha się i ściska moją dłoń.

– Dobrze pana poznać, panie Shaw.

Wszystkie głowy obracają się w kierunku kobiety schodzącej po schodach. Jest mniejsza, niż ją sobie wyobrażałem, ma długie, ciemne włosy i piękne, znajome rysy twarzy. Patrzy na mnie wzrokiem pełnym uznania i... wrogości. I już wiem, że Tomás nie jest jedynym, któremu zwierzyła się Sofia.

Podchodzę do niej i również wyciągam rękę.

– Miło mi panią poznać, pani Santos. Jestem...

Z pogardą patrzy na moją dłoń i przerywa mi, mówiąc ostro po portugalsku:

– *Você é um homem estúpido que machucou a minha filha. Se eu tivesse meu caminho, eles nunca iria encontrar o seu corpo.*

Wydaje się, że wyzywa mnie od głupków i mówi, że gdyby miała sposobność mnie zabić, nikt nigdy nie znalazłby mojego ciała.

Super.

Kręcę głową.

– *Estou aqui para fazer isso direito. Sofia significa ... tudo para mim.* – Jestem tutaj, by to naprawić, ponieważ Sofia wiele dla mnie znaczy.

Przynajmniej mam nadzieję, że to właśnie powiedziałem.

Kobieta mruga zaskoczona.

– Sofia uczyła mnie portugalskiego – wyjaśniam, wzruszając ramionami. – Szybko się uczę.

Niechętny uśmiech maluje się na ustach pani Santos, kiedy kobieta nieznacznie kiwa głową.

– Jest na górze w sypialni. Maluje.

Przytakuję.

– Dziękuję.

Przechodzę cicho przez otwarte drzwi. Sofia stoi zwrócona do mnie plecami, patrzy na świeżą farbę na ścianie. Korzystam z okazji i upajam się jej widokiem, niczym roślinka, która cały rok nie widziała słońca. Ma związane włosy, pojedyncze kosmyki, które wydostały się spod spięcia, zwisają jej za uchem. Przyglądam się jej delikatnym ramionom okrytym czerwoną koszulką i nogom w czarnych getrach. Śledzę wzrokiem eleganckie krzywizny jej kręgosłupa, aż natrafiam na apetyczny, słodki tyłeczek.

– Co myślisz, *mamãe*? – pyta, z przechyloną na bok głową, nie obracając się za siebie. – Nie jestem pewna tej żółci. Jest ciemniejsza niż na próbkach.

– Jeśli mam być szczery, według mnie wygląda jak zaschnięte psie siki.

Odwraca się z rozszerzonymi oczami, jakby zobaczyła ducha.

– Stanton! – Po chwili mruga, starając się ukryć zaskoczenie. Chce wyglądać jak zwykle.

– Kiedy wróciłeś?

Jej nonszalancka postawa może pocałować mnie w dupę.

– Nie byłem w domu. Wsadziłem Brenta i przybiegłem prosto tutaj. Do ciebie. –

Rozkoszuję się teraz jej widokiem od przodu, jej ustami, wspaniałymi piersiami, które chciałbym popieścić, zielonymi niczym kamienie szlachetne plamkami w jej piwnych oczach.

Ruchem głowy wskazuję na puszki z farbą.

– Co to?

Zdenerwowana patrzy to na mnie, to na puszki.

– Zmiana stylu. Poczulałam, że potrzebuję świeżego startu.

Przysuwam się, chcąc być bliżej niej. Powstrzymuję się przy tym na tyle, na ile mogę.

– Chryste, jak ja za tobą tęskniłem, Soph. Ostatnie dni wlekły się w nieskończoność.

Patrzy pod nogi.

– Przepraszam, że wyjechałam tak niespodziewanie, ale musiałam...

– Nie. – Przemierzam pozostałą dzielącą nas odległość. – Miałaś czas, by mówić.

Wyłożyłaś sprawę, teraz moja kolej. – Nogą przesuwam składane krzeselko w jej stronę, jednocześnie mówię do niej wymagającym tonem: – Siadaj i słuchaj.

Wytrzeszcza oczy zdziwiona i przez chwilę myślę, że będzie chciała protestować. Jednak wykonuje moje polecenie.

Staję przed nią.

– To się zaczęło na meczu softballu, kiedy Amsterdam gapił się na twoją dupcię.

– Stanton, mówiłam ci...

– Cisza – warczę, przyciskając palec do jej, teraz już zamkniętych, ust. – Moment, kiedy chciałem wydłubać mu oczy, by nie gapił się na twój tyłek, był pierwszym razem, kiedy poczułem... coś więcej. Nie moją rolą było powiedzieć mu, by się nie gapił, ale... chciałem tego.

– Przeczesałem dłonią włosy, starając się jej wyjaśnić tak, by zrozumiała. – To prawdziwy powód, dlaczego chciałem, byś ze mną jechała, nawet jeśli wtedy tego nie wiedziałem. Nie chciałem być z dala od ciebie, nie chciałem ryzykować, że stracę cię na rzecz kogoś innego. A kiedy cię tam widziałem, w moim domu, z ludźmi, którzy tak wiele dla mnie znaczą... Stało się to bardziej intensywne. Pragnąłem cię, potrzebowałem, czułem się tak cholernie wdzięczny, że cię mam. Ale wszystko spieprzyłem... Byłem zdezorientowany tym ślubem Jenny, czułem się, jakbym musiał coś zrobić, by jej nie stracić.

Sofia pochyliła się, rozważając moje słowa, a jej spojrzenie łamie mi serce. Jej oczy pełne są nadziei i strachu.

– Kiedy poukładałem to sobie w głowie, kiedy miałem jaja, by przyznać przed samym sobą, ile dla mnie znaczysz... było już za późno. Nie sądziłem, że istnieje szansa, byś czuła to samo. Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć, byś nie czuła się jak substytut Jenny. A nie

chciałem, byś kiedykolwiek tak się czuła, ani przez chwilę. Jenny zawsze będzie moją przyjaciółką, matką mojej małej córeczki, pierwszą dziewczyną, którą pokochałem. – Mój głos staje się ochrypliwy z emocji. – Ale ty, Sofio... Przysięgam, że jeśli mi pozwolisz... będziesz ostatnią.

W jej przepięknych oczach błyszczą łzy, po czym spływają po jej policzkach. Klękam przed nią, głaszczę po ramieniu i kładę dłoń na jej karku.

– I jestem tak cholernie na ciebie wkurzony. Mam ochotę usiąść na łóżku, rozebrać cię do naga i zlać ci tyłek, aby nabrał czerwonego koloru jak ściana na dole.

Łka:

– Wku... wkurzony? Dlaczego?

– Ponieważ pozwalałaś, bym cię ranił. Nigdy nic nie powiedziałaś. Kiedy pomyślę, jakie to wszystko musiało być dla ciebie... Niczym tysiące zacięć papierem...

Obejmuję jej twarz, ocieram łzy palcami, ponieważ nie potrafię jej już nie dotykać.

Mruga, patrząc na mnie, przy czym bierze nierówny wdech.

– To był cholernie dobry argument zamykający mowę końcową, Stanton.

Patrzę jej w oczy.

– Tak właśnie działałem. To co...? Jaki jest werdykt...?

Przezesuje palcami moje włosy, jej twarz ma czuły i miękki wyraz.

– Werdykt brzmi... Nie.

Wiedziałem. Nawet przez chwilę nie wątpiłem w siłę swojej perswazji. Byłem pewien, że jeśli będę miał szansę wytłumaczyć, ona... Czekaście.

Co?

Odchylam się.

– Co masz, u diabła, na myśli, mówiąc „nie”? Nie możesz powiedzieć „nie”! – Na moim czole perli się pot, a serce w mojej piersi przyspiesza jak szalone.

Wzrusza ramionami.

– Właśnie to zrobiłam.

Odruchowo zaciskam dłonie wokół jej twarzy.

– Co, do cholery, Soph? Dwa dni temu powiedziałaś, że mnie kochasz! Nie można się w kimś odkochać w ciągu dwóch pieprzonych dni!

– Właśnie – mówi cicho.

– Nie rozu...

– Przez cały poprzedni tydzień przyglądałam się, jak uganiaasz się za inną kobietą. Przez miesiące słyszałam, jak mówisz, że Jenny to, Jenny tamto. A teraz, kiedy jest niedostępna, nagle uświadomiłeś sobie, że kochasz mnie?

– Już od dawna nie byłem zakochany w Jenny, Soph. Po prostu o tym nie wiedziałem, aż do teraz. – Przełykam z trudem ślinę. – Ty mi... ty mi nie wierzysz, prawda?

Dotyka mojej twarzy, przesuwa palcami po mojej szczęce.

– Chcę. Bardzo chcę ci wierzyć. – Zabiera rękę. – Ale... Nie mogę tak po prostu do tego wrócić. Nie zrobię tego. To by mnie zniszczyło, Stanton. Jeszcze tydzień temu byłam gotowa zgodzić się na posiadanie części ciebie, ale to już mi nie wystarcza. Chcę cię całego. Naprawdę. I na zawsze.

Przysuwam się i patrzę jej w oczy.

– Skarbie, masz mnie. Trzymasz mnie za serce, za jaja i za co tylko chcesz.

Uśmiecha się lekko, nieśmiało na mnie zerkając.

– Udowodnij.

Przygryzam dolną wargę, kiedy rozmyślam o wszystkich wspaniałych sposobach

zademonstrowania, ile dla mnie znaczy – nieustannym pokazywaniu jej tego. Pytam ze śmiechem:

– To wyzwanie?

Czerwień barwi jej policzki, kiedy patrzymy na siebie. Atmosfera między nami staje się cięższa, gorętsza – nie ze względu na podniecenie, ale na obietnicę czegoś głębszego. Przyszłości. Razem.

– Tak.

Przyciągam ją i dotykam jej ust swoimi, ale robię to lekko jak muśnięcie piórkiem.

I przyrzekam jej:

– Dobrze, zacznę więc od początku. W sposób, w jaki powinienem zacząć. Żadnych łóżkowych przyjaciół. Mam zamiar zrobić to, jak należy: zabierać cię we wspaniałe miejsca, zajmować twój czas w weekendy. Chcę, byś się ładnie dla mnie ubierała, abym mógł zdejmować z ciebie te ubrania. Chcę zapamiętać każdy centymetr twojego ciała i usłyszeć każdą myśl, jaką masz w głowie. Wtedy dopiero nie będziesz miała wątpliwości, że jedyną, której pragnę, jedyną, którą kocham... jesteś ty.

Sofia przysuwa się, dotyka mnie nosem i policzkiem. Mówi szeptem, zastanawiając się:

– Zatem... zapraszasz mnie na randkę, tak?

– Zdecydowanie.

Jej oczy zaczynają błyszczeć.

– Chciałabym tylko zaznaczyć, że jestem otwarta i nie mam nic przeciwko seksowi na pierwszej randce.

Śmieję się.

– Miałem wielką nadzieję, że to powiesz.

Całuję ją. Otwiera usta, słodkim językiem witając mnie w pół drogi. Czuję, jak łapie mnie za koszulę, przesuwa dłońmi po moich ramionach, szyi i twarzy. Tulę ją, obejmuję jej ciało, dając znać każdym muśnięciem palców, każdym wyszeptanym słowem, że już nigdy nie chcę jej puścić. I czuję, że ona chce tego samego – czuję jej ulgę, jej radość, a w każdym westchnieniu obietnicę. Wymieniliśmy z Sofią setkę pocałunków – ale żaden nie był taki. Ten jest inny.

Lepszy.

Jest cholernie doskonały.

Większość historii kończy się finałem. Ale nie ta.

Ta kończy się całkiem nowym początkiem.

EPILOG

Stanton

Wrzesień

Układamy koc na trawie w parku, we w miarę odosobnionym miejscu, z dala od ludzi. Niebo jest ciemne, ale światła Waszyngtonu są zbyt jasne, by dostrzec choćby jedną gwiazdkę. Sofia opiera się plecami o moją pierś, a ja przesuвам leniwie dłońmi po jej bokach, gładząc ją po różowej mini sukience i odkrytych ramionach. Wrześniowe powietrze jest ciepłe, wieje lekki wietrzyk. Sofii wymyka się westchnienie zadowolenia, kiedy popija burbon z plastikowego kubeczka. Całuję ją lekko w skroń, kiedy Elton John wygrywa na fortepianie ostatnie nuty piosenki.

Imprezy jak ta – jesienny festiwal – są bezpłatne. Pomimo ekscytacji Sofii faktem, że będzie grał Elton John, nie zabijaliśmy się, by dostać miejsca w pierwszych rzędach. Była wystarczająco usatysfakcjonowana, że możemy siedzieć z tyłu i relaksować się po długim i stresującym tygodniu w kancelarii. By rozkoszować się muzyką... i sobą nawzajem.

Jednak gdy znajome nuty *Your Song* płyną z głośników, przysuwam usta do jej ucha i, wywołując gęsią skórkę na jej szyi, szepczę:

– Zatańcz ze mną.

Odchyła się, by na mnie zerknąć. Jej spojrzenie jest miękkie i ospałe – jak wtedy, kiedy odzyskuje siły, gdy doprowadzam ją ustami na sam szczyt.

– Nie mów, że naprawdę polubiłeś taniec.

Całuję ją w czubek nosa.

– Nie. To nigdy nie będzie fajne. – Wstaję i ciągnę ją za sobą, trzymając ją mocno w ramionach. – Ale z tobą zawsze zatańczę. Kiedykolwiek, gdziekolwiek. A poza tym... To twoja piosenka.

To niespodzianka, którą zaplanowałem. Prezent dla niej. Jestem pewien, że ją porazi i nie mogę się doczekać, aż zrewanżuje się w nocy, wyrażając swoją wdzięczność.

Elton z doskonałym wyczuciem czasu ogłasza przez mikrofon:

– Panie i panowie, mamy dedykację. Z wyrazami miłości od Stantonona dla Sofii – mówi, po czym zaczyna śpiewać.

Oczy Sofii robią się wielkie jak spodki, kiedy zszokowana przytula się do mnie nieco mocniej.

– O Boże! Nie wierzę, że to zrobiłeś! Jak to zrobiłeś?

Wzruszam ramionami.

– Znam ludzi, którzy znają ludzi, którzy znają kilku ludzi z ekipy Eltona Johna. Odpłacili się za przysługę.

Sofia staje na palcach i mocno całuje mnie w usta – sprawiając, że wydaje mi się, że to był najlepszy pomysł, na jaki w życiu wpadłem. Tuż przy moich ustach mówi:

– Kocham cię.

Kiedy opiera głowę na mojej piersi, szepczę:

– Ja też cię kocham.

– Mam najlepszego chłopaka na świecie.

Śmieję się, gdy zaczynamy tańczyć.

– Tak, masz.

„Jak wspaniałe jest życie, gdy jesteś w nim ty” – śpiewa Elton.

Listopad

– Pchaj!

– Pcham. Jest ciasno.

– To pchaj mocniej.

– Jeśli popchnę mocniej, coś złamię.

– Po prostu popchnij.

– Staram się – mamroczę.

– Czy ciebie też kręci ta rozmowa? – pyta Jake napierający na drugą stronę ciężkiego, jak cholera, biurka, które próbujemy przecisnąć przez drzwi.

W końcu z okrzykiem udaje nam się je przesunąć, po czym ustawiam pod oknem, jak uzgodniliśmy z Sofią. W ten sposób będziemy się cieszyć światłem słonecznym, kiedy będę ją na nim posuwał.

– Jestem zbyt zmęczony, by mnie to kręciło – marudzę, ocierając pot z czoła.

W tej samej chwili do gabinetu wchodzi Sofia, a mój wzrok naturalnie opada do miejsca, gdzie czarny golf opina się na jej piersiach.

– Nieważne, wcale nie jestem zmęczony.

– Świetnie to tutaj wygląda! – Uśmiecha się z radością. – To już ostatni mebel.

Sofia tydzień temu poprosiła, bym się do niej wprowadził. I tak od połowy lata praktycznie mieszkaliśmy razem. Jednak pomysł, by stało się to oficjalne – że co rano będziemy się razem budzili i co wieczór kładli się razem spać – jest wspaniały. Jej mieszkanie jest większe niż moje i w dużej mierze urządzone, więc większość moich mebli zostawiłem u Jake’a. Oprócz mebli do pokoju Presley, nalegałem na zabranie swojego biurka. Zatem zamiast pokoju gościnnego, drugi pokój został przerobiony na gabinet, byśmy z Sofią mogli w nim razem pracować.

Sofii, podobnie jak mi, podoba się to wielkie, dębowe biurko. Zwłaszcza ta dodatkowa przestrzeń, która pozwala – jak już mówiłem – na pieprzenie.

Kiedy Sofia otwiera butelkę, do pokoju wchodzi Brent, trzymając kieliszki do szampana. Napełniamy kieliszki, rozdajemy je, a ja proponuję toast:

– Mama zawsze mówiła, że dom jest tam, gdzie serce, jednak nigdy nie rozumiałem, jak prawdziwe jest to stwierdzenie. Aż do teraz. – Patrę na Sofię. – Ty jesteś moim sercem, więc tam, gdzie ty jesteś, tam jest mój dom.

Całuje mnie w usta.

– Dobra, teraz to jestem naprawdę nakręcony – mówi Jake, po czym zwracając się do Brenta, dodaje: – Gotowy do wyjścia? Idziemy się powłóczyć po barach?

– Urodziłem się gotowy – odpowiada Brent, po czym pyta nas: – Idziecie teraz, czy dojdziecie?

Obejmując mnie w pasie, Sofia odpowiada:

- Mam zamiar niedługo, a jeśli historia rzeczywiście lubi się powtarzać, to więcej niż raz.
- Znów mnie całuje.
- Fuuuj – mówi Brent. – Jesteście ohydni.
Odprowadzamy ich do drzwi.
- Serio nie idziecie? – pyta Brent.
Klepię go po plecach.
- Nie mogę, mam sporo roboty.
Dziękujemy im i się żegnamy, po czym zamykam drzwi.
Sofia patrzy na mnie.
- Nadal pracujesz nad sprawą Penderzona?
Śmieję się.
- Nie, Soph, nie mówiłem o tej pracy.
Uśmiecha się.
- A o jakiej mówiłeś?
Porywam ją na ręce.
- O ochrzczeniu każdego pokoju w tym mieszkaniu. Będzie to wymagało sporo ciężkiej pracy, przy której trzeba wylać wiele potu.

Luty

To był cholernie zły dzień. Zaczęło się kiepsko, od wkurzonego klienta, który tylko marnował mój czas, nie informując o wcześniejszym wyroku skazującym za napaść w innym stanie, po czym dostałem zawiadomienie o wyniku apelacji, która nie poszła po mojej myśli. Wisienką na torcie był mróz, który postanowił zaatakować Waszyngton, sprawiając, że na zewnątrz było arktycznie lodowato – z każdym powiewem wiatru, igiełki kłuły prosto w twarz.

Jedyną dobrą rzeczą tego dnia jest to, że już się niemal kończy. I fakt, że udaje mi się znaleźć miejsce parkingowe przed sądem, którego schodami właśnie idę. Przechodzę przez stanowisko ochrony, a czucie zaczyna wracać do moich palców, kiedy wślizguję się do sali sądowej i zajmuję miejsce z tyłu. Biorę głęboki wdech i przyglądam się jej. Zadaje właśnie ostatnie pytanie na przesłuchaniu, po czym wraca do stolika obrony, a jej czarne szpilki stukają o podłogę. Wszyscy patrzą na Sofię – nie tylko dlatego, że ma fenomenalny tyłek, co podkreśla czarna, ołówkowa spódnica – ale ze względu na jej prezencję. Jej posturę, ton jej głosu – skupia na sobie uwagę każdej znajdującej się na sali osoby.

Cała frustracja odchodzi, zastąpiona przez spokój i pęczniejącą dumę, ponieważ ta wspinała, fascynująca, uzdolniona kobieta jest moja.

Sąd odracza posiedzenie, a ja podchodzę do niej od tyłu, kiedy pakuje dokumenty do teczek. Obejmuję ją w talii i całuję za uchem. Spina się na chwilę, ale natychmiast odpręża w moich objęciach. Nie musi się nawet obracać, by wiedzieć, kto za nią stoi.

- Dobra robota.
Uśmiecha się, zerkając na mnie przez ramię.
- Dzięki. Co tu robisz? Myślałam, że spotkamy się w domu.
- Jest zimno, nie chciałem, byś musiała iść.
Zza pleców wyciągam bukiet róż. Jej piwne oczy zaczynają błyszczeć, kiedy uśmiecha się do mnie szeroko.
- Dlaczego dajesz mi kwiaty? – Przysuwa bukiet do nosa i wącha.
Całuję ją w czoło.
- Bo mogę.

Promienie słońca wpadają przez okna, sprawiając, że mieszkanie w kamienicy jest ciepłe i przytulne niczym dom. Sherman domaga się naszej uwagi, kiedy tylko przestępujemy próg, macha ogonem i dyszy, oznajmiając nam, że był dobry, a buty Sofii przetrwały w stanie niemal nienaruszonym – przynajmniej dzisiaj. Sofia nalewa mi szklaneczkę burbona, a sobie kieliszek wina, podczas gdy ja wyjmuję z lodówki steki, które marynowały się cały dzień w moim specjalnym sosie. Rozmawiamy o dzisiejszych wydarzeniach, planach na jutro i wszystkich codziennych sprawach, po czym wychodzę na balkon rozpalić grill. Ponieważ nawet jeśli jest zima, nawet jeśli to nie jest niedziela i nie jesteśmy w Missisipi – Sofia uwielbia, kiedy grilluję.

Jakiś czas po umyciu naczyń, kiedy w pokoju lecą wiadomości, wychodzę z łazienki po prysznicu z ręcznikiem na biodrach. Sofia leży na łóżku, z jedną nogą zgiętą i laptopem na kolanie, na sobie ma jedynie koronkowy, różowy top i dopasowane do niego majteczki. Patrzy na mnie, pożera wzrokiem każdy napięty mięsień – po czym z trzaskiem zamyka komputer.

A ja zrzucam ręcznik.

Wchodzę na łóżko niczym drapieżnik, moje intencje są obnażone tak samo jak mój tyłek. Sofia piszczy, kiedy się pochylam, woda kapie z moich włosów na jej obojczyk.

– Jesteś mokry – mówi ochryplym szeptem.

Liżę jej dolną wargę i muskam palcami jej miękką skórę, przesuwając się między jej nogi, gdzie jest już śliska i wilgotna od samego mojego widoku.

– Tak jak i ty.

Niespiesznie i czule zaczynam się z nią kochać, dając upust swojej pasji, która zawsze czai się gdzieś pod powierzchnią. Potem stajemy się głośni, robiąc to ostro – będzie miała jutro sińce na biodrze, a ja będę miał ślady paznokci na plecach. Zasypiamy na kołdrze, ogrzewa nas jedynie żar naszych gorących ciał.

Dzień może był do dupy... ale noc była cholernie idealna.

Maj

Sunshine, Missisipi

Furgonetka Jenny podjeżdża pod dom moich rodziców, a kiedy tylko opony stają w miejscu, Presley wyskakuje z siedzenia pasażera.

– Cześć tato! Cześć Sofia!

Długo i mocno ściska nas oboje.

– Wyglądasz, jakbyś urosła z dziesięć centymetrów, odkąd cię ostatnio widziałem. – Było to podczas ferii wiosennych, kiedy przyleciała do nas do Waszyngtonu.

Obejmując moją córkę, Sofia patrzy na nią i pyta:

– Chcesz pojeździć konno?

Presley kiwa głową, a ja uśmiecham się i dogryzam:

– Ktoś tu uważa, że jest amazonką.

Sofia kręci środkowym palcem, po czym wskazuje na stajnię.

– Polubiliśmy się z Blackjackiem. Mamy ze sobą mentalną więź. On mnie rozumie.

Nadal się śmieję, kiedy podchodzę do samochodu, pomagając wysiąść Jenny.

– Cześć. – Całuję ją w policzek, po czym obejmuję. A przynajmniej próbuję, biorąc pod uwagę jej ogromny brzuch. – Cholera, Jenny, jesteś gigantyczna.

Krzywi się.

– A może umrzesz i pójdziesz do piekła, Stanton? Jak można powiedzieć coś takiego ciężarnej?

– Ale to prawda. Nie pamiętam, byś była taka wielka z Presley. Jesteś pewna, że to nie

bliźnięta?

Pociera brzuch.

– Nie, dziecko jest jedno. Jedno wystarczy i tym razem poproszę o znieczulenie.

Śmieję się.

– Nie dostaniesz, jeśli znów będzie tam siostra Lynn.

Sofia ściska Jenny na powitanie.

– Przyjechalibyśmy do ciebie, by ją zabrać.

Jenny macha ręką.

– Nie, dobrze jest wyjść. I tak już nie mam co robić. Podłogi w domu są tak czyste, że JD mówi, że można z nich jeść.

Rozmawiamy przez chwilę, po czym Jenny odjeżdża, a my idziemy do stajni. Presley idzie przed nami, a ja trzymam Sofię za rękę.

– Myślałaś kiedyś o tym?

– O czym?

Ruchem głowy wskazuję miejsce, gdzie stała Jenny.

– O dziecku?

– O dziecku – odpowiadam.

– Z tobą?

– Cóż... wkurzyłbym się, gdybyś miała je z kimś innym.

Śmieje się.

– Stanton, próbuję zostać partnerem w firmie.

– Wiem.

– I ty także.

– Prawda. – Idziemy w ciszy, po czym przysuwam się i szepczę: – Zatem tak?

Uśmiecha się.

– Tak... pomyślę o tym.

Posyłam jej krzywy uśmiezek, który tak lubi.

– Dobrze.

Sofia unosi palec.

– Ale nie teraz.

– Nie.

– Dopilnuj, by twoje plemniki były tego świadome. Inaczej będzie gorąco.

Przytakuję.

– Wyślę maila z przypomnieniem plemnikom, do wiadomości twoich jajeczek.

Kiwa głową.

– Ale niedługo.

– Niedługo brzmi dobrze.

Kołysze naszymi dłońmi.

– Zapewne najpierw powinniśmy się pobrać.

Sofia przystaje i patrzy na mnie.

– Czy to oświadczyły?

Obracam się, obejmuję jej twarz i opuszką śledzę kontur jej warg.

– Skarbie, kiedy się oświadczę, nie będziesz miała co do tego wątpliwości. – Całuję ją słodko. – Ale zrobię to niedługo.

Uśmiecha się do mnie szeroko.

– Niedługo brzmi dobrze.

PODZIĘKOWANIA

Rozpoczynając nową serię, byłam jednocześnie podekscytowana, ale i przerażona. Cieszyłam się, ponieważ miałam nowe postacie do poznania, nowe miejsca do odkrycia i nową historię, w której mogłam się zatracić. Możliwości pierwszego rozdziału były nieskończenie wspaniałe. A bałam się, ponieważ było to... cóż... jedno słowo: nowe. Inne. Różne. Niezależne od postaci, które już znałam i kochałam, które stały się moimi najlepszymi, najdroższymi przyjaciółmi.

Wielu autorów uważa swoje książki za dzieci – potomstwo, jednak ja nie rozumiałam tego stwierdzenia, póki nie zaczęłam pisać *Unieważnienia*. Moje pierwsze dziecko było wszystkim – stało się najwspanialszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Czy tak samo będę się czuła, gdy drugie dziecko przyjdzie na świat? Czy możliwe jest zakochanie się bez pamięci w drugim, kiedy już tak mocno kocha się to pierwsze?

Odpowiedź jest oczywista: tak. To nie tylko możliwe, ale i wspaniałe, i całkowicie naturalne.

Strony zmieniły się w rozdziały i poznałam postacie serii *Legal Briefs* – ich historie, głosy, dziwactwa i ich mocne strony. Teraz bez wątpienia mogę stwierdzić, że uwielbiam ich równie mocno jak bohaterów serii *Tangled*. Na różne sposoby, z różnych powodów – ale z pewnością nie mniej.

Jestem bardzo wdzięczna tak wielu ludziom, którzy pomogli ożywić nowe postaci i znaleźć się na półkach tej nowej historii. Większość z was wie, o kim mówię, ale mam ogromny zaszczyt wyjaśnić to czarno na białym.

Dziękuję mojej superagentce Amy Tannenbaum oraz wszystkim z Jane Rotrosen Agency – zginęłabym bez Was! Naprawdę.

Dziękuję moim publicystkom: Ninie Bocci i Kristin Dwyer – jestem szczęśliwa, mając Was przy sobie!

Dziękuję mojej redaktorce, Micki Nuding – to wielki zaszczyt pracować z Tobą. Dziękuję za zrozumienie, dokąd chciałam zaprowadzić moje postacie, i za wiedzę, co powiedzieć, by mi pomóc je tam zaprowadzić.

Dziękuję mojej asystentce, Juliet Fowler – Twoje pomysły oraz zorganizowanie są bezcenne! Dziękuję, że wszystkim się zajmujesz, bym mogła zamknąć się w mojej pisarskiej pustelni.

Dziękuję Kim Jones, autorce *Saving Dallas*, za czas rozmów o Missisipi! Dzięki Tobie Stanton jest lepszym mężczyzną – lepszym mężczyzną z południa.

Dziękuję wydawcom z Gallery Books, Jennifer Berstrom i Louise Burke – nadal muszę się szczytać, by udowodnić sobie, że praca z Wami to nie sen! Dziękuję za wiarę we mnie i Wasze nieustające wsparcie.

Dziękuję wszystkim moim utalentowanym, ciepłym i zabawnym przyjaciółom-autorom – jesteście moimi idolami i fantastycznym źródłem natchnienia.

Dziękuję wszystkim przyjaciółom blogerom – za niestrudzoną pracę, genialne wsparcie i za to, że wszystko robicie tak dobrze.

Dziękuję mojemu ukochanemu mężowi i dwójce dzieci – nigdy nie potrafiłabym wykrzesać radości w życiu moich postaci, gdybyście mi jej nie dawali w moim.

W końcu dziękuję moim wspaniałym czytelnikom – myślę o Was, kiedy piszę, zawsze mając nadzieję, że zapewnię wam rozrywkę, sprawię, że będziecie się śmiali, tracili oddech, omdlewali i znów się śmiali. Dziękuję, że jesteście ze mną w tej podróży i mam nadzieję, że zakochaliście się w tych nowych postaciach tak mocno jak ja.